



ROBERT SAMBORSKI
KOŚCIOŁA NIE MA
WSPOMNIENIA
PO SEMINARIUM

NIE-FIKCJA

ROBERT SAMBORSKI
KOŚCIOŁA NIE MA
WSPOMNIENIA
PO SEMINARIUM



Robert Samborski
Kościół nie ma. Wspomnienia po seminarium
Warszawa 2023

Copyright © by Robert Samborski, 2023
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67075-70-1

Redakcja: Halina Zalewska
Korekta: Urszula Roman
Opieka redakcyjna: Justyna Pelaska

Zdjęcie autora: Jakub Szafrński
Zdjęcia na okładce: Marzio Toniolo / Reuters / Forum

Wydawnictwo Krytyki Politycznej
ul. Jasna 10, lok. 3
00-013 Warszawa

wydawnictwo.krytykapolityczna.pl

redakcja@krytykapolityczna.pl

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w siedzibie głównej Krytyki Politycznej (ul. Jasna 10, lok. 3, Warszawa), Świetlicy kp w Cieszynie (al. Jana Łyska 3), księgarni internetowej kp (wydawnictwo.krytykapolityczna.pl) i w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Anna Jakubowska

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Nerwica kościelna

Twarzą w twarz z Wilkiem

Punkt wyjścia

Przygody szalonego diakona

Droga na zatracenie

Parafia w Nieszczęsnej

Ostatni eksperyment

Luteranizm

W zamku Wartburg, na stromym urwisku

Przed obliczem Diabła

I przystąpię do szatańskiego ołtarza

Sanatorium pod Wilkiem

Na wino z hrabią

Dom boga wojny

Śmierć, która znaczy więcej

Wyrzekam się Jezusa Chrystusa i wszystkich ludzkich bogów

Wędrujący z wilkami

Nerwica kościelna

Napisał do mnie niedługo po ukazaniu się mojej pierwszej książki *Sakrament obłudy. Wspomnienia z seminarium*. „Przepraszam, że Ci zawracam głowę, ale już sobie nie radzę” – pisał. „Nie umiem jakoś wyjść z tego kręgu i powiedzieć, że mnie to nie dotyczy. Mam 39 lat, żonę, dwójkę dzieci. A przejmuję się bajkami. Staram się sobie tłumaczyć, że i tak pójdę do piekła. Tylko nie rozumiem, czemu mnie to jeszcze obchodzi. Jestem z tego powodu w depresji, mam nerwicę i nawet myślałem o samobójstwie. Wiem, że i tak nie spełniam tych wszystkich wymagań, że z pewnością pójdę do piekła. Choruję na depresję, jestem w trakcie leczenia. Bardzo Ci zazdroszczę, że wyszedłeś z tego badziewia”.

Spędził w seminarium zaledwie dwa lata, a od tamtego czasu minęło ich już dziesięć. Do dziś ma jednak poczucie, że jest przeklęty przez Boga, bo „zmarnował dar powołania”, bo założył rodzinę, a przecież miał „poświęcić się Bogu”. Pisał ze mną długo, a każda jego wypowiedź była jednym wielkim wołaniem o pomoc. Nie potrafił pojąć swojego lęku wobec groźby wiekuistego potępienia, a ten strach naznaczał jego życie wielkim cierpieniem. Rozmowa z nim przypomniała mi czasy, gdy jeszcze byłem duchownym. Chciałem wówczas pomagać ludziom cierpiącym i wielu z nich, widząc koloratkę, zwracało się do mnie po pomoc. Bardzo często jednak, mimo najszczerzych chęci, nie potrafiłem im pomóc. Powody tego były różne, ale najistotniejsze było to, że tak naprawdę nie znałem odpowiedzi na pytanie o sens ludzkiego cierpienia.

W recenzji mojej poprzedniej książki jeleniogórski dziennikarz Piotr Kanikowski oburzony napisał: „Człowiekowi wierzącemu i jako tako obeznanemu w Piśmie Świętym trudno czytać tę książkę bez irytacji, tyle w niej uproszczeń i manipulacji. To nieprawdopodobne, że człowiek, który omal nie został księdzem, po sześciu latach seminaryjnej edukacji nie rozumie np. skąd w świecie stworzonym przez dobrego Boga wzięło się zło. Trudno mi uwierzyć, że nie roztrząsano tego dylematu na zajęciach w legnickim WSD”. Pan Kanikowski zapewne przeczytał moją książkę pobieżnie i nie zauważył, co dokładnie napisałem. Problem „dobry Bóg – zło w świecie” co prawda rozważano na wykładach, a Kościół posiada w swoim arsenale cały szereg najprzeróżniejszych odpowiedzi na pytanie o sens cierpienia, postawę Stwórcy wobec zła, wojen, chorób i śmierci, ale wszystkie z nich są nic niewarte w starciu z konkretną, namacalną rzeczywistością ludzkiego bólu. Kruszy się ich misternie skonstruowana, koronkowa logika, a piękne słówka teologicznego uniwersum w zderzeniu z brudną, zwyczajną codziennością brzmią jak kpina.

Jeszcze jako diakon, ale już poza seminarium, przez pięć miesięcy pracowałem jako ogrodnik w pałacu Wojanów pod Jelenią Górą. Mieliśmy kierownika, Sebastiana, chłopaka w moim wieku, radzącego sobie w życiu, choć nie były to łatwe czasy. Któregoś poniedziałku przyszliśmy do pracy i nie zastaliśmy go przy kantorku z narzędziami, gdzie zwykle rozdzielał zadania. Jego teściowa pracująca z nami przy pieleniu wyjaśniła, że tej nocy w kamienicy, gdzie mieszkał między innymi Sebastian z rodziną – a która przed 1945 rokiem była ewangelicką plebanią – wybuchł pożar. Jeden z jego sąsiadów, drobnych, wiejskich pijaczków, lubił palić papierosy na strychu i zaproszył ogień. Mimo akcji straży pożarnej spłonął cały dach budynku, a na domiar złego zaraz potem spadł ulewny deszcz. Woda pozalewała mieszkania, nawet te na parterze.

Przyszedł do nas dyrektor pałacu i zaapelował, żebyśmy po pracy na ochotnika pojechali pomóc Sebastianowi uratować resztki dobytku i przewieźć je do tymczasowego mieszkania. Zgłosiliśmy się prawie wszyscy, w tym jeden z pracowników kotłowni, który był zdeklarowanym satanistą. Nie pojechał tylko pan Marian, człowiek bardzo wierzący i bardzo pobożny. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Sebastian podszedł do mnie i spojrzał mi w oczy.

– No widzisz, księżo – powiedział. – Miałem mieszkanie za 40 tysięcy. I już go nie mam. Co mi na to odpowiesz?

Właśnie. Spróbuj sobie wyobrazić siebie, Czytelniku, w takiej sytuacji. Co odpowiedziałbyś takiemu człowiekowi? Spójrz razem ze mną w te oczy i powiedz mi: czy miałbyś na tyle bezczelności, żeby odpowiedzieć Sebastianowi: „Bóg ma w tym jakiś plan”? Aha, czyli ten potwór zaplanował sobie moje nieszczęścia. No to może: „Bóg cię kocha, cierpi razem z tobą, spójrz, jak cierpiał na krzyżu dla twojego zbawienia”. Więc co? Bóg jest impotentem, który potrafi tylko poklepać po ramieniu i okazać nic niewarte współczucie, ale pomoc nie potrafi? Jak można porównywać trzy godziny wiszenia na krzyżu z dniami, miesiącami, latami cierpień, z którymi zmagali się i zmagają ludzie na całym świecie? To może tak: „Chrystus ci w niebie wynagrodzi”. Jakim potworem trzeba być, żeby kazać sobie za efemeryczną, niepopartą dowodami obietnicę płacić latami, dziesięcioleciami cierpień? Gdzie dowód na to, że to niebo istnieje? Dowód równie mocno odczuwalny i równie namacalny jak to cierpienie.

Można w ten sposób dyskutować bez końca, ale ostatecznie zawsze staniemy wobec kolejnych pytań bez odpowiedzi, bo teologia chrześcijańska ich nie posiada. Jej wywody są kpiną z ludzkiego cierpienia, otwartym naigrawaniem się i nieśmiesznym żartem. Jediną sensowną odpowiedzią jest ta, której wtedy udzieliliśmy Sebastianowi: zakasaliśmy

rękawy i na tyle, na ile rzeczywiście mogliśmy, razem z nim przez te kilka godzin mierzyliśmy się z okrucieństwem jego krzyża. Problem w tym, że takiej odpowiedzi udzielić może nawet satanista. Żalną bezczelnością ze strony Kościoła czy wierzących w ogóle jest przypisywanie tej zasługi Bogu: „Jezus rękami bliźnich ci pomógł!”. To nie żaden Jezus pomógł Sebastianowi. Pomógł palacz satanista w imię Lucyfera, pomogłem ja, przeklęty przez Kościół heretyk, pomogli inni niewierzący. Następnego dnia wszyscy: ogrodnicy, palacze, sprzątaczkę, cały personel pałacu, zrzuciliśmy się z naszych skromnych pensji na pomoc dla Sebastiana. I znów bardzo wierzący i bardzo pobożny pan Marian odmówił dołożenia się, tłumacząc, że „ma wydatki”.

Jako ksiądz nie potrafiłem pomóc cierpiącym także dlatego, że lepiej jest zapobiegać niż leczyć. Człowiek, gdy cierpi, z reguły nie ma siły myśleć. Teologiczne wywody na temat sensu trudnych doświadczeń, nawet jeśli rzeczywiście wyjaśniałyby tę kwestię, są w chwili cierpienia bezużyteczne.

Kolejnym powodem mojej bezradności było to, że chrześcijaństwo wcale nie chce uśmierzać cierpienia. „Kto nie bierze swojego krzyża, a idzie za mną, nie jest mnie godzien” – powiedział Jezus (Mt 10,38). A za nim zastępy jego uczniów rozwijają tę przerażającą myśl, na przykład w taki sposób, jaki mogliśmy swego czasu usłyszeć na antenie Radia Maryja podczas audycji dla małżonków pod tytułem: „Jak być dobrą żoną w sypialni”. Prowadzący uraczyli słuchaczy na przykład taką mądrością: „Jeżeli w czasie współżycia seksualnego jedno z małżonków nie chce współżyć seksualnie, ale widać, że jest jakaś potrzeba z drugiej strony, to także jakaś forma ofiarowania siebie, dawania z siebie życia. (...) Jeżeli wyeliminujemy doświadczenie krzyża, czyli cierpienia, to dojdzie do czegoś takiego, że tylko kiedy mam ochotę, to współżyję, a jak nie mam

ochoty, to nie współżyję, i wtedy może być bardzo poważny problem”. Doświadczenie krzyża. Oto, co ma do zaoferowania chrześcijaństwo: cierpienie jest dobre. Bez cierpienia nie ma zbawienia. *Per crucem ad lucem* – przez krzyż do światła. Kiedyś będzie zbawienie, kiedyś po śmierci będzie szczęście, oczywiście o ile nie pójdziesz na wieczne potępienie. A pójdziesz, jeśli nie weźmiesz swojego krzyża, jeśli nie powiesz swojemu cierpieniu radosnego: „Tak! Oto idę! Radością jest dla mnie wypełniać Twoją wolę, mój Boże!”. Wolą Boga jest, żeby człowiek cierpiał. Wolą Boga jest twój ból. Oto radosna dobra nowina chrześcijaństwa, oto Ewangelia.

Jakkolwiek szalona i irracjonalna wydaje się taka wizja, opuściłem seminarium przekonany o jej słuszności, o tym, że tylko „prymitywni”, „pogubieni” ludzie nie rozumieją „głębi” przesłania chrześcijańskiego, o tym, że sposobem na krzyż jest krzyż. Sądziłem, że jeśli nie potrafię odpowiedzieć cierpiącym, to winą za ten stan rzeczy należy obarczyć jedynie drugi z wymienionych przeze mnie powodów, czyli to, że gdy wierzący pyta księdza „dlaczego?” w obliczu swojego cierpienia, to wówczas jest już za późno. Że winą Kościoła jest to, że nie daje tej odpowiedzi wcześniej, że nie przygotowuje wiary swoich owieczek na nadchodzące boże próby, a winą wierzących jest to, że sami wcześniej o takie przygotowanie nie zabiegają.

Rzeczywistość przeprowadziła mnie jednak cierpliwą, długą i pełną przygód drogą od próby ukrycia problemu do prawdziwego jego rozwiązania. Nie chodziło już tylko o pomaganie innym, ale przede wszystkim o pomoc samemu sobie. Dziś znów powracam w jakiś sposób do dawnej misji, tym razem jednak nie w imię boskie, ale w imię takiego samego obowiązku, jaki ciąży na każdym, kto widzi wypadek samochodowy czy człowieka upadającego na ulicy.

Dopiero po ukazaniu się mojej poprzedniej książki o przygodach w seminarium duchownym miałem okazję zdać sobie sprawę ze skali problemu, jakim są doświadczenia byłych duchownych lub kleryków, których droga kapłańskiej kariery w pewnym momencie się zakończyła. Są nim także doświadczenia o wiele szerszej grupy ludzi: wierzących, którzy wiarę utracili, zwątpili i czują się do dzisiaj z tego powodu winni. Przeklęci. Potępieni. Tych ludzi jest o wiele więcej, niż się komukolwiek wydaje, gdyż często bolesne skutki wiary są na zewnątrz niewidoczne, ci ludzie ogromnym wysiłkiem woli ukrywają je, duszą w sobie.

Oni nie udzielą wywiadów, co najwyżej w chwili słabości napiszą do kogoś takiego jak ja, zaklinając wszakże na wszelkie świętości, żeby ich słów nikomu nie powtórzyć. Podobnych spowiedzi słuchają psychoterapeuci we wszystkich gabinetach Polski, a kodeks etyczny nie pozwala, by te tragiczne zmagania i historie gdziekolwiek wypłynęły. „Nerwica kościelna”, nerwica eklezjogenna – takiej już bowiem nazwy problem ów się doczekał – jest jednak coraz bardziej zauważalnym zjawiskiem. Pojedyncze głosy w mediach, jakieś nieśmiało tu i ówdzie napisane komentarze internetowe, ogólnikowe, ale ważne wypowiedzi niektórych psychoterapeutów, którzy coraz częściej z takimi przypadkami się spotykają – to pierwsze pomruki budzącego się wulkanu. Mam wrażenie, że wielka erupcja wstrząśnie nie tylko Kościołem, ale też wierzącymi, gdy ruszy lawina i nagle okaże się, że przestępstwa pedofilskie są tylko częścią ogromu cierpień, które przyniosło na świat chrześcijaństwo w ogóle, a Kościół katolicki w szczególności.

Mam do opowiedzenia historię, moją historię. Drogę człowieka, który dziś z ironicznym uśmiechem i bez najmniejszego lęku może słuchać pogróżek Ewangelii o wiekuistym potępieniu. Miejsce w tej historii mieli także ludzie, których na tej drodze napotkałem. Są wśród nich koledzy

z seminarium duchownego w Legnicy, których doświadczenia – tak odmienne od moich – czasami udawało mi się poznać. Niektórzy z nich zrobili kościelne kariery, inni skończyli z wyrokiem za pedofilię. Dopiero na tle tych historii będziesz mógł ocenić, Czytelniku, jak wielkim jestem szczęściarzem, że moje losy potoczyły się tak, a nie inaczej. Ta historia jest opowiedziana, aby pomóc. Być może także Tobie.

Twarzą w twarz z Wilkiem

Śmierć z rąk Przyrody w lesie to oryginalny i niezwykle trudny do przeprowadzenia pomysł na samobójstwo. Nie da się go popełnić z rozpaczą i w rozpacz. Można tego dokonać tylko na zimno, konsekwentnie, długotrwanie i drobiazgowo się przygotowując, planując, ucząc się, ćwicząc i testując różne elementy swojego planu, dopracowując go w najmniejszych szczegółach.

Był 22 marca 2015 roku. Tego dnia stałem nad brzegiem stawu w Borach Dolnośląskich, cztery kilometry od najbliższych siedzib ludzkich. Wokół rozciągały się hektary sosnowego, przemysłowego lasu, nasadzonego równiutko w rzędach niczym buraki. Totalne pustkowie i zupełna cisza. Od dziewięciu miesięcy poszukiwałem śmierci. Najpierw przez trzy miesiące trenowałem surwiwal w lasach Gór Izerskich. Urodziłem się i wychowałem w górach, las górski był mi przyjaźniejszy, lepiej znany, był dla mnie czymś w rodzaju przedszkola. Tutaj, na równinie, las jest zupełnie inny. Brakuje tu wody, próżno szukać czystych potoków i źródeł, na które w górach natknąć się można co kilkaset metrów. Zamiast tego są tutaj bagna, a jeśli już napotkamy jakiś ciek wodny czy staw, to woda w nim jest zatechłą breją. Można przejść wiele kilometrów i widzieć na dnie lasu tylko piach porośnięty wrzosami i jagodzinami. Ale to tutaj szukałem śmierci, bo wybrałem już swojego kata. Chciałem, żeby życie odebrały mi wilki, a w tamtych czasach najbliższej można było spotkać je w Borach Dolnośląskich.

Przeczytałem wszystko, co wpadło mi ręce, o zwyczajach, zachowaniach i życiu tych drapieżników. Czytałem, jak przywabić wilka, jak sprawić, żeby to nieufne i unikające człowieka zwierzę zechciało uczynić dla mnie wyjątek od swoich zwyczajów. Poszukiwałem sposobów, jak wilka sprowokować, jak sprawić, żeby zechciał mnie zaatakować i przegryzieniem gardła zakończył moje nic niewarte życie. Dowiedziałem się na przykład o gruzińskim biologu Jasonie Badridze, który badając wilki w ich naturalnym środowisku, wędrował po ich terytorium i zostawiał tu i ówdzie niewielkie skrawki tkaniny ze swoich ubrań, w ten sposób niejako przedstawiając się wilkom, oswajając je ze swoim zapachem, ze swoją obecnością.

Po wielu nocach spędzonych w lesie latem i zimą, zarówno przy dobrej pogodzie, jak i w czasie burzy, po wielu rekonesansach w Borach Dolnośląskich i wnikliwym studiowaniu map tego ogromnego kompleksu leśnego wybrałem obszar na wschód od wsi Ruszów. Liczne świadectwa ludzi, którzy widywali tam wilki, dostępność wody i spora odległość od ludzkich siedzib uprawdopodobniały spotkanie. Pozostał mi jeden problem: jak dowiedzieć się, że na danym obszarze występują wilki? Musiałem się nauczyć rozpoznawać ich ślady, odróżniać je od śladów dużych psów pierwotnych ras.

Te drobiazgowo przygotowania nie poszły na marne. Już pierwsza wizyta na wytypowanym obszarze zakończyła się odnalezieniem wielu wilczych tropów. Przyjeżdżałem tam odtąd co weekend, wytrwale śledząc wilcze ścieżki i notując ich przebieg. Odnalazłem nawet coś, co w anglojęzycznej literaturze nazywa się *rendez-vous site*, czyli wyznaczone miejsce co kilka dni odwiedzane przez stado, tak że odłączony i zagubiony z jakiegoś powodu osobnik może tam zaczekać, aż jego wilcza rodzina go odnajdzie. Zacząłem jak Badridze oswajać wilki ze swoją obecnością.

Zakopywałem w piasku na drodze ich tropów małe skrawki materiału nasączone moim potem, początkowo na granicach terytorium, potem w samym jego centrum, na *rendez-vous site*. Nie musiałem długo czekać na reakcję wilków, i to reakcję nad wyraz inteligentną.

Któregoś razu po całym dniu obchodu opuściłem wilcze terytorium i gdy uszedłem już mniej więcej pół kilometra od ostatnich wilczych tropów, postanowiłem odpocząć w zaciszu gęsto rosnących świerków. Po tygodniu w tym samym miejscu odnalazłem ślady wilka, który podszedł tam, gdzie siedziałem, i... przyniósł jedną ze szmatek z moim zapachem. Tak nawiązał się swoisty dialog z wilkami. Na moją obecność odpowiadały znakami swojej obecności, na skrawki materiału – śladami pazurów na piachu. Dialog ten zaczął mnie irytować, bo zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie od momentu, gdy wchodzę do lasu, jestem pilnie obserwowany, ale żaden z wilków nie zechciał obdarzyć mnie tym zaszczytem, żeby pokazać mi się choć z daleka.

Nie poddawałem się jednak, bo moje postanowienie było jak ze stali, powzięte zupełnie na zimno, obliczone, zważone, ostateczne i nieodwołalne. Żyłem, pracowałem, trzymałem się tylko po to, żeby co weekend spróbować jeszcze raz choćby o włos przesunąć granicę w nadziei, że w końcu ją przekroczę, a wtedy może uda się sprawić – każdej nocy o tym marzyłem – że jakiś wilk zechce zostać moim sędzią i katem i za nieudacznictwo mojego życia wymierzyć mi karę śmierci.

Któregoś razu, a był to śnieżny, styczniowy poranek, napotkałem ślady całego stada tak świeże, że mogłem być pewien, że wilki przeszły tamtędy nie dalej niż godzinę temu. Wiele czasu w ramach przygotowań poświęciłem słuchaniu nagrań wilczego wycia, teraz więc starałem się zawyć do nich, wezwać je. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Innym razem usadowiłem się w lesie nieopodal jednego ze stawów w miejscu, gdzie

mogłem obserwować w miarę dużą część otwartego terenu nad wodą. Znużony długim czekaniem w ciszy zasnąłem. Rano zobaczyłem wokół mnóstwo wilczych śladów. Tak, gdy spałem kompletnie bezbronny, wilki przyszły, obeszły mnie dookoła, kto wie, może i któryś pokropił mnie moczem, a potem wzgardliwie odeszły. I tak mijały tygodnie, miesiące. I nic. Ale nie przestałem tam przyjeżdżać i robić kolejnych drobnych kroków, które, jak mi się zdawało, powoli, ale nieustannie zbliżają mnie do celu. Nie wiem, co dało mi tę pewność, ale byłem przekonany, że coś się w końcu wydarzy.

Aż nadszedł ten dzień, 22 marca 2015 roku. Jak co weekend przyjechałem porannym pociągiem do Ruszowa i wyruszyłem w lasy. Tego dnia na żadnej ze ścieżek nie zobaczyłem ani jednego odcisku wilczych łap, a uwierzcie mi, po tylu godzinach, dniach ciągłego łażenia za wilkami miałem już tak wytrenowany wzrok, że potrafiłem wypatrzyć nawet ledwo widoczny, zatarty, tygodniowy czy nawet starszy trop. Tym razem nie było nic. W pewnym momencie gdzieś z drzewa nieopodal zerwał się kruk i z głośnym krakaniem odfrunął w kierunku północno-wschodnim. Kruki żyją w swojego rodzaju symbiozie z wilkami: osobniki obu gatunków potrafią się ze sobą porozumiewać, kruki za możliwość ucztowania na resztkach upolowanych zwierząt odwdzięczają się dozorem z powietrza. Wiedziałem, że moje pojawienie się zostało zauważone.

Przeszedłem tego dnia całe terytorium wilków, nie zobaczywszy ani jednego śladu. Zbliżał się czas, kiedy musiałem wracać. Następnym razem – pocieszałem się. Wracając, odruchowo nie odrywałem wzroku od ziemi. Nie robiłem tego celowo, szedłem dokładnie tą samą drogą, więc wiedziałem, że nie ma na niej ani jednego wilczego tropu. Pozostał mi jednak wykształcony przez te wszystkie wyprawy do lasu nawyk. I nagle je zobaczyłem. Świeże ślady pojedynczego wilka, bezczelnie nakładające się

na moje własne. Dłuższy czas stałem nad nimi kompletnie bezmyślnie, bo nie docierała do mnie doniosłość tego, co właśnie zaobserwowałem. Sądząc po odległości między punktem, z którego zdecydowałem się wracać, a tym, w którym napotkałem trop wilka, musiał mnie śledzić nieomalże w zasięgu wzroku. Gdybym na którymś z prostych odcinków leśnej drogi nagle się odwrócił, mógłbym go prawdopodobnie zobaczyć. Nie mieściło mi to się w głowie. Niezwłocznie ruszyłem po śladach.

Często ktoś mnie pyta, przysyłając jakieś zrobione aparatem w telefonie zdjęcie: czy to jest ślad wilka? Nie wiem, odpowiadam zazwyczaj. To nie kształt łap jest najbardziej charakterystyczny. Owszem, większość psów zostawia ślady już na pierwszy rzut oka zupełnie niepodobne do wilczych, ale są takie psy, które zostawiają tropy do złudzenia podobne. Poza tym i wilki różnią się między sobą kształtem poduszek łap. Tropy dwóch z pięciu członków „mojego” stada były na tyle charakterystyczne, że potrafiłem je już wtedy odróżnić od śladów innych wilków. Nawet wielkość tropu – u psów bardzo rzadko dochodząca do 12–13 cm średnicy, podczas gdy u wilków jest to norma – nie może być wyznacznikiem. Ta wielkość zależy także od tego, po czym zwierzę szło, czy po głębokim błocie, po piasku czy może po ubitej ziemi.

Nie da się natomiast pomylić przebiegu śladów. Wilk wędruje jak maszyna, z laboratoryjną precyzją stawiając łapy. Może „sznurować”, to znaczy kłaść tylną łapę idealnie w miejsce przedniej, a prawą zawsze w miejsce lewej i tak dalej, tak że w rezultacie otrzymujemy ciąg pojedynczych odcisków łap. Może też poruszać się, stawiając odcisk tylnej łapy nieco na lewo i nieco przed odciskiem przedniej. Zawsze jednak odległości między śladami są identyczne, a trop układa się w idealną linię prostą. Wilk chodzi jak strzała, zdając się ignorować wszystko dokoła. Żaden pies tego nie potrafi. Pies biegnie od krzaczka do krzaczka, to jedną, to

drugą stroną drogi, to przyspiesza, to zwalnia. Czemu tak jest? Nie wiem. Może wilk w przeciwieństwie do psa jest zmuszony przez trudne warunki, by interesować się tylko tym, co absolutnie konieczne, i nie zbaczać z obranej drogi? Może po prostu nie musi podbiegać do każdego krzaczka, żeby go powąchać, bo jak wynika z rozmiarów nabłonka węchowego, jego zmysł powonienia jest czulszy niż psi?

Proste, jakby maszynowo odcisnięte ślady zawiodły mnie tego popołudnia nad jeden ze stawów, do miejsca, gdzie ścieżka prowadząca brzegiem strumienia dopływowego przekraczała niewielki mostek i biegła dalej, okrążając staw od zachodu. Tam wilk wykonał nagle zwrot i – jak wskazywał ostatni odcisk łapy na piasku – ruszył wążutką, ledwo widoczną, zwierzęcą ścieżką. Przystanąłem. Niepodobna śledzić wilka na ścieżce, na której nie odbijają się już żadne ślady. Może jakiś utalentowany traper po trąconej gałązce, lekko naruszonej ściółce czy zwichniętym listku potrafiłby rozpoznać, którądy przeszło zwierzę, ale moje możliwości to przekraczało.

Ogarnęło mnie zniechęcenie. Znów to samo. Znów było tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Jakiś odruch sprzeciwu wobec rzeczywistości popchnął mnie na tę zwierzęcą ścieżkę, mimo że nie byłbym w stanie niczego na niej wytropić. Nie uszedłem jednak nawet dwudziestu kroków, gdy moją uwagę przykuło dziwne urządzenie leżące w krzakach. Była to tak zwana żywołapka, rodzaj sideł w postaci prostokątnej wydłużonej klatki, zaopatrzonej na obu końcach w klapki, które zamykają się, gdy zwierzę skusi się na przynętę. W tym wypadku była to otwarta puszką śledzi w oleju. Klatki takie służą do chwytania drobnych zwierząt futerkowych, na przykład lisów, kun, bobrów. Mogą być oczywiście wykorzystywane w celach badawczych, ale w takim wypadku należałoby

się spodziewać, że urządzenie będzie należycie oznaczone, zaopatrzone w jakiś numer itp. Przy tym niczego takiego nie było.

Gdy ujrzałem pułapkę, zupełnie zapomniałem, po co wszedłem na tę ścieżkę. Opanowała mnie wściekłość. Oto ludzie, ci, którzy depczą, wyrzynają i traturują lasy, którzy strzelają dla zabawy do zwierząt, traktują żywe, inteligentne i czujące istoty zamieszkujące las jako zasób do użytkowania, dla których Przyroda jest tanią dziwką, bo – a jakże! – Bozia nakazała im „czynić sobie ziemię poddaną”, ci sami ludzie, przez których ja stałem tutaj, na drodze do śmierci, dla których ja sam byłem nikim, niewiele więcej wartym od takiego lisa czy łasicy, ci ludzie mają chęć gwałcić mój las. Mój, bo tyle mojego potu i mojej krwi wsiąkło w jego glebę, mój, bo tyle czasu w nim spędziłem, mój wreszcie, bo dostąpiłem zaszczytu nawiązania dialogu z jego królem, wilkiem.

Nigdy wcześniej nie odczułem w swoim życiu takiego gniewu jak wtedy. Ten gniew był palący jak miłość, nieprzejednany jak zazdrość. Jak śmiecie wy, nowotwór Ziemi, wy, ludzie! jak śmiecie włożyć ze swoimi śmierdzącymi butami w najświętsze sanktuarium zwierząt, istot, z których każda, bezwzględnie każda jest więcej warta niż cała ludzkość z jej żalosną sztuką, kulturą i cywilizacją. Chwyciłem pułapkę, wyrwałem ją z ziemi i wróciłem nad staw. A potem zamachnąłem się i wyrzuciłem ją w sam jego środek. Stalowe urządzenie wpadło do wody i zatoneło.

Zerwał się wiatr. Zaszumiały sosny, brzozy i świerki, zaszeleściły leszczyny, czeremchy i sitowia, niczym westchnienie jakiejś potężnej istoty, oddech Przyrody. Szum przeszedł przez las – dokładnie to pamiętam – od południowego zachodu po północny wschód, oddalił się i ucichł, ale krzaki za moimi plecami nie przestały szeleścić. Skóra ścierpła mi na karku. Odwróciłem powoli głowę.

Czarne jak otchłań piekła punkciki źrenic w oprawie opalizujących żółtych oczu przeniknęły mój wzrok, nieomalże sprawiając ból, wbijając się w głąb świadomości. Stał trzy metry ode mnie. Widział. Przyglądał się. Wiedział wszystko. Kim jestem, czego tu szukam, kiedy przybyłem i kiedy odjadę. Jego doskonały węch zapewne powiedział mu, co jadłem, co piłem i czego dotykałem w ciągu minionego tygodnia, a może i dawniej. Ale to wszystko zdawało się go w ogóle nie obchodzić. Po prostu patrzył. Nie wiem, jak długo to trwało, może kilka sekund. Ale dla mnie te sekundy trwały wiele, wiele godzin. Trwały i trwają po dziś dzień. Te dwa punkciki utkwionego we mnie wilczego wzroku wypaliły mi znamiona, których ani trochę nie zatarły lata, które od tamtej chwili upłynęły.

Nagle wilk znikł w zaroślach. Stało się to tak szybko, jakby jakiś niekompetentny montażysta filmu mojego życia zgubił kilka klatek. Chwiała się tylko trącona przez wilka gałązka i odezwał się jeszcze ledwo słyszalny szmer – najpierw dziesięć, potem nagle czterdzieści metrów dalej. Drapieżnik rozpląnął się w lesie jak wiatr. A ja stałem wciąż nieruchomo, przygwożdżony do ziemi, wciąż z obróconą za siebie głową. Nic do mnie nie docierało. Zdawało mi się, że czas stanął w miejscu. Nie da się ludzkim językiem opowiedzieć, co wówczas myślałem. Pamiętam dokładnie te myśli przebiegające moją głowę z szybkością błyskawicy, ale nie można ich opowiedzieć, bo składały się z pojęć, których ludzie nigdy nie mieli potrzeby nazywać. Ale w końcu ześrodkowały się we mnie i wybuchły.

Upadłem na kolana i zaniósłem się szaleńczym szlochem. Na tę jedną chwilę powróciło z całą mocą szaleństwo, od którego się to wszystko zaczęło. Wyrwało mi się z ust jedno jedyne pytanie:

– Ach, czemu? Czemu nie jesteś moim bogiem? Jak bardzo bym chciał mieć takiego boga jak ty! – wołał były wierzący, były duchowny katolicki. Wołałem ja.

Wiele minut minęło, zanim te zupełnie nieracjonalne emocje wygasły i znów trzeźwym wzrokiem mogłem spojrzeć na rzeczywistość. Wokół mnie była Przyroda – bezduszna, zupełnie obojętna na mnie, na mój los, moje życie. Obojętna wyniośle, ze wzgardą, z jaką spogląda kilkusetletnie drzewo na rozbieranego zwierzaka, którego życie jest ledwie niewartym uwagi mgnieniem.

I wtedy zrozumiałem. Nawet jeśli by istniał jakiś Jezus, jakiś ten czy inny bóg, nic mnie to już od dawna nie obchodzi. Obchodzi mnie tylko ten las i te oczy wilka, utkwione we mnie spojrzenie, będące zaszczytem, najwyższą nagrodą za miesiące starań i zabiegów. Przyroda jest bezdusznie obojętna na mój los, prawa fizyki nie przestaną działać niezależnie od tego, ile bym wznosił modłów, odprawiał rytuałów, różańców, koronek, ile bym litanii odmawiał do jakichkolwiek bóstw. Ale właśnie te same prawa fizyki są przemożną, prawdziwą, namacalną opieką i pomocą. One utrzymują mnie przy życiu, one sprawiają, że krew krąży w moich żyłach, że impulsy przebiegają po aksonach moich komórek nerwowych, one tworzą mnie. Wyniosła obojętność Przyrody zrobiła i robi dla mnie o wiele więcej niż Jezus, któremu służyłem przez tyle lat z niezmaconą wiernością, a który nie zrobił dla mnie nic. Każdy ma takiego boga, na jakiego sobie zasłużył.

Od tamtego dnia nie obchodzi mnie to, co na mój temat myślą i mówią ludzie. Głos ludzkiego społeczeństwa nic dla mnie nie znaczy wobec tej jednej chwili, gdy wilk spojrział mi w oczy i ostatecznie dopełnił mojej wielkiej przemiany. Odtąd już nie szukałem w lesie śmierci, ale wiedzy.

Punkt wyjścia

Istnieje pewien do bólu powtarzany argument, a tak naprawdę chwyt erystyczny, którym posługują się ludzie Kościoła, żeby zdyskredytować, poniżyć i zlekceważyć tych wszystkich, którzy od ich wiary odeszli. Brzmi on: „Nigdy tak naprawdę nie wierzyłeś!”. Argument ten wynika z szerszego przeświadczenia, które przenika wiarę chrześcijańską: „Prawdziwa (wstawić dowolną wartość) nigdy się nie kończy”. A więc: prawdziwa miłość nigdy się nie kończy. Prawdziwa przyjaźń nigdy się nie kończy. Jeśli już nie kochasz swego męża / żony / sympatii, to znaczy, że nigdy naprawdę nie kochałeś / nie kochałaś. Jeśli przyjaciel opuścił cię w trudnej chwili, to znaczy, że nigdy prawdziwym przyjacielem nie był.

Fałszywość tego przeświadczenia, a nazywając rzecz po imieniu: przesądu, chyba najprościej można wykazać na przykładzie przyjaźni. Nieprawdą jest, że prawdziwy przyjaciel nigdy cię nie opuści. Każdy człowiek jest tylko człowiekiem, ma swoje ograniczenia i słabości. Są sprawy, w kwestii których będzie niezwykle cierpliwy i wyrozumiały, a są takie, których nie zniesie nawet w niewielkiej dawce. Naprawdę może być tak, że ktoś, kto przez lata wspierał cię, pomagał, znosił z tobą wiele trudnych chwil, pewnego dnia stanie przed próbą, której nie wytrzyma, odejdzie od ciebie, zdradzi cię, opuści. Chrześcijańska retoryka wmówi ci, że nigdy tak naprawdę nie był twoim przyjacielem. To kim był w takim razie przez te wszystkie lata? Jakiekolwiek by zastosować wybiegi semantyczne, prawda pozostanie bardzo prosta, choć bolesna: tak, był

prawdziwym przyjacielem. Ale już nie jest. Nawet prawdziwa przyjaźń może się kiedyś skończyć. Prawdziwa miłość też. Jeśli przyjaźń lub miłość przetrwała między ludźmi od samego początku aż do śmierci, to znaczy, że nie natknęła się na okoliczności, których by nie wytrzymała. Nie wszyscy mają to szczęście.

Chrześcijaństwo wpoilo w nas przeciwne rzeczywistości przeświadczenie, że pewne rzeczy są wieczne. Że my sami jesteśmy wieczni, nieśmiertelni, bo mamy nieśmiertelną duszę, że mamy prawo do nieskończoności aspirować. Nie zmieni to faktu, że jesteśmy naprawdę istotami skończonymi. Widzimy wyraźnie do pewnej odległości, ale nie dalej. Potrafimy podnieść ciężar o określonej wadze, ale w końcu będzie taki, którego nie podniesie żaden atleta. Umiemy liczyć w pamięci, ale w końcu znajdą się obliczenia, których żaden geniusz w głowie nie dokona. Możemy się cieszyć jakimś szczęściem, ale każda szczęśliwa chwila, jeśli będzie trwała za długo, prawem inflacji zmieni się najpierw w nudę, a potem w cierpienie. Taka jest rzeczywistość i taką pozostanie, niezależnie od tego, jak mocno niektórzy będą wierzyć w coś przeciwnego.

Właśnie na mocy tej prawdy z całą odpowiedzialnością jestem w stanie powiedzieć, że nim zaczęła się moja droga odejścia od wiary, wierzyłem naprawdę. Z prawdziwie gorejącą w sercu wiarą wstąpiłem do seminarium. To dzięki tej właśnie wierze byłem w stanie je przejść, mimo że ujrzałem tam tak wiele rzeczy, które budziły we mnie sprzeciw. Mojej wiary nie osłabiło nawet to, że 20 kwietnia 2009 roku, na miesiąc przed święceniami prezbiteratu, zostałem z seminarium usunięty.

Swoją drogę wiary przeszedłem tam ze św. Janem od Krzyża, tym samym, któremu pracę doktorską poświęcił Karol Wojtyła. Moje zainteresowanie jego pismami pojawiło się na samym początku seminarium. Nasz ojciec duchowny ks. Bogdan Ż. zebrał nas któregoś dnia

na pogadankę o tym, jakie lektury duchowe powinniśmy w trakcie pierwszego roku przeczytać. Zalecał na przykład „Dzienniczek” św. Faustyny Kowalskiej, „Dzieje duszy” św. Teresy od Dzieciątka Jezus, „Ćwiczenia duchowne” św. Ignacego Loyoli czy „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis. Żadna z tych pozycji nie była dla nas zaskoczeniem, wszystkie należą do klasyki mistyki katolickiej. W pewnym momencie jednak ks. Bogdan, robiąc swoją typową, srogą minę, powiedział:

– Zabraniam wam natomiast czytać Świętego Jana od Krzyża. To dla was za trudne, synkowie moi.

Co robią młodzi ludzie, kiedy im się czegoś wyraźnie zabrania? Oczywiście robią właśnie to. Pół naszego roku przy najbliższej możliwej okazji zakupiło sobie „Dzieła” św. Jana od Krzyża, żeby dowiedzieć się, dlaczego nie wolno nam ich czytać na pierwszym roku seminarium duchownego. Ci, którzy to zrobili – w tej liczbie i ja – musieli przyznać rację ojcu duchownemu. Św. Jan od Krzyża był koszmarnym pisarzem, bo zaczynając jakąś myśl, nagminnie przerywał ją dygresją, w trakcie której zapominał o głównym wątku, po czym od tej dygresji robił następną, potem jeszcze następną... Potrafił jakąś myśl porzuconą w jednym ze swoich dzieł ni stąd, ni zowąd kontynuować w następnym, poświęconym zupełnie innym rozważaniom. Jak wielu na naszym roku i mnie odrzucił ten styl pisania, więc „Dzieła” św. Jana od Krzyża wylądowały ledwie nadgryzione na mojej półce. Kilukrotnie próbowałem do nich wracać, ale z tym samym skutkiem. Aż nadszedł mój trzeci rok. Wszedłem w niego z najczarniejszymi myślami, bo czekało mnie zmierzenie się z prawdziwą próbą wiary.

Zanim wstąpiłem do seminarium duchownego, przez pięć lat byłem aktywnym uczestnikiem Ruchu Światło–Życie, szerzej znanego pod

potoczną nazwą „oazy”. Po tej długiej przygodzie zabrałem ze sobą do seminarium pewien nierozwiązany konflikt. Chodziło *de facto* o bzdury, ale, jak to w Kościele bywa, najmniejsze bzdury są właśnie źródłem najpoważniejszych problemów. Problem polegał na tym, że opowiedziałem się po jednej ze stron starego jak świat problemu pedagogicznego, który w uproszczeniu brzmi: wychowywać przemocą czy łagodnością? „Klaps w tyłek” czy „bezstresowo”?

Przez trzy lata swojego uczestnictwa w oazie byłem animatorem, czyli świeckim współpracownikiem księży (tak zwanych moderatorów) prowadzących parafialną komórkę oazy lub letnie rekolekcje. Na początku oczywiście z zapałem przejąłem doktrynę obowiązującej wówczas w oazie szkoły pedagogicznej mówiącej, że trzeba surowo wymagać, przy najmniejszym uchybieniu stanowczo karać, a wszystko to z lękiem, że jak się zbyt łagodnie kogoś potraktuje, to zacznie być nieposłuszny. Problem ten nieobcy jest wszystkim, którzy zajmują się pracą z młodzieżą, czy to nauczycielom, czy księżom, a także wszelkiej maści takim jak ja pomocnikom bez właściwego przygotowania pedagogicznego, którzy swoje kompetencje muszą zbudować sami na własnych błędach.

Zobaczyłem dość szybko i brutalnie, że nic z tego nie wychodzi. Jako siedemnasto-, osiemnasto- czy dziewiętnastolatek postawiony nad grupą młodszych o najwyżej dwa, trzy lata uczestników oazy nie miałem po prostu wystarczającego autorytetu, żeby skutecznie wprowadzić terror i tym terrorem trzymać grupę w ryzach. Zawsze dana grupa młodych uznawała mnie w końcu za zarozumiałego durnia i zwyczajnie odmawiała posłuszeństwa, mając zresztą absolutną rację.

Zrobiłem wtedy to, co powinienem zrobić na samym początku, a mianowicie diametralnie zmieniłem podejście. Na ostatnich przed wyjazdem do seminarium dwutygodniowych rekolekcjach oazowych

potraktowałem swoją grupkę młodych oazowiczów nie jak wychowanków lub szeregowych, ale jak kumpli. Powiedziałem im, że jest głupotą, żeby dziesiętnastolatek rozkazywał siedemnastolatkom i próbował ich „nauczać”, więc nie zamierzam tak postępować. Że pewne rzeczy jako grupa będziemy musieli zrobić, ale jeśli oni nie będą mieli na to ochoty, będę to robił sam. Powiedziałem, że nie posiadam żadnych narzędzi pozwalających mi ich zdyscyplinować, więc mogą robić, co im się żywnie podoba, ale niech pamiętają o tym, że to ja poniosę konsekwencje wszystkiego. Dodałem, że nie boję się tego, niech robią, co chcą, niech cały ośrodek rozniosą, w razie potrzeby stawię czoła temu, co się potem stanie. Bo uważam ich za dojrzałych, wspaniałych ludzi i jest dla mnie wielką chwałą i zaszczytem móc spędzić z nimi te dwa tygodnie. Skutek takiego postawienia sprawy był wręcz magiczny: grupa zadziornych nastolatków karnie i solidarnie wykonywała wszystko, co im kazałem, a przy tym okazali mi prawdziwą przyjaźń i bezkompromisowe poparcie.

Mój problem polegał na tym, że pechowo na tej właśnie oazie pozostali animatorzy grup byli zwolennikami surowego wychowania. Gdyby oprócz mnie był chociaż jeden, dwóch takich, którzy by stawiali na łagodność, gdyby choć kilku z nas podczas dyżurów zmywało lub sprzątało ośrodek razem ze swoją grupą, wszystko wyglądałoby inaczej. Tymczasem złośliwy los sprawił, że akurat wtedy uwidocznił się między mną a pozostałymi animatorami wprost karykaturalny kontrast. W oczach uczestników był „dobry” Robert i „źli” animatorzy. On z nami zmywa, a oni wydają rozkazy i idą na kawę. On spędza z nami większość czasu, a oni siedzą tylko ze sobą. Gdy coś zrobimy nie tak, on nas broni, a pozostali przeciwnie, są pierwszymi oskarżycielami swoich podopiecznych.

Złośliwym krytykom od razu powiem, że to, co wyżej napisałem, nie jest aktem pychy, ale relacją z faktycznych wydarzeń, które były wyłącznie

skutkiem pechowego zbiegu okoliczności. Gdybym na pomysł takiego, a nie innego podejścia do uczestników oazy wpadł wcześniej, na innym wyjeździe rekolekcyjnym, w moim podejściu nie byłoby nic dziwnego. Znałem wielu animatorów, którzy postępowali w stosunku do uczestników łagodnie, z wyrozumiałością i szacunkiem. Takich jednak akurat na tym wyjeździe zabrakło. Co ciekawe, miałem jedną sojuszniczkę, inną animatorkę, która podzielała łagodną szkołę wychowania, ale – niestety – na tej oazie nie prowadziła ona grupy, tylko szkołę śpiewu, przez co jej postawa nie wyróżniała się odpowiednio mocno. Tym samym stałem się odszczepieńcem, który wybija się i niszczy wspólny front.

Moja postawa automatycznie odarła z autorytetu pozostałych animatorów, bo młodzież miała przed sobą jasne zestawienie dwóch przeciwnych szkół pedagogicznych, a chyba to oczywiste, która im bardziej odpowiadała. Doszło prawie do otwartego buntu, bo na spotkaniach innych grup niektórzy co czupurniejsi uczestnicy zaczęli wszczynać dyskusję ze swoimi animatorami, krytykować ich postawę, a to dla tych młodych, bardzo ambitnych ludzi było nie do przyjęcia. Fakt, że niektórzy uczestnicy powoływali się na mój przykład: „A u Roberta w grupie jest inaczej”, sprawiał, że pozostali animatorzy z księdzem na czele zaczęli podejrzewać mnie o świadome przywództwo tej rebelii, a to w oazie – jak i w całym Kościele – jest absolutnie niedopuszczalne.

Dlatego trzech znajomi księży związani z oazą, w tym i ten, który wówczas prowadził rekolekcje, poczekawszy, aż nadejdzie mój trzeci rok w seminarium, wysłali do przełożonych trzy potężne sprawozdania na temat mojego pobytu w Ruchu Światło–Życie. Bardzo się postarali, żeby przedstawić mnie w jak najgorszym świetle. Czekali do trzeciego roku, bo pojawia się wtedy pierwsza poważna okazja, by pozbyć się kleryka z seminarium. Nazywa się to niedopuszczeniem do stroju duchownego, czyli

do tak zwanych obłóczyn. W zamkniętym środowisku kleryków jest to tak straszliwe i tak złośliwie przez kolegów traktowane upokorzenie, że tylko nieliczni są w stanie je przetrwać i w seminarium pozostać. Pozwala to przełożonym uniknąć wyrzucania kleryka, wystarczy, że go nie dopuszczą do przyjęcia sutanny, a prawie na pewno wkrótce odejdzie sam.

Wskutek doniesienia księży oazowiczów przełożeni zakomunikowali mi niedwuznacznie, że na moim roku jestem jedynym, co do którego „mają poważne wątpliwości”, czy można mnie do dalszego etapu seminarium dopuścić. To zagrożenie sprawiło, że ponownie sięgnąłem po Jana od Krzyża. Czytając „Noc ciemną”, doznałem istnego olśnienia. Autor zaczyna od bardzo przenikliwej analizy psychologicznej tych, których nazywa początkującymi na drodze wiary. Jego zdaniem ci tak pełni zapału są w rzeczywistości okropnymi pyszałkami, a motywacją ich modlitwy jest egocentryzm, chęć pokazania się i wywyższenia we własnych oczach. Zaiste, nie w smak byłaby ta lektura wielu pobożnym katolikom, bo ukazuje, jak niskie pobudki stoją za ich ostentacyjną religijnością i jak podła i niska jest wiara wielkich „obrońców chrześcijaństwa”, których komentarze zaśmiejają polski internet.

Jan od Krzyża pisze: „Ponieważ początkujący czują się pełnymi zapału i gorliwości w rzeczach duchowych (...) rodzi się pewien rodzaj ukrytej pychy, skutkiem której zaczynają oni nabierać niejakiego zadowolenia z samych siebie i swoich uczynków (...). Z tego źródła wypływają próżne, czasem nawet bardzo próżne chęci rozmów o rzeczach duchowych z innymi. Często zresztą w tym celu, by innych nauczać, niż by się od nich uczyć. Gdy zaś napotykają u nich inny rodzaj pobożności niż ich własny, potępiają ich (...) W swej zarozumiałości postanawiają wiele, a wykonują mało. Niejednokrotnie mają chęć, aby inni zauważyli ich ducha i pobożność i w tym celu posługują się czasem zewnętrznymi znakami (...) Nie lubią te

dusze, by innych chwalono, lecz pragną własnych pochwał i czasem ich wprost szukają (...) Szukają ustawicznie pociechy i wskazówek duchowych, wynajdują książki i bezustannie je czytają, by znaleźć w nich to, czego pragną (...). Nadto jeszcze gromadzą osobliwe obrazy i różańce, wybierając raz te, raz tamte (...) Popadają w gniew za lada przyczyną. W rezultacie takie dusze bardzo często bywają nieznośne dla otoczenia (...). Unoszą się gniewem i niespokojną żarliwością na widok cudzych wad. Zwracają wtedy uwagę drugim i w uniesieniu i udzielają im ostrej nagany, jak gdyby byli panami cnoty (...)"

Poczułem, że te wszystkie słowa mogę odnieść do siebie. Tym bardziej wstrząsające było dla mnie twierdzenie, które Jan od Krzyża stawia na koniec tych rozważań o ludzkich wadach i słabościach. Pisze on, że choćby taki człowiek nie wiadomo jak usilnie pracował nad swoim charakterem, na nic się ta praca nie zda. Tylko Bóg może go zmienić i czyni to, wprowadzając takiego człowieka w ogień cierpień, które oczyszczają takiego kogoś z jego wad, uświęcają, przybliżają do Boga. W swoich dziełach Jan od Krzyża dokładnie wskazuje, jak przejść poszczególne etapy tego boskiego oczyszczenia.

Dla mnie, bardzo wtedy wierzącego w istnienie Boga, i to tego Boga, którego głosi wiara katolicka, było to istne objawienie. Zrozumiałem, że oto mam w ręku podręcznik, który krok po kroku opisuje, jak dojść do rzeczywistego oglądania samego Boga, do bezpośredniego kontaktu z nim. Zrozumiałem, że to, co się dzieje w moim życiu, te przeciwności, są idealną okazją, by wejść na opisaną przez Jana od Krzyża drogę. Tym samym sprawdzić naocznie prawdziwość swojej wiary i przekuć ją w pewność, tę samą pewność, z którą apostołowie mogli mówić: „To wam oznajmiamy (...) co ujrzeliśmy własnymi oczami, na co patrzyliśmy i czego dotykały

nasze ręce – bo życie objawiło się. Myśmy je widzieli, o nim świadczymy i głosimy wam życie wieczne” (1J 1,1-2).

Poszedłem do seminarium z głębokim przeświadczeniem, że bezpośredni kontakt z Bogiem jest podstawowym obowiązkiem księdza. To cel, do którego – jak w swojej naiwności sądziłem – powinien dążyć każdy kapłan. Ba, dążyć. On go powinien osiągnąć, zanim księdzem zostanie! Bo jak można nauczać innych o rzeczywistości, której się samemu nigdy nie doświadczyło? Jak innym mówić o Bogu, gdy się go nie poznało? Tak, wiem, i dobrze już wtedy wiedziałem, że bardzo wielu księży doskonale obywa się bez poznania Boga, a nawet bez Boga w ogóle. Sądziłem jednak, że przynajmniej w założeniach tak nie powinno być. Chciałem chociaż spróbować, czy nie można inaczej. A chyba można i trzeba – myślałem – skoro Kościół stawia swoim wiernym i swoim kapłanom za wzór tylu świętych i błogosławionych, którym to się podobno udało.

9 listopada 2005 roku zebrała się rada przełożonych seminaryjnych, aby uradzić, czy kleryków naszego roku uznać za godnych przyjęcia stroju duchownego, czy nie. Poszedłem po południu do kaplicy i gorąco się modliłem. Ale nie o to, żeby przełożeni oddalili zarzuty moich wrogów, wręcz przeciwnie. Modliłem się, dziękując Bogu za to, że do obłóczyn nie zostanę dopuszczony. Z żarliwością się na to godziłem, ba, pragnąłem tego. Jak Abraham był gotów dla Boga ująć nóż i zabić swojego syna, tak ja byłem gotów z radością przyjąć z ręki Boga zniweczenie moich marzeń. Bliskie mi były wtedy słowa psalmu 40: „Nie chciałeś ofiary krwawej ani obiaty, lecz otwarłeś mi uszy; całopalenia i żertwy za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: Oto przychodzę; w zwoju księgi o mnie napisano: Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu”. Oto przychodzę na twój rozkaz, Boże! Jestem gotów

przyjąć wszystko z twojej ręki, bo to twoja ręka! Płonę miłością do ciebie, więc przyjmę z twojej ręki nawet cierpienie i okrucieństwo!

Jednak zarzuty przeciwko mnie oddalono. W przeciwieństwie do całego mojego roku nie cieszyłem się ani nie świętowałem. Poczulem coś w rodzaju zawodu, że Bóg nie chciał ode mnie takiej ofiary, mimo że byłem gotów mu ją złożyć. Lecz – tłumaczyłem sobie – jeszcze nie czas. Nie teraz, ale przyjdzie taki moment.

I przyszedł trzy lata później, na miesiąc przed końcem seminarium i święceniami prezbiteratu. Całą skomplikowaną historię opisałem w swojej poprzedniej książce *Sakrament obłudy. Wspomnienia z seminarium*. Tutaj powtórzę ją tylko skrótowo. Na początku 2009 roku, 6 stycznia, miałem jako diakon asystować biskupowi w czasie sumy z okazji uroczystości Objawienia Pańskiego, szerzej znanego jako święto Trzech Króli. Zwyczajnie o tym zapomniałem i biskup musiał odprawić mszę bez diakona u boku, a to wywołało taką jego wściekłość, że z miejsca moje święcenia prezbiteratu stanęły pod znakiem zapytania. Gwoździem do mojej seminaryjnej trumny okazało się jednak co innego.

Sebastian S., mój kolega z roku, pochodzący jak i ja z Jeleniej Góry, miał spore zdolności literackie i dla odprężenia pisywał różne groteskowe, śmieszne opowiadanka. Kiedyś któreś mi przeczytał, a ja zrewanżowałem się i napisałem swoje. Tak przez jakiś czas wymienialiśmy się różnymi groteskami, w których pod postaciami pijaczków, meneli i żulów opisaliśmy co znacniejszych urzędników diecezjalnych oraz niektórych przełożonych. Kontrast jest podstawą komizmu, więc zaśmiewaliśmy się w głos, gdy czytaliśmy swoje opowiadania przedstawiające na przykład biskupa pomocniczego Marka M. jako menela, który grzebie w śmietniku i odnalazłszy w nim nadgniłą dynię, zaczyna perorować o szkodliwości zabaw w Halloween.

Pod koniec 2008 roku Sebastian zaproponował, żebym oddał mu napisane przeze mnie opowiadania, a on wraz ze swoimi wydrukował je u znajomego w dwóch egzemplarzach. Zbiorek każdy z nas zachowałby sobie na pamiątkę seminaryjnych lat. Zgodziłem się, bo pomyślałem, że rzeczywiście miło byłoby mieć taką pamiątkę. Miło będzie na stare lata sięgnąć na półkę i przeczytać swoje studenckie wygłupy, kiwając głową i wspominając, jak to było w dawnych, seminaryjnych czasach. Niestety kolega oszukał mnie co do liczby egzemplarzy, bo wydrukował ich nie dwa, ale sto. Oddał mi pięćdziesiąt, a swoje zaczął rozdawać komu popadnie. Myślę, że gdyby któryś po prostu trafił do rąk przełożonych, może i zrobiłaby się awantura, ale nie taka. Problem polegał na tym, że jeden z egzemplarzy dostał ksiądz, który postanowił wykorzystać go w swoich utarczkach z innymi duchownymi, a to już napędziło drogą reakcji łańcuchowej poważną wewnątrzkościelną aferę. Co więcej, samo jej podłoże było jeszcze głębsze, niż wówczas sądziłem, bo mój kolega tych stu egzemplarzy wcale nie wydrukował za darmo. Dowiedziałem się po latach, że cały druk został sfinansowany przez pewnego wysoko postawionego duchownego, zresztą ukrytego homoseksualistę, związanego z niesławnym Legionem Chrystusa. Co nim kierowało? Zapewne chęć wykorzystania tego zbioru bzdurnych opowiadań do własnych, niecznych celów, choć nie podejmuję się dociekać jakich.

Dość powiedzieć, że skutkiem tego przez miesiąc specjalnie powołana przez biskupa komisja śledcza wnikliwie czytała napisane przez nas bzdury, usiłując z ich treści wydedukować, kim są ukrywający się pod pseudonimami Maciej Lwic i Kazimierz Rat autorzy. Po długiej, dogłębnej egzegezie opowiadane o żulach szanowna komisja doszła do błyskotliwego wniosku, że chodzi o mnie i o Sebastiana, aczkolwiek wewnątrz samej komisji nie było co do tego pełnej zgodności. Jeden z jej

członków, ojciec duchowny z seminarium, podobno głośno i wojowniczo kontestował ustalenia komisji, twierdząc kategorycznie, że język opowiadań wyraźnie wskazuje na pojedynczego autora, a dwa pseudonimy podano, by trudniej było go zidentyfikować.

Ostateczny werdykt komisji zawierał tylko przypuszczenie, o kogo może chodzić, ale dowodów nie było. Przełożeni postanowili więc skonfrontować oskarżonych z tym, co ustaliła komisja. Pierwszy został wezwany mój kolega. Przysiągł on wobec przełożonych na krzyż i Ewangelię, że nie ma z tymi opowiadaniem nic wspólnego. Sprawę w jego wypadku uznano więc za zamkniętą i przystąpiono do przesłuchania drugiego podejrzanego, czyli mnie.

Mój kolega sprawował wysokie funkcje ceremoniarza i wicedziekana kleryków, był wychowankiem proboszcza, który uczęszczał do seminarium razem z wieloma z naszych przełożonych i z którego parafii było wiele powołań. Miał więc na tyle wysoką pozycję, że byłem przy nim w hierarchii kleryckich układów i układzików kompletnie nikim. Nie jest więc niczym nadzwyczajnym, że przełożeni mu uwierzyli. Sebastian zadzwonił do mnie i płaczącym głosem błagał, żebym go nie wydał. Po gruntownym przemyśleniu sprawy stwierdziłem, że nie tylko przyznam się wobec przełożonych do napisania tych jakże bluźnierczych opowiadań, ale wezmę całą winę na siebie i powiem, że żadnego drugiego autora nie było i za całą aferą stoję ja sam.

Wiedziałem, że konsekwencje czegoś takiego będą dla mnie straszliwe, ale naprawdę mnie to cieszyło. Oto nadszedł czas, żeby złożyć Bogu najwyższą ofiarę ze swojego losu, podłożyć głowę po topór wściekłości wszystkich diecezjalnych notabli, skazać się na los grzebiącego po śmietnikach żula z moich własnych opowiadań. Taka przyszłość czeka bowiem każdego takiego nieudacznika życiowego jak ja, który nic nie

potrafi poza byciem klerykiem, a zostaje z niczym. Przynajmniej tak zawsze twierdzili nasi przełożeni, pouczając nas, że każdego, kto zostanie usunięty z seminarium lub odejdzie sam, spotka surowa kara boża i całą resztę życia taki nieudacznik spędzi w cierpieniach, zdychając w jakimś przytulisku dla bezdomnych. A jeśli jakimś cudem się wygrzebie i stanie na nogi, to tylko z pomocą diabła, za co na pewno spotka go wieczne potępienie w piekle. Rozpierała mnie radość, gdy przyznawałem się czerwonemu z wściekłości rektorowi do napisania opowiadań, gdy podpisywałem swoje zeznanie, gdy słyszałem wyrok: wynoś się.

Trzeźwo rzecz oceniając, moja ofiara nie była wcale taka wielka z czysto technicznego punktu widzenia. Byłem już diakonem włączonym w szeregi duchowieństwa i przysługiwały mi wszystkie prawa z tym związane, a to sprawiało, przynajmniej w prawnokanonicznej teorii, że nie można mnie było ot tak wyrzucić. Duchownego można usunąć tylko na jego własną prośbę lub gdy popełni czyn, który prawo kościelne wyraźnie wyszczególnia jako zasługujący na taką karę. Oczywiście żaden kanon prawa nie przewiduje kary usunięcia ze stanu duchownego za napisanie śmiesznych opowiadań. Co więcej, wielu znajomych księży po cichu przekonywało mnie, że cała afera za jakiś czas się rozwieje, obrażeni ochłoną i w końcu ostatnie święcenia otrzymam. Nigdy – argumentowali – nie zdarzyło się, żeby diakona wyrzucono. Trochę posiedzisz na przetrzymaniu, a potem będzie dobrze. Nie pozostało mi nic innego jak czekać.

Gdy wróciłem do rodzinnej miejscowości z seminarium, miałem wrażenie, że cały świat – słońce, drzewa, góry – się do mnie uśmiechają. Było mi na duszy lekko i radośnie. Oto bowiem spełniło się dokładnie to, co opisywał Jan od Krzyża. Sam Bóg przyłożył do mojej duszy palące żelazo oczyszczenia. Jestem na jak najlepszej drodze do tego, by samego

Boga poznać przez cierpienie i zjednoczyć się całkowicie z cierpiącym na krzyżu Chrystusem.

Taki był początek mojej drogi odejścia od wiary. Wszystkim nadgorliwym obrońcom chrześcijaństwa gwarantuję, że u jej początku wierzyłem i kochałem Boga o wiele bardziej niż oni wszyscy razem wzięci. Żaden z nich – ośmielam się twierdzić – nie byłby w stanie dla swojego Boga wyrzec się choćby śniadania, a co dopiero złożyć na jego ołtarzu całą swoją przyszłość, swoje życie, skazać się na ubóstwo i potępienie przez wszystkich.

Przygody szalonego diakona

Bardzo lubię Grigorija Rasputina. O tej postaci napisano chyba więcej legend niż o złym wilku. Przedziwny amalgamat świętego męża bożego i rozpustnika, pobożnego uzdrowiciela i hulaki, mistyka i pijanicy wciąż zaprzęta umysły historyków, pisarzy i twórców filmów dokumentalnych i fabularnych. Jako diakon na przetrzymaniu wiodłem bardzo podobny żywot. Przełożeni seminaryjni zdecydowali, że moim jedynym obowiązkiem będzie przychodzenie na mszę do kościoła. Znamienne jest jednak to, do której parafii mnie przydzielili.

W mojej rodzinnej miejscowości są dwie parafie, a ja mieszkałem przy ulicy stanowiącej granicę między nimi. Obie też parafie miały pod katechetyczną opieką dwie szkoły podstawowe. Jako dziecko uczęszczałem do szkoły, która nie leżała w mojej parafii, bo miałem do niej bliżej. Sprawilo to, że związałem się z nie swoją parafią: tam uczestniczyłem w Ruchu Światło–Życie, tam zostałem ministrantem. Tuż przed moim wstąpieniem do seminarium obaj proboszczowie zawarli umowę, według której miałem być klerykiem niby to z parafii ks. Józefa S., tej, do której formalnie nie należałem, natomiast prymicja, czyli pierwsza moja msza jako wyświęconego księdza, odbyłaby się w obydwu parafiach. Tak, tak, moją przyszłość ułożono już sześć lat naprzód, bo proboszczowi bardzo zależało na tym, żeby móc się biskupowi pochwalić, że ma swojego kleryka. Drugi z proboszczów na to przystał, gdyż była to parafia zakonna, więc i tak nie interesował go kandydat do diecezjalnego seminarium. Ks.

Józef S. zabiegał o mnie tym bardziej, że jeden z jego sąsiadów, ks. Grzegorz N., tak jak on budujący kościół, wprowadził do seminarium bodaj sześciu kleryków, z czego jeden już został księdzem. A złośliwa kurialna kamaryla naśmiewała się z mojego proboszcza, że z jego parafii nie ma powołań. Ks. Józef te docinki bardzo przeżywał.

Gdy więc zostałem z seminarium w opisanych okolicznościach wyproszony, rektor polecił mi, że mam na codzienną mszę udawać się nie do parafii ks. Józefa, ale do tej drugiej. Chodziło o to, żeby całą sprawę maksymalnie wyciszyć. Przełożeni obawiali się, że jeślibym przychodził na mszę do tego samego kościoła co dotychczas, gdzie już oczekiwano na moje święcenia i prymicję, wywołałoby to niewygodne plotki. Tymczasem w parafii zakonnej nikt mnie nie znał, a że w tym zakonie klerycy przebywają na praktykach bardzo długo, nierzadko po kilka lat, moja obecność nikogo nie powinna dziwić.

Zrobiłem, jak mi kazano. Zameldowałem się w parafii zakonnej, wyjaśniając pracującym tam księżom, jaka jest sytuacja i jakie otrzymałem od rektora polecenia. Któregoś dnia przed mszą jeden z zakonników poklepał mnie jowialnie po ramieniu i śmiejąc się, powiedział:

– E tam, nie przejmuj się humorami biskupa. Ja mam już dwa upomnienia kanoniczne i żyję.

Gwoli wyjaśnienia powiem, że prawo kanoniczne przewiduje kilka etapów kary za wyszczególnione przewinienia. Najpierw duchowny dostaje upomnienie kanoniczne, czyli oficjalne i sporządzone na piśmie. W takim wypadku należy także tak ukaranemu wyznaczyć czas na poprawę. Jeśli się nie poprawi, można go ukarać suspensą, czyli odebraniem niektórych bądź wszystkich praw wynikających ze święceń. Jeśli i to nie pomoże, dopiero wtedy można rozpocząć procedurę usunięcia takiego księdza z szeregów duchowieństwa. Nie dostałem nawet upomnienia kanonicznego, a cała afera

z moim udziałem została przez biskupa załatwiona bez poszanowania kodeksu prawa kościelnego, co zresztą nie jest niczym dziwnym. To samo prawo kanoniczne zostawia bowiem biskupowi furtkę do załatwiania wszelkich spraw „na drodze administracyjnej”, czyli tłumacząc na ludzki język: na zasadzie widzimi się. Tak na marginesie, śmieję się w głos, gdy słyszę, jak to biskupom zdarza się tłumaczyć, że nie ukarali księdza, który sięgał dziecku do majtek, bo „musieli przestrzegać procedur”. Jakich procedur, do licha? Nie potrzeba żadnych procedur, żeby powiedzieć duchownemu: precz, idź stąd i radź sobie sam!

Co do radzenia sobie: jako diakon nie mogłem jak niektórzy księża tak zwani urlopowani, czyli jak ja pozostawieni z jakiegoś powodu na przetrzymaniu, dorabiać sobie odprawianiem mszy i pobieraniem ofiar za tę usługę. Musiałem udać się do zwykłej pracy, co zresztą mnie cieszyło i sprawiało, że czułem się dumny. Oto – myślałem – gdy któregoś dnia dostanę święcenia i udam się na parafię, będę miał, w przeciwieństwie do większości księży, prawdziwe, wypływające z doświadczenia pojęcie o życiu wiernych.

To, że księża nie mają pojęcia, co to znaczy pracą pobrudzić sobie ręce, nie jest żadną nowością, wiedzą to wszyscy. Najlepiej to widać w momencie, gdy jakiś ksiądz na przykład sam po sobie posprząta, naprawi kran na plebani lub ugotuje obiad. Ach, ile jest wtedy zachwytów, jaki to jest cudowny ksiądz, jaki życiowy, jaki nasz, jaki kochany! Nie byłoby tych zachwytów, gdyby wśród księży takie zachowania były normą.

Nie było mi łatwo znaleźć pracę. Rok 2009 był czasem, kiedy niewykwalifikowany i niedoświadczony pracownik z trudem tylko mógł znaleźć jakieś zajęcie, i to najczęściej na paskudnych warunkach, na czarno, co najwyżej na umowę o dzieło, po dwanaście godzin dziennie, świątek, piątek i w niedzielę. Pracodawcy często wtedy mawiali, że „tu za bramą

pięćdziesięciu czeka takich jak ty!”. Jeden z ministrantów poznał mnie ze swoją ciocią, która pracowała jako zarządczyni jednego z pensjonatów w Przesiece. Zacząłem tam za niewielkie, ale wciąż niezłe jak na ówczesne warunki pieniądze pracować jako ktoś w rodzaju ogrodnika i człowieka do wszystkiego, bo gdy zdarzały się jakieś większe imprezy w pensjonacie, przejmowałem na przykład obowiązki kelnera. Praca była przyjemna, najczęściej na świeżym powietrzu. Sprzed położonego na wzniesieniu pensjonatu rozciągał się przepiękny widok na Kotlinę Jeleniogórską. Sam decydowałem, co danego dnia mam do zrobienia, a właściciele interesowali się tylko tym, żeby teren był dobrze utrzymany, a pensjonat funkcjonował, jak należy.

Mając przynajmniej doraźnie rozwiązana kwestię zatrudnienia, zadałem sobie pytanie, jak ten z woli Bożej dany mi czas dobrze wykorzystać. Przypomniało mi się, jak to w czasie wykładów w seminarium mówiono nam o tak zwanych księżach-robotnikach. Była to inicjatywa z ostatnich lat II wojny światowej: księża mieli prowadzić duszpasterstwo francuskich robotników, stając się jednymi z nich. Zatrudniali się w fabrykach, zamieniali sutanny na robocze kombinezony i na miejscu pracy swoim życiem i słowem świadczyli o Chrystusie i pełnili sakramentalne posługi. Całą inicjatywę dość szybko i w panice zlikwidowano, kiedy ci księża, poznawszy straszliwe warunki życia swoich kolegów z pracy i nieludzki wyzysk, zaczęli popierać coraz popularniejsze nawoływania środowisk komunistycznych do sprawiedliwości społecznej.

Przewrotny los uczynił mnie takim właśnie księdzem-robotnikiem. I zostało to zauważone przez wiernych, przede wszystkim przez związaną z parafią młodzież, a za jej pośrednictwem – przez młodzież w ogóle niechodzącą do kościoła. Nie dość, że wiekiem byłem im bliższy niż większość księży, to jeszcze pracowałem, co wyróżniało mnie na tyle, że

ten i ów młody człowiek zaczął się sprawą interesować i podpytywać. Zobaczyłem, że daje mi to możliwości dotarcia do młodych, jakich żaden duchowny normalnie nie ma.

Księża są zawsze kimś na piedestale, zawsze za ołtarzem, wyżej od wiernych, zawsze jest jakaś bariera, jeśli nie przepaść, między nimi a wiernymi. Duchowni katolicy z reguły tej bariery gorliwie strzegą, twierdząc, że jest konieczna. W końcu reprezentują wśród wiernych majestat samego Boga, więc nie mogą tak po prostu się poklepywać po ramionach z pospólstwem. Tymczasem przede mną otwierała się możliwość docierania z przesłaniem ewangelii, w które z zapalem i gorąco wierzyłem, do zeświecczonego i odchodzącego od wiary świata młodych ludzi.

Przypuszczam, że francuscy księża-robotnicy musieli na wstępie swojej działalności odpowiedzieć sobie na wiele trudnych pytań o to, jak całą piękną teorię przełożyć na niełatwą praktykę. Jeśli stajesz się jednym z tych, których masz ewangelizować, to co robisz, gdy ci ewangelizowani idą się napić albo zabawić na imprezie? Tym, którzy nie rozumieją, w czym problem, wyjaśniam, że Kościół ogólnie nie pochwała doświadczania przez ludzi zwykłych codziennych radości, zwłaszcza w piątek, w dzień męki Jezusa, czyli w dzień, w którym katolik powinien nic nie robić, tylko klęczeć, jęczeć, powtarzać sobie, że to on jest winien śmierci Zbawiciela poprzez swoje grzechy, i gorliwie za nie pokutować. Tak więc pytanie powyższe, choć może się wydawać ordynarne, naprawdę stanowiło w mojej sytuacji poważne wyzwanie.

Z pomocą przyszła mi sama ewangelia, w której oburzeni faryzeusze nazywają Jezusa żarłokiem i pijakiem, przyjacielem celników i grzeszników. Jeśli Chrystus nie stronił od prostych radości swoich uczniów, czemu nie miałbym pójść w jego ślady? Jeśli ktoś uważa, że zasłonięty dymami kadzideł, ubrany w złociste szaty, oddalony od wiernych w

niedostępną przestrzeń *sacrum* ksiądz o wypielegnowanych rączkach jest naśladownikiem Jezusa, to chyba czytaliśmy jakieś inne ewangelie.

Oczywiście ksiądz, który by zrobił jak ja: poszedł z młodzieżą poimprezować, połączyć bez celu po mieście i w ogóle dzielił ich zwyczajne życie, musiałby zgodzić się na coś, co wielu kapłanów katolickich uznałoby za straszliwe i niedopuszczalne upokorzenie. Musiałby mianowicie przyjąć prostą prawdę o tym, że kumple nie będą słuchać jego słów jak prawdy objawionej, jeśli więc będzie chciał nieść przesłanie Jezusa Chrystusa, musi się postarać o logiczne argumenty i przekazywać to przesłanie na równych prawach z tym, co mają do powiedzenia inni. A to przecież niewyobrażalne dla przeciętnego katolickiego księdza.

I tu pojawiła się pierwsza rysa na mojej wierze. Doświadczyłem nagle czegoś, z czym się nigdy wcześniej nie spotkałem. Wygłaszając z ambony kazania do milczących wiernych, którzy nie mają prawa ze mną dyskutować, lecz tylko wstać i pokornie zawołać: „panie Boże wielki zapłać”, nie spotkałem się z koniecznością logicznego uargumentowania swojej wiary. Na wykładach w seminarium w czysto akademicki sposób rozważaliśmy niektóre zarzuty ateistów wobec dogmatów religii chrześcijańskiej i poznawaliśmy sposoby ich odpierania. Nijak się one jednak miały do rzeczywistych wątpliwości młodych ludzi, które można poznać, rozmawiając z nimi przy piwie na domówce, przy ognisku czy w klubie.

Dzięki tej okoliczności zrozumiałem, w jaki sposób muszę znajdować argumenty, które podparłyby mój chrześcijański światopogląd. Można na przykład łatwo olśnić młodego człowieka quasi-dowodem na istnienie Boga wywiedzionym z „piękna i harmonii praw Wszechświata” wtedy i tylko wtedy, gdy przemilczy się lub wprost zakłamie część tego, co o funkcjonowaniu Wszechświata z ustaleń nauki wiadomo. Oczywiście –

mówiłem sobie – takie przekłamanie nie jest absolutnie żadnym przekłamanem. A jeśli nawet jest, to przecież wszystko *ad maiorem Dei gloriam*, więc odrobina kłamstewka jest tu jak najbardziej usprawiedliwiona. Zresztą co robi ksiądz Michał Heller z astronomią? Cel tak wzniosły jak ewangelizacja uświęca środki nawet w imię religii, która skądinąd głosi, że żaden cel środków nie uświęca.

Dzisiaj z perspektywy tego, co zdarzyło mi się później widzieć, mogę powiedzieć, że niepotrzebnie miałem wtedy jakiegokolwiek skrupuły. Głosiciele ewangelii szermują dziś bezczelnie jawnymi niedorzecznościami. Czytam na przykład, jak to ks. Dominik Chmielewski, rozchwytywany i uwielbiany założyciel Wojowników Maryi, twierdzi, że kobieta podczas stosunku seksualnego z mężczyzną czyni go swoim własnym synem, bo wpuszcza go do swojego łona. W innym miejscu ks. Chmielewski twierdzi z całą powagą, że jeśli znajomy zadzwoni do mnie w czasie, gdy odmawiam różaniec, to jest to działanie Szatana. Przy takich twierdzeniach zmartwychwstanie Jezusa wydaje się nagle jakieś takie mniej cudowne. Chciałoby się więc zapytać: czym ja się wtedy przejmowałem?

„Obrońcy wiary” z pewnością podniosą wrzawę, która brzmieć będzie następująco: „widocznie słabo poznałeś teologię, słabo przemyślałeś swoją wiarę, skoro nie mogłeś znaleźć nieprzekłamanych argumentów na jej obronę”. Gdyby tak było, po pięciu minutach rozmowy z młodymi ludźmi nie miałbym czego wśród nich szukać. Ich bystre i krytyczne umysły w proch starłyby wszelkie argumenty, którymi tak się zachwycają teologowie, a pseudonaukowy bełkot ks. Michała Hellera wywołałyby wśród nich salwy śmiechu. Na głos wyśmialiby moje próby przekonywania ich do wiary, gdybym sięgnął po którykolwiek z „dowodów” na istnienie Boga, którymi dysponuje Kościół. Logika młodych ludzi jest jak brzytwa Ockhama: nie zostawia miejsca na odwoływanie się do jakichkolwiek autorytetów ani

zawiłych tomistycznych dowodzeń. Jedyńy sposób na to, żeby uwierzyli w zmartwychwstanie Jezusa, dziewictwo Maryi, cudowne wniebowstąpienia i wniebowzięcia, to chytrze ich oszukać, zastosować bardzo dobrze zamaskowane sofizmaty, omamić i odwołać się raczej do emocji niż do rozumu.

Nie tylko konieczność uciekania się do takich chwytów dla poparcia wiary w Jezusa Chrystusa była dla mnie twardym orzechem do zgryzienia. Drugim, dużo ważniejszym problemem stało się życie moich nowych przyjaciół z tej czy tamtej paczki, gdy poznałem je z bliska. Zobaczyłem ludzi młodych, szczęśliwych i wcale nie – jak twierdzi grzmiący, wojujący Kościół – zdemoralizowanych. Przeciwnie, ujrzałem, że dziewiętnasto- czy dwudziestolatek wesoło śmiejący się – o zgrozo! – w Wielki Piątek na wieczornej potańcówce zachowuje wyższe standardy moralne niż całe to spasiono duchowieństwo z biskupami na czele. Po co więc takiego człowieka, jak to mówi Kościół: ewangelizować? Co zmieniać w jego życiu, skoro nie jest ono w żadnym wypadku złe? Co nowego ma takiemu człowiekowi do powiedzenia ewangelia Jezusa Chrystusa w kwestii zwykłej ludzkiej dobroci, pomagania sobie nawzajem, miłości, przyjaźni? Łatwiej mi było wreszcie zrozumieć, czemu księża nie chcą zstąpić ze swoich złotych tronów i ołtarzy, a jeśli już to robią, to bardzo trwożliwie, na krótki, efekciarski pokaz, a potem szybko uciekają z powrotem za czarną kurtynę swojej sutanny. Boją się, że w starciu z prawdziwym życiem ich osobista wiara okaże się słaba i z wielkim hukiem upadnie. A bez wiary cóż im pozostanie?

Przyznaję, że życie moich przyjaciół nie było wcale kryształowe i nieskazitelnie niewinne. Zdarzało się przecież, że ktoś się pobił, ktoś – mówiąc wprost – tak się schlał, że iść już nie mógł. Chłopcy i dziewczyny sypiali ze sobą, bez żadnych skrupułów korzystając z kondomów i pigułek,

a ci, którzy nie żyli w związkach, zaspokajali swoje potrzeby samodzielnie, co również jest w oczach Kościoła niewybaczalną, straszliwą zbrodnią. Ale ja, poznawszy życie tych młodych ludzi z ich perspektywy, nie potrafiłem już w żaden sposób zdobyć się na ich potępienie. Gdzie jest w ewangeliach miejsce, gdzie Jezus powiedziałby: „Zaprawdę, powiadam wam: kto się swym fiutkiem pobawi, ten pójdzie precz, w ogień wieczny”? Gdzie jest, pytam, w Nowym Testamencie, a nawet i w Starym jakiegokolwiek potępienie nałożenia gumki na penisa przed stosunkiem? W którym wersecie biblijnym Jezus żąda od swoich uczniów nieimpreszowania w piątek pod karą grzechu śmiertelnego?

Jest za to wyraźne i niepozostawiające wątpliwości przykazanie Jezusa: „Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden jest bowiem Ojciec wasz, ten w niebie. Nie chcecie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz mistrz, Chrystus” (Mt 23, 8-10). Tymczasem księża od wieków radośnie olewają to przykazanie, żądając, żeby ich tytułowali: „ekscelencjo, najprzewielebniejszy księżę biskupie, eminencjo, proszę księdza dziekana, wielbnego prałata, przewielebnego kanonika” i tak dalej. Żeby to tylko księża, wielu wiernych bardzo tego pilnuje i z wielkim wrzaskiem wyzywają od komuchów tych, którzy by zwracali się do księdza per pan. Wielkie było kręcenie nosem, gdy wśród księży i parafian rozniosła się wieść, że młodzież jest ze mną na ty, a nawet odważa się nadawać mi różne ksywki i tak się do mnie zwraca.

Byłem duchownym widywanym przy ołtarzu w albie, stule i dalmatyce, wygłaszającym kazania na mszach, rozdającym komunię, udzielającym okazji chrztów czy prowadzącym pogrzeby. Prowokowałem więc do pytań samą swoją obecnością wśród zwykłych młodych ludzi. A każde

pytanie było punktem zaczepienia, punktem wyjścia do głębszych tematów, zaczątkiem swoistej katechezy. Wierząc więc w słuszość zarówno swojej misji, jak i sposobu jej realizacji, nie przejmowałem się oburzeniem duchownych.

Po pół roku ignorowania mnie biskup zadzwonił do proboszcza i polecił mu przekazać, że w kilka dni po Bożym Narodzeniu oczekuje mnie w Legnicy. Jego pałacyk mieścił się naprzeciwko seminarium duchownego. Gdy przyjechałem, zostałem wprowadzony do salonu przez służącą biskupa, zakonnicę ze zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Niebawem zjawił się biskup. W czasie rozmowy był dla mnie bardzo łaskawy. Pouczył mnie, że „nawet nie wiem, jak wielkie i straszliwe zło wyrządziłem Kościołowi” napisaniem swoich opowiadań. Część jego pouczeń zahaczała niebezpiecznie o retorykę typową dla teorii spiskowych.

– Dwóch nieznanymi osobnikami przebranych za księży przyszło do seminarium i oferowało po 1000 złotych za egzemplarz! – twierdził, niedwuznacznie sugerując, że byli to szpiedzy „Gazety Wyborczej” lub TVN-u.

Następnie powiedział, że jest skłonny przyjąć moją skrucę, ale ze względu na szum wokół całej afery mam do stycznia 2011 roku pozostać na przetrzymaniu. Ponieważ zostałem usunięty z seminarium, nim zdążyłem zdać kilka ostatnich egzaminów, miałem powtórzyć ostatni semestr i normalnym już trybem przystąpić do święceń kapłańskich. Biskup zadzwonił przy mnie do rektora i bardzo chwalał moją pełną pokornego posłuszeństwa postawę, stwierdził, że „najwyraźniej dojrzałem”, i zakomunikował mu swoją decyzję.

Kontynuowałem więc żywot braciszka Tucka przy swojej młodzieżowej paczce. Spotykało mnie przy tym wiele przeróżnych przygód. Pamiętam, jak 10 kwietnia 2010 roku chłopaki chcieli mnie zabrać na koncert rapera

Piha do jednej z knajp w Jeleniej Górze. Niestety tego dnia rano doszło do katastrofy pod Smoleńskiem, więc ogłoszono żałobę narodową i koncert został przełożony na inny termin. Moja paczka zdecydowała, że tak być nie może, jest sobota, ma być impreza, a że koncert odwołany, to zorganizujemy sobie coś sami. Po wieczornej mszy ruszyłem więc na domówkę. Kiedy byłem już w połowie drogi, zadzwonił do mnie jeden z chłopaków.

– Robert! – zawołał. – Katastrofa! Tragedia!

– Wiem – odpowiedziałem zdziwiony. – Przecież to już od rana wiadomo...

– Nie, nie to! Wódka się zbiła. Kup nową po drodze!

Niecały miesiąc później rzeczony koncert się odbył. Przyszedłem na niego ubrany w luźne dresy z koloratką pod szyją. Zwróciłem uwagę samego artysty, który po koncercie nie odmówił sobie wychylenia ze mną kieliszka tequili.

Wśród tej podobno „zdeprawowanej”, „moralnie zagubionej” młodzieży nigdy nie spotkało mnie nic złego, w przeciwieństwie do seminarium duchownego i księżowskiej konfraterni. Co więcej, na moje zaufanie odpowiadali mi swoim: każda, ale to naprawdę każda impreza z nimi kończyła się długimi rozmowami, w czasie których ci młodzi ludzie przychodzili do mnie ze swoimi wątpliwościami, troskami, cierpieniami. Mówili mi rzeczy, o których nigdy nie usłyszał ani nie usłyszy żaden zamknięty w szafie konfesjonału spowiednik, bo oni nigdy do niego nie przyjdą. A ich wyznania raz po raz udowadniały mi i unaoczniały tę prostą prawdę, że Kościół nie ma o ich życiu pojęcia. Dziś ten sam oderwany od życia Kościół, rękami swojego wiernego, bardzo pobożnego ministra edukacji, chce młodym ludziom ustawiać życie oraz myślenie, chce ich

pouczać w sprawach dotyczących historii i teraźniejszości. Nie muszę chyba mówić, jaka będzie skuteczność tych działań.

W lipcu przenieśliśmy się do pracy na stanowisku ogrodnika przy pałacu w Wojanowie. To tam właśnie miały miejsce wydarzenia, o których wspomniałem we wstępie. Tak, wiele się w tej pracy nauczyłem. Kiedyś podczas przerwy kolega satanista powiedział:

– Na twoim miejscu poszedłbym do tych całych przełożonych i powiedział im: może i ja nie zostanę księdzem, ale wy na zawsze pozostaniecie sk...nami!

Zatrudnił się tam z nami między innymi pewien starszy, nobliwy pan Antek, o którym mówiono, że za czasów PRL-u był dyrektorem jakiejś fabryki. Bumelował, jak mógł. Gdy przychodziło do zbierania skoszonej trawy, udawał się w kąt parku i przez całe osiem godzin drapał grabkami te same cztery metry kwadratowe. Teściowa Sebastiana, głównego ogrodnika, pewnego dnia nie wytrzymała. Doszło przy tej okazji do zabawnej sceny. Bezpośrednim przełożonym Sebastiana, a za jego pośrednictwem i naszym, był dyrektor terenu pałacowego (odrębny dyrektor zarządzał samym hotelem i jego obsługą). Któregoś dnia zaczepił pana Antka.

– Dlaczego wczoraj tak mało było skoszone? – zapytał z marszem na czole.

Pan Antek zaczął się tłumaczyć, że zabrakło mu paliwa do kosi spalinowej i nie było skąd go wziąć. I tu przysłuchująca się rozmowie teściowa Sebastiana bardzo gwałtownie się wtrąciła.

– A co za pierdoły opowiadasz, pełno paliwa stoi na półkach, tylko się tobie, p...ny leniu, robić nie chce!

Pana Antka krew zalała. Nie zważając na obecność dyrektora, wydarł się na cały głos:

– Aż, ty k...o stara, p...na, będziesz mnie tu podp...łać? Jak ci zaraz w ten stary pysk przy...bię!

– Panie Antku, niech pan się uspokoi! – zawołał dyrektor, nie na żarty przerażony, że zaraz dojdzie do rękoczynów.

Czasami byliśmy wysyłani do leżącego nieopodal Pałacu Dębowego w Karpnikach, gdyż oba obiekty miały tego samego właściciela. Pałac Dębowy w przeciwieństwie do pałacu Wojanów nie został udostępniony szerokiej publiczności, teren pozostawał zazwyczaj zamknięty, a w samym pałacu można było zamówić nocleg, ale ceny były na tyle zaporowe, że w praktyce pałacyk ów stanowił okazijną rezydencję właściciela i jego partnerów biznesowych oraz kolegów z wyższych sfer. Któregoś dnia zawiadujący tamtejszym terenem ogrodnik i konserwator pan Rysiek wziął mnie i powiedział:

– Chodź, ksiądz, coś ci pokażę.

Zaprowadził mnie cichcem – pracownikom ogrodu nie wolno było tam wchodzić – do wnętrza pałacu. Pokazał mi włącznik światła: metalowy, staromodny, w formie przekręcanej gałki.

– Jak myślisz, z czego to jest?

– Nie wiem – powiedziałem. – Z mosiądzu?

– Nie – odparł pan Rysiek, uśmiechając się całą gębą. – Spójrz tu na dole. Widzisz ten znaczek? To próba. Włączniki są tu ze złota.

Pod koniec lipca czy na początku sierpnia spadły bardzo ulewne deszcze i podmyły w parku przy Pałacu Dębowym niewielką groblę nad dopływem stawu. Sebastian zebrał wszystkich pracowników ogrodu i przez dwa dni ręcznie, bez koparki ani żadnego cięższego sprzętu najpierw rozkopywaliśmy podmytą groblę, wyciągaliśmy zapadnięte płaskie kamienne płyty tworzące przepływ, a następnie – znów ręcznie – przenosiliśmy z busa wielkie betonowe rury przepustowe, układaliśmy je w

błocie na dzień wykopu, mieszaliśmy w taczce cement i robiliśmy nowe obmurowanie. Nie byłem tam od tego czasu, ale zapewne służy ono do dziś.

Pamiętam, że był upalny dzień, 10 sierpnia, mozoliliśmy się przy naszej pracy, gdy usłyszałem wysoko nad sobą dźwięk helikoptera lecącego w kierunku Karpacza. Pomyślałem, że to biskup leci odprawić mszę na Śnieżce z okazji dnia św. Wawrzyńca, bo tego świętego ma za patrona kaplica znajdująca się na szczycie najwyższej góry Sudetów. Uroczystość gromadziła wówczas wielu polityków i wysoko postawionych księży.

W tamtej chwili poczułem, jak wielka jest przepaść między mną, mieszającym cement w taczce, a takim biskupem i resztą duchowieństwa w ogóle. Żaden z nich nie dałby rady znieść tego wysiłku fizycznego, a samą konieczność pracy uznaliby za potworne poniżenie. A dla mnie to była radość i przygoda. Któregoś razu podczas pracy na terenie głównego pałacu podszedł do mnie Sebastian, kiedy kosą spalinową wycinałem właśnie rozrośnięte nad rzeką chaszczce. Kazał mi odłożyć sprzęt i wysłał mnie po coś – już nie pamiętam po co – do recepcji hotelowej. Pobiegłem więc, cały ufajdany zielonym sokiem i źdźbłami trawy. A przed recepcją ujrzałem... swojego kolegę z roku z seminarium, księdza Łukasza K., w nadobnym towarzystwie swojej licznej rodziny.

– Cześć, Łukasz! – zawołałem. Nobliwy kapłan oraz jego nie mniej nobliwa rodzinka odwrócili się w moją stronę.

I wtedy zobaczyłem to w jego oczach. Niedającą się w pełni opisać mieszaninę obrzydzenia, przerażenia, wstrętu, politowania i panicznego, niekontrolowanego strachu.

– Szybko! – krzyknął do swoich gości. – Do środka!

Poczułem się, jakbym był dzikim zwierzęciem, które ośmieliło się zaszarżować na porządnych obywateli. Jak dzik, który wyskoczywszy z

zarośli, wywołuje wrzask przerażenia ludzi wychowanych w sterylnym łaździe.

Duchowni nie tylko nie wiedzą, czym jest praca, zwłaszcza fizyczna. Oni się jej brzydzą, więc brzydzą się też i kompletnie nie rozumieją ludzi, którzy pracują, zarabiając na swoje utrzymanie. Brak hojnych ofiar ze strony wiernych przypisują „skąpstwu”, „konsumpcjonizmowi”, uważają, że to, co leży w portfelu wiernego, zwyczajnie się im należy.

Jak wygląda dzień księdza? Jeśli rano ma odprawić mszę, wstaje pięć minut przed nią, jeśli nie – budzi się dopiero na śniadanie, które w większości znanych mi parafii podaje się o ósmej, a nawet później. Jeśli ten ksiądz jest katechetą w szkole, to tam się udaje, ale jeśli nie, to do obiadu nie robi kompletnie nic. Narzeka i jęczy, jeśli musi godzinkę raz w tygodniu posiedzieć w kancelarii parafialnej, straszliwym wyrzeczeniem jest dla niego te kilka lekcji w szkole. Po szkole lub po przedpołudniowym nieróbstwie księży zasiadają do obfitych, tłustych obiadów, po czym – tym razem już zarówno proboszczowie, jak i wikarzy – nie robią nic poza ciągłym podjadaniem. Wieczorem, jeśli rano nie odprawiali, mają mszę plus jakieś nabożeństwo przy okazji, typu majowe, czerwcowe albo różaniec. A potem następuje obfita, długo jedzona kolacja i znów nieróbstwo.

To próżniacze życie sprawia, że księży po kilku latach kapłaństwa mają w głębokim poważaniu mszę, którą odprawiają niedbale, bo spieszą im do dalszego lenistwa. Często popadają w marazm, alkoholizm, depresję. Najgorsze jest to, że jeśli któryś z nich spróbuje coś pozytywnego zrobić ze swoim życiem – na przykład zacznie uprawiać sport albo rzuci się w wir jakiejś nowej inicjatywy duszpasterskiej, zaraz zostanie brutalnie sprowadzony na ziemię przez kolegów, którym nie w smak będzie jego aktywność.

Nawiasem mówiąc, nie dziwię się księżom i wiernym, którzy nawołują do przywrócenia mszy po łacinie, tyłem do ludzi, według trydenckiego rytu. Ci, którzy ten ryt projektowali, doskonale wiedzieli, jaki Kościół ma personel, dlatego cała msza trydencka jest tak skonstruowana, żeby dobrze maskować niedyspozycje księdza. Niezależnie od tego, czy celebrans będzie wypalony zawodowo, zmęczony własnym lenistwem czy nawet pijany, msza trydencka będzie z ławek wyglądała równie pobożnie. Tymczasem nowy ryt mszalny nie tylko nie ukrywa niedostatków księdza, on je wręcz podkreśla i bezwstydnie uwidacznia.

Sądzę, że gdyby księża zaznali prawdziwej pracy, wbrew pozorom byłiby zwyczajnie pobożniejsi. Człowiek zahartowany mieszaniem cementu w upale nie będzie uważał, że podniesienie kielicha na mszy jest straszliwym trudem i udręką. Jeśli będzie widać po nim zmęczenie, to będzie ten jego rodzaj, który wierni doskonale rozumieją, bo sami go zaznają.

Któregoś razu zorganizowałem dla swojej paczki weekend w górach i nazwałem go dniem skupienia. Przygotowałem cały program, zamówiłem noclegi. Moje bycie blisko nich zaowocowało czymś spektakularnym. Otóż ci imprezowicze, dla których wielką tragedią była stłuczona flaszka wódki, śpiewali ze mną modlitwy brewiarzowe. Pamiętam, jak tłumaczyłem im, że śpiewane podczas jutrzni czy nieszporów psalmy biblijne to takie prastare boskie rapowane teksty. Byli zachwyceni.

Dziś jednak wiem, że modlili się ze mną do Boga nie dlatego, że sami w niego szczerze uwierzyli, ale dlatego, że mnie polubili. Robili to przede wszystkim dla mnie, z przyjaźni. Wtedy tego nie dostrzegałem, ale to właśnie było w tym wszystkim najpiękniejsze, dużo piękniejsze niż cała ta napuszona teologia, o której mi przez sześć lat w seminarium prawiono. Gdyby rzeczywiście istniał Bóg, który jest miłością, musiałyby tę ich

postawę przyjąć jako akt prawdziwej wiary w niego, wiary w rzeczywistość przyjaźni, a nie w teologiczny konstrukt. Gdyby istniał Bóg, który by miał choć elementarne poczucie sprawiedliwości, wywyższyłby tych młodych ludzi ponad zastępy rozwrzeszczanych neonazistów, ponad księży i dewotów zanoszących kolejne barokowe modły, a zwłaszcza ponad napuszone majestaty polskich biskupów. Takie dni skupienia zorganizowałem jeszcze kilka razy i zawsze w nich chętnie uczestniczyli. Jednak do kościoła zaciągnąć ich nie zdołałem. I dlatego też moje wysiłki, choćby nie wiem jak spektakularnymi nawróceniami by zaowocowały, nie zdołałyby zaskarbić mi przychylności kościelnej hierarchii, a wręcz przeciwnie.

Kościół zbudował sobie otoczoną najprzeróżniejszymi murami obronnymi przestrzeń sakralną i oczekuje, że ludzie sami pokornie do niej przydrepcą. Nie potrafiłem już tego rozumieć. Co złego jest w tym, pytałem sam siebie, że ci młodzi nie chcą chodzić do kościoła, gdzie czują się zwyczajnie źle, to nie ich teren, nie ich bajka? A przecież być może byliby skłonni przyjąć to, co chrześcijańskie przesłanie ma do zaoferowania, gdyby tylko ci, którzy to chrześcijańskie przesłanie niosą, nie brzydzili się z nimi zbratać i wnieść to *sacrum* w ich *profanum*.

Kościół jednak najwyraźniej nie interesuje, czy ludzie będą wierzyć w Boga i się do niego zwracać, tylko to, żeby przychodzili i składali pieniądze w kopertach i na tacę – odpowiadałem sam sobie z goryczą. Duchownych cechuje obrzydliwe rozdwojenie jaźni. Z maślanymi oczami i rozpływając się w zachwytach, pieją, jaki to Karol Wojtyła był cudowny i wspaniały, gdy odprawiał dla studentów mszę na kajaku podczas wakacyjnego wyjazdu. Ale bezwzględnie zgnoją każdego, który spróbowałby zrobić tak samo, zaraz wrzasną oburzeni, że to profanacja Najświętszego Sakramentu, że to niewybaczalne zeświecczenie. Ci sami księża z rechem godnym

podpitego kibola naśmiewają się, gdy tradycjoniści wytykają im niedbalstwo w odprawianiu obrzędów religijnych. Doprawdy, katolicy duchowni są chyba najlepszym przykładem na to, że da się żyć z tak drastycznymi sprzecznościami, w ogóle ich nie dostrzegając. Ośmielam się twierdzić, że mniej można znaleźć sprzeczności w moim chodzeniu na zakrapiane imprezy z młodymi i śpiewaniu z nimi jutrzni czy niesporów niż w zachowaniach rozleniwionych, niemających pojęcia o codzienności swoich parafian księżach.

Niestety, co oczywiste, księżom moja postawa się bardzo nie spodobała. Dobitny tego dowód otrzymałem na początku stycznia 2011 roku. Zbliżał się czas, gdy miałem powrócić na uczelnię i otrzymać święcenia. Zgodnie z wcześniejszym poleceniem biskupa zjawiłem się wtedy w seminarium, ale z wielkim zakłopotaniem i unikając mojego wzroku, powiedział on:

– Nie wiem, nie wiem. Jeszcze nie czas, tak jakby... nie wiem. Księża się nie zgadzają. – Po czym dodał głosem drżącym, jakby przez gardło nie chciało mu przejść stwierdzenie tak okropnej zbrodni: – Widziano cię, jak idziesz po mieście w dresie ubranym razem z koloratką!

Droga na zatracenie

Wyznaję, że cały okres między wiosną 2009 a jesienią 2013 roku był z mojej strony kompletną stratą czasu, naiwniactwem i żalosną, pełną marazmu inercją, bardzo źle świadczącą o mojej inteligencji. To, że wciąż miałem nadzieję, że stanę się dla Kościoła katolickiego kimś akceptowalnym w roli duchownego, upoważnia każdego do nazwania mnie śmiesznym idiotą. Oczywiście nie czekałem na decyzję biskupa z założonymi rękami, próbowałem popchnąć swoją sprawę do przodu. Ksiądz, który jest niechciany w jednej części Kościoła, może przydać się w innej: można z diecezji przejść do zakonu, z jednej diecezji do innej, możliwości jest wiele.

Problem polega na tym, że duchowny, który chce przejść z jednej diecezji do drugiej, musi: zdobyć wstępną ustną zgodę biskupa diecezji, do której chce przejść, wstępną ustną zgodę swojego biskupa na to, żeby w ogóle o coś takiego zapytać, następnie musi uzyskać zgodę formalną biskupa swojej diecezji, zgodę formalną biskupa docelowego, a w międzyczasie – na etapie, którego nie jestem w stanie wskazać, bo nie zdołałem tego dociec – pojawić się musi jeszcze opinia z diecezji, którą się chce opuścić, i tak dalej, i tak dalej...

Oczywiście cała ta procedura jest tylko formalnością, jeżeli biskup diecezjalny nie ma nic przeciwko temu, żeby się swojego duchownego pozbyć i na każdym etapie bezproblemowo wyraża zgodę. Szkopuł w tym, że mój biskup z niezrozumiałych dla mnie powodów nie chciał takiej zgody

wyrazić, ciągle znajdując jakieś dziwne wymówki. Sam proponowałem mu przeróżne rozwiązania: a to że zwrócę się do innej diecezji albo zakonu (jego odpowiedź: „A kto cię przyjmie? Z taką opinią?”), a to że zapiszę się do słynnego seminarium Polonii amerykańskiej Orchard Lake („Jeszcze czego, może na Księżyc mam ci dać zezwolenie?”). Sugerowałem nawet tak idiotyczne rozwiązania jak przejście do Bractwa św. Piotra („Z taką opinią nie przyjmą cię nawet świadkowie Jehowy”) czy zostanie diakonem stałym („To nie było praktykowane nigdy, jak bym to innym biskupom wytłumaczył?”). Dziś, z perspektywy czasu spoglądając na tamte wydarzenia, myślę, że on i kuria z czystej złości postanowili pozwolić mi tracić czas. Chcieli ostatecznie pozbyć się mnie dużo później, gdy miałiby pewność, że jestem już za stary na to, żeby cokolwiek konstruktywnego ze swoim życiem zrobić i ku ich uciesze jedyne, co by mi zostało, to właśnie grzebanie po śmietnikach.

Odrażające jest w tym kontekście to, że diakon, który popełnił zwyczajny sztubacki wygłup z jakimiś idiotycznymi opowiastkami, napił się piwka z młodzieżą i przeszedł w dresie po mieście, jest dla Kościoła poważnym problemem, podczas gdy absolutnie nie jest nim ksiądz dobierający się dzieciom do genitaliów. Taki od razu dostaje bilet *in blanco* do innej diecezji, do zakonu, na misję (do czasu wojny bardzo popularnym kierunkiem dla takich księży była Ukraina) czy do niesławnego Orchard Lake.

Chciałbym, żeby mnie dobrze zrozumiano: nie uważam się za świętego, nie wybielam się ze swoich głupot i gdyby nie to, że mam porównanie z tą drugą sytuacją, nie uważałbym, że mam prawo do zadawania tutaj jakichkolwiek pytań. Ale w tej sytuacji nie można nie zapytać: dlaczego najwyraźniej zdaniem Kościoła koloratka założona do dresu jest większym zgorzeniem niż onanizowanie ministranta? Dlaczego to straszliwym złem

jest wyśmianie w jednym z opowiadań znanego teologa wrocławskiego z powodu jego braku higieny, natomiast lekkim ledwie i do wybaczenia potknięciem jest próba zgwałcenia nastolatki? Dlaczego wreszcie rapowanie z młodzieżą przy piwie jest straszną zbrodnią i wyrazem wyrzeczenia się Boga, natomiast ksiądz pedofil to w oczach Kościoła biedny, prostoduszny sługa boży, którego wstrętne, Ignące dziecko podstępnie skusiło do złego?

Był taki kleryk, przyszedł na pierwszy rok, gdy ja byłem na czwartym. Spokojny, cichy, bardzo inteligentny, a przy tym wszechstronny: dobrze grał w piłkę nożną, a jednocześnie miał w domu teleskop i interesował się astronomią. Niziutki, niższy ode mnie, drobnej budowy, ot, taki, co to na pierwszy rzut oka muchy by nie skrzywdził, nawet jeśli bardzo chciał. Nazywał się Grzegorz B. i to imię pojawiło się w mediach w całym kraju w związku z jedną z wielu bulwersujących spraw z udziałem duchownych.

Zarówno jego, jak i jego kolegę z jednego roku Łukasza D. znałem bardzo dobrze, bo ich rocznik często bywał u mnie na kawie na przerwach, a że Grzesiek był trochę podobny do mnie z wyglądu, śmiano się, że to mój młodszy brat albo jakiś kuzyn. Obydwaj, zarówno Grzesiek, jak i Łukasz, ukończyli seminarium bez żadnych problemów i po święceniach w maju 2012 roku zostali skierowani przez biskupa do parafii w Jeleniej Górze: Łukasz w dzielnicy Zabobrze, a Grzesiek w parafii ks. Józefa S., czyli tej samej, którą reprezentowałem jako kleryk. Pełnili swoje posługi w Jeleniej Górze przez kilka lat. Bardzo ważne jest to, że już w 2017 czy 2018 roku ksiądz Łukasz figurował w spisie księży diecezjalnych jako suspendowany, czyli został ukarany zgodnie z procedurą prawa kanonicznego za jakieś przewinienie. Jakie – okazało się później. Czyli dopiero w 2022 roku, kiedy sprawa znalazła się nagle w sądzie i trafiła do mediów.

Okazuje się, że ks. Łukasz jeszcze jesienią, w roku swoich święceń, zaczął dobierać się do pewnej czternastoletniej dziewczynki. Ale żeby było dziwniej, ks. Grzesiek tę samą dziewczynkę usiłował zmusić do „innych czynności seksualnych” z użyciem przemocy, czyli po prostu dokonał gwałtu. I to już w styczniu 2013 roku. Żeby było jeszcze dziwniej, sąd w jakiś sposób stwierdził, że ci dwaj księża, z jednego rocznika, z parafii oddalonych od siebie o ledwie osiem kilometrów, nie działali w żadnym porozumieniu!

Mniejsza o porozumienie. Mniejsza z tym, że ks. Łukasz był suspendowany na wiele lat przed tym, zanim sprawa wpłynęła do świeckiego wymiaru sprawiedliwości, czyli biskup musiał wiedzieć o wszystkim dużo wcześniej. Jakimś sposobem nie wiedział jednak o ks. Grzegorzu, który do czasu ujawnienia sprawy spokojnie, owocnie i zbierając pochwały, pełnił posługę duchowną, w tym wśród młodzieży i jako przewodnik grupy pielgrzymkowej.

Chciałoby się powiedzieć: diabeł tego nie rozwikła! Ciekawą hipotezę, dobrze obrazującą myślenie Kościoła, wygłosił pewien ksiądz, a jego wypowiedź przekazał mi nasz wspólny świecki znajomy. Ksiądz ten mianowicie autorytatywnie stwierdził, że cała sprawa śmierdzi komuszym spiskiem, a wszystko wskazuje na to, że ta czternastoletnia dziewczynka była podstępna kocią polującą na młodych księży, że ich uwiodła, a teraz ośmiela się mieć pretensje. Mało tego, sąd jest bezbożny, niesprawiedliwy i zapewne w rękach komunistów i masonów, bo nie oddalił zarzutów, ale się do nich przychylił, a to grozi obu księżom nawet kilkunastoletnimi wyrokami. Nic dodać, nic ująć, tak Kościół postrzega ofiary pedofilskich przestępstw swoich kapłanów, nawet jeśli oficjalnie mówi co innego. I tak właśnie wygląda moralność kultywowana przez Kościół instytucjonalny.

Najważniejsze w całej sprawie jest to, że ks. Grzegorz B., oskarżony o gwałt na nieletniej, a więc, jak mi się zdaje, o coś gorszego niż włożenie dresu czy pójście na piwko, przebywa teraz bezpiecznie schowany przez biskupa w Domu Księży Emerytów w Legnicy i żyje, nie musząc zarabiać na utrzymanie. Jeszcze raz ośmielę się więc zapytać: jak to jest, że mnie potraktowano jak zbrodniarza, a ksiądz gwałciiciel może liczyć na łaskawość i opiekę ze strony Kościoła?

Czas przetrzymania był dla mnie okazją do zaobserwowania, że Kościół ma też bardzo wiele innych problemów wewnętrznych, a głośne w ostatnich latach skandale seksualne są tylko wierzchołkiem góry lodowej, której prawdziwych rozmiarów nie podejmuję się oceniać. Niech za przykład służy następująca obserwacja: Dwa razy w roku w parafii zakonnej, przy której funkcjonowałem jako diakon na przetrzymaniu, miał miejsce odpust: raz z okazji dnia patrona kościoła, św. Jana Chrzciciela, a drugi raz z okazji Wniebowzięcia NMP 15 sierpnia. Dwa razy więc w roku byłem świadkiem epickiego przedstawienia, które zasługiwałoby na wnikliwą analizę socjologiczną.

Na mszę odpustową zawsze przybywał dziekan jeleniogórski, ks. Bogdan Ż., którego czytelnicy mojej pierwszej książki poznali jako ojca duchownego seminarium. Jego straszno-zabawne ekscesy opisałem w rozdziale poświęconym pierwszemu rokowi w seminarium. Księża zakonni niemal zmiatali pył spod jego stóp, tak się przymilali, tak się uniżali, że aż wstrętnie było na to patrzeć. W trakcie mszy odpustowej, przez cały czas jej trwania, także w czasie konsekracji, napływali do kościoła wciąż nowi księża: proboszczowie i wikarzy z okolicznych parafii. Leżli do ołtarza środkiem kościoła, głośno rozmawiając i plotkując między sobą nawet w czasie ukazywania hostii. Sama msza stanowiła mniej niż połowę czasu całej uroczystości. Po komunii na ambonę wychodził proboszcz, który

następnie przez prawie godzinę dziękował wszystkim księżom. Były kwiaty dla dziekana, oklaski jak w teatrze, coraz to nowe podziękowania dla tego czy tamtego kanonika lub prałata, podziękowania nie wiem za co, bo jedyne, co ten kanonik czy tamten prałat zrobił, to wtarabanił się w komży i stule w połowie albo pod koniec mszy do kościoła.

Któregoś razu proboszcz, o zgrozo, zapomniał podziękować jednemu z księży za łaskawe przybycie. Jako diakon siedziałem po prawej stronie miejsca przewodniczenia, a po mojej prawej siedział koncelebrujący dziekan Bogdan Ż. Gdy tylko zorientował się, że proboszcz popełnił gafę, szarpnął mnie za ramię i wściekłym szeptem powiedział:

– Zapomniał o księdzu Grzegorzu! Zapomniał! Natychmiast podejdz, przerwij mu i przypomnij!

Oczywiście nie ruszyłem się z miejsca, bo uznałem to żądanie za absurdalne. Ks. Bogdan poczerwieniał z wściekłości, zerwał się i szeleszcząc ornatem, ruszył do ambony, bezceremonialnie przerwał proboszczowi i głośnym szeptem, który mikrofon bezczelnie wychwycił i ku zbudowaniu wszystkich wiernych świata ogłosił, rzekł:

– Zapomniał ksiądz podziękować księdzu Grzegorzowi! Niech ksiądz mu natychmiast podziękuje i przeprosi!

Skruszony proboszcz kontynuował przemówienie, rozwlekłym i wylewnym podziękowaniem naprawiając swoje *faux pas*, a tymczasem dziekan, wciąż czerwony z wściekłości, opadł na siedzenie i wysyczał w moim kierunku:

– Dziękuję księdzu diakonowi!

Na potwornie długich podziękowaniach nigdy się nie kończyło. Proboszcz przymilnym głosem i w ukłonach prosił dziekana, żeby zechciał, jak to się zabawnie w kościelnej nowomowie określa, „wygłosić słowo”. Wielu księży siedziało jak na rozżarzonych węglach, tak im się spieszyło,

żeby też wejść na ambonę i powiedzieć trzecie, czwarte, piąte kazanie tego dnia, i to kazanie nie na cześć Boga, ale na cześć dziekana. A wierni musieli siedzieć po dwie godziny, a nawet dłużej, nie żeby się modlić, lecz żeby wysłuchać koncertu wzajemnej adoracji księży.

Potem korowód brzuchatych ludków w złoconych szatach schodził do zakrystii, gdzie natychmiast robił się niemożliwy tłok i gwar jak w pubie. Tu oddawali się bez reszty swojemu najukochańszemu zajęciu: plotkowaniu. Co większe lizusy od razu obskakiwały dziekana, jęcząc: „Ach! Jak ksiądz dziekan pięknie powiedział!”. Zakonnica zakrystianka musiała się przeciskać między wielkimi brzuchami, które nie raczyły nawet troszeczkę się rozstąpić, żeby ją przepuścić, gdy wracała od ołtarza obładowana kielichem, ampułkami i cyboriami. Aż wreszcie proboszcz ogłaszał najmiłszą wieść dla tych rozleniwionych panów, a mianowicie że zaprasza wszystkich na tak zwaną agapę, czyli wielką, wystawną ucztę na plebanii.

– Z ubogaconą duszą pójdźmy posilić brzuch! – mawiał.

Spieszyły więc ochoczo spaśle brzuchy, żeby się spaść jeszcze bardziej. Zakonnicy dysponowali dużym gościnnym refektarzem, więc kilkudziesięciu księży swobodnie mogło się tam do woli stołować. Dziekan zasiadał pośrodku jak jakiś król, a stoły obowiązkowo musiały uginać się od tłustych potraw. Jeśli komuś się wydaje, że uczyty jak za króla Sasa są dawno zapomnianym zwyczajem, nie był nigdy na księżowskim odpuscie. Oczywiście nie mogło zabraknąć tego, co dla księży jest używką chyba atrakcyjniejszą od alkoholu czy seksu: długich, nudnych i żalonych przemówień. Wstawał dziekan i gadał nieraz godzinę albo dłużej. Kiedyś surowym tonem obwieścił:

– Proszę księży, tydzień temu był odpust w parafii Świętego Wawrzyńca w Dziwiszowie i co? Zjawił się tylko ksiądz Józef... A reszta?

Proszę księży, musimy pamiętać, jak ważna jest wspólnota i trzymanie tej wspólnoty w naszym dekanacie, zwłaszcza wspólnoty ołtarza i stołu... No ja, proszę księży, muszę powiedzieć, że to aż wstyd, że takie rzeczy trzeba wam przypominać. A pani gospodyni tyle tam nagotowała i potem było wielkie zmartwienie, bo księża nie przyjechali. Proszę księży, ja bardzo bym prosił, żeby się takie sytuacje więcej nie powtarzały! Nie muszę chyba mówić i przypominać, jak bardzo, ale to bardzo ważna jest ta kapłańska wspólnota, ta cnota diecezjalności, najpiękniejsza z kapłańskich cnót! Proszę księży, pragnę również podkreślić... – I tak dalej, i tak dalej. Nie, nie jest ważne, że ludzie umierają z głodu na świecie, nie jest ważne, że hodowla zwierząt na mięsiva dla księży i przemysłowa uprawa roli odpowiada w dużej mierze za to, że idziemy prostą drogą do zagłady od piekielnych upałów. Nie jest ważne, że księża macają dzieci po majtkach, że chleją do lustra, bo nie mogą sami z sobą wytrzymać, ba, nie jest ważny nawet Bóg, krzyż, ewangelia. Ważne jest, że księża zapomnieli przyjechać do Dziwiszowa się nazreć.

Przy okazji wspomnianego wątku ekologicznego, to na jednym z takich odpustów usłyszałem, jak jeden z księży wspomniał o przeczytanej w gazecie wzmiance, że ekolodzy zablokowali wycinkę lasu pod nową trasę narciarską. Dziekan prawie opluł się z wściekłości i długo (przepraszam za wyrażenie, ale inaczej tego się nazwać nie da) pieprzył na temat tego, jak to Bóg nakazał czynić sobie ziemię poddaną, a tacy ekolodzy to „lewactwo, żydostwo i kryptokomuchy”, których należałoby „zamykać w obozach”.

Innym razem jeden z księży swobodnym tonem, jakby opowiadał dobry dowcip, podzielił się z bracią kapłańską tym, z czego spowiadają się u niego parafianie. Nie omieszkał dokładnie opisywać co pikantniejszych szczegółów. A księża, jakby nic złego się nie działo, zaśmiewali się z jego anegdotek i chamsko żartowali z wiernych.

A ja usługiwałem tym panom, podając im do stołu. I teraz chciałbym być dobrze zrozumiany: przyznaję się do współuczestnictwa w tym obrzydlistwie. Dziś, patrząc w przeszłość na tamte chwile, czuję się jak były esesman. Ze wstrętem patrzę na tamtego siebie, bo się nie sprzeciwiłem, nie przywaliłem dziekanowi w jego pyszałkowatą gębę, nie zawołałem „dość!”. Byłem wtedy wstrętnym, obrzydliwym tchórzem, wciąż wierzącym, że za tymi tłustymi gębami stoi Jezus Chrystus, że to jest jego Kościół, a droga do zbawienia wiedzie tylko przez posłuszeństwo tym zarozumiałym, rozleniwionym, brzuchatym próżniakom.

Nie jest żadnym dla mnie usprawiedliwieniem to, że byłem tylko diakonem na przetrzymaniu i musiałem się grzecznie zachowywać w nadziei na powrót do łask i otrzymanie święceń. W mojej sytuacji liczenie na coś takiego było idiotyzmem i powinienem zdawać sobie z tego sprawę. Byłem przykładem pokornej bierności, a to właśnie pokorna bierność wiernych, którzy w milczeniu wysłuchują kapłańskich tyrad, zasilają im kieszenie i wciąż posyłają dzieci na religię, rozzuchwala księży, pozwala im czuć się bezkarnie, stawia ich ponad prawem, moralnością, przyzwoitością. A nawet ponad Bogiem.

Wszystko to jednak w żaden sposób nie podważało mojej wiary, przeciwnie, umacniało ją. Wierzyłem, że Jezus Chrystus dobrze wiedział, jaki Kościół zakłada i co z tego wyniknie. Wierzyłem, że to wszystko ma sens i ma służyć uświęceniu człowieka. Jaką bowiem – tłumaczyłem sobie – byłoby zasługą trwanie w Kościele, gdyby ten był cudowny, święty i z samych dobrych i świętych ludzi się składał? A tymczasem w chrześcijaństwie jedyną walutą zasługi przed Bogiem jest cierpienie. To cierpieniem Bóg oczyszcza człowieka, przez krzyż prowadzi go do zbawienia. Logiczne jest więc, że Kościół pełen obrzydliwych kreatur będzie idealnym miejscem uświęcenia.

Tym bardziej to czułem, że dostrzegałem inne, choć nierzucające się w oczy oblicze Kościoła – przynajmniej zgodnie z teoretyczną retoryką teologiczną wydawało mi się wtedy, że to też jest Kościół – a mianowicie zwyczajne podejście do wiary świeckich ludzi. Wbrew temu, co często się ludziom wierzącym zarzuca, w ich wierze sporo jest zdrowego rozsądku. I to ten zdrowy rozsądek o paroksyzmy wściekłości przyprawia duchowne głupstwo. To zdrowy rozsądek bowiem każe stwierdzić na przykład absurdalność tezy, że wszechmogący Stwórca całego Wszechświata miałby przeżywać jako straszliwą zbrodnię przeciwko sobie to, że przyciśnięty hormonami nastolatek ręcznie sprawia sobie ulgę w naturalnych potrzebach. Ten sam zdrowy rozsądek sprawia, że większość wierzących nie zamierza się mnożyć jak króliki i stosuje najróżniejsze metody antykoncepcyjne. Dzięki temu zdrowemu rozsądkowi wreszcie wierni nazywają sławiony przez Jana Pawła II kalendarzyk małżeński „watykańską ruletką”.

Postawa zwykłych wiernych często mnie urzekła, bo uwidaczniała mi, ile ciśnienia można by spuścić z całego tego nabrzmiałego gniewem, przerażeniem i retoryką oblężonej twierdzy systemu kościelnego. Jakim to bowiem potworem musiałyby być Bóg, który by takich ludzi potępiał? Jeśli wiara chrześcijańska zakłada Boga, który jest miłością, jak może wciąż pompować to ciśnienie, parcie na „wymagania”, na „radykalną” ewangelię, na ciągłą „walkę ze złem”? Dlaczego Bóg, który by ludzi kochał, miałby ich potępiać za to, że się pośmieją, potańczą, upiją od czasu do czasu? Jak mógłby im mieć za złe to, że wolą w wolny od pracy dzień pójść w góry czy na imprezę niż siedzieć godzinami w kościele i słuchać, jak proboszcz przymila się dziekanowi?

Moja codzienność coraz bardziej mnie oddalała od księżowskiej rzeczywistości. Dobrze się czułem ze swoimi kumplami, cudownymi

ludźmi, których pierwotnie chciałem nauczać, a tak naprawdę to sam wiele nauczyłem się od nich. Jeżeli dzisiaj mogę pisać tę książkę, to także dzięki nim.

A różnie bywało! Kiedyś do Jeleniej Góry przyjechał z koncertem raper Pezet. W trakcie takich wydarzeń – piszę to, bo nie każdy się orientuje, jak to wygląda – panuje taki zwyczaj, że zaproszony artysta przyjeżdża później, niż na umówioną godzinę, a czas do jego przyjazdu wypełniają supporty, czyli występy lokalnych raperów. Kiedyś napisałem kilka rapowanych tekstów o religijnej treści i za poręczeniem jednego ze znajomych zaprezentowałem je wtedy. Ponoć wyszło mi to nawet niezłe. Tym niemniej były to dla mnie duże emocje. Zdarzają się rapujący księża, ale najczęściej występują przed ugrzecznoną, oazowo-gitarkową publicznością. Ja wystąpiłem przed zwyczajnymi, młodymi ludźmi. A potem, jak to na imprezie, sporo się piło. Kiedy byłem już porządnie wstawiony, podszedł do mnie jakiś zakapior.

– Ty jesteś ten ksiądz? – spytał. – Pezet chce cię zobaczyć.

Zataczając się, poszedłem więc za nim do niewielkiego saloniku obok sceny. Zostałem tam Pezeta, który, sądząc po trudności, z jaką się wypowiadał, także zdążył już sporo wypić. Jego towarzystwo było w nie lepszym stanie. Zauważyłem sporo pustych butelek. Raper zaczął się dopytywać – na tyle, na ile potrafił – o to, co ksiądz robi na jego koncercie, ja – na tyle, na ile potrafiłem – odpowiedziałem. W pewnym momencie jednak zmuszony byłem powiedzieć:

– A teraz przepraszam, idę do kibla. Będę rzygał.

Przyznam, że dużą frajdę miałem, opisując powyższą anegdotę, bo zdaję sobie sprawę, co będzie, jeśli ta książka trafi do rąk człowieka o szczególnej wrażliwości moralnej. Nim jednak zaczniecie rozdzierać szaty, wspomnijcie, że ja przynajmniej nie sięgałem dzieciom do majtek ani nie

wysyłałem – jak rzecznik kurii białostockiej – obscenicznych wiadomości do nieznanymych. A dzięki temu, że porzuciłem piedestał niedostępnej świętości kapłańskiej, wśród tych ludzi, którzy nigdy do kościoła nie zajrzeli i nie zajrzą, miałem prawo głosu. Tym samym mogłem z tym, co mam do powiedzenia, pójść do nich i byłem słuchany. Nie jak na kazaniu, nie na zasadzie: „zamknij dziób, bo teraz Kościół przemawia”, ale na równych prawach z każdym. Dzięki temu jednak ci ludzie niejednokrotnie po raz pierwszy w ogóle wpadli na pomysł, żeby pomyśleć o Bogu. Uważam, że więcej zrobiłem w ten sposób dla Kościoła, niż składając rączki przy ołtarzu.

Ale to nie imprezowanie z młodzieżą najbardziej mnie oddalało od wysokiego duchowieństwa, wszak w kwestii hulanki i pijactwa wiele by się mogła ta młodzież od księży nauczyć. Najbardziej oddalała mnie od nich codzienność pracy.

Zobaczyłem kiedyś ogłoszenie o pracy w stolarni renowującej antyki. Niewymagane było jakiegokolwiek doświadczenie, przeciwnie, pracodawca był gotów przyuczyć pracownika do zawodu. Zgłosiłem się. Stolarnia znajdowała się w jednej ze wsi koło Jeleniej Góry. Dojeżdżałem tam rowerem, nawet w zimie, przy obfitych śnieżycach. Płaca była nędzna, ale przynajmniej regularna, a przy tym można było nauczyć się skomplikowanej sztuki naprawiania i przywracania do stanu świetności starych mebli. Wszystkie renowacje były wykonywane na zamówienie niemieckich handlarzy, którzy przysyłali do polski takie meble, których tamtejszy stolarz nie chciałby tknąć albo żądałby za swoją pracę zbyt dużych pieniędzy. Przyjeżdżały więc do nas meble kompletnie zmurszałe, malowane farbami olejnymi, zdekompletowane lub pokryte straszliwie zniszczonym fornirem.

Starsi pracownicy byli dobrymi nauczycielami. Opanowałem zawód tak szybko, że po ośmiu miesiącach przeniosłem się do większego zakładu, w którym przydzielane meble naprawiałem już samodzielnie, a nawet wykonywałem ich kopie i przeróbki. Okazało się też, że jako jedyny w tym zakładzie potrafię rzeźbić i wykonywać intarsje, dzięki czemu często dostawałem do zrobienia bardzo ambitne i trudne renowacje. Mawiałem wtedy, że sam Jezus dał mi zaznać swojego zawodu.

Oczywiście nasuwa się pytanie: jak ci wszyscy ludzie, współpracownicy i współpracowniczki, reagowali na obecność duchownego w ich zwykłym życiu? No cóż, najlepiej byłoby zapytać ich samych. Z tego, co mogę ocenić, to na początku się dziwili, ale kiedy codzienność udowadniała, że pracuję, jem, śpię i bawię się jak inni, emocje opadały. Doszło do tego, że pewnego dnia jeden z moich kolegów z pracy udzielił mi rozległej lekcji na tematy teologiczne.

– A więc najświętsza to jest Maryja Panna albo Najświętszy Sakrament – powiedział. – Natomiast Trójca nie jest święta ani najświętsza, ale przenaświętsza!

Innym razem na podstawie swojego przeżycia śmierci klinicznej odmalował mi obraz życia wiecznego, dość poważnie kłócący się z oficjalną teologią kościelną. Niewzruszenie wierzył w reinkarnację i gorąco mnie do niej przekonywał.

Już ja widzę, jak by taki biskup czy prałat pozwolił się zwykłemu robotnikowi pouczać w kwestiach teologicznych!

Duchowni nigdy nie dopuszczą do tego, by zdrowy rozsądek lub osobiste przeświadczenia wiernych zostały dopuszczone do głosu w Kościele. To, co mają do powiedzenia wierni, traktuje się z pobłażliwością, a jeśli jakiś ksiądz lub teolog zapragnie być ich reprezentantem na wewnętrznym forum duchownym, kościelna władza zareaguje na to

bezwzględnie i z okrucieństwem. Wspomnijmy chociażby to, jak Jan Paweł II i Kongregacja Nauki Wiary poniżała i wyklinała przedstawicieli teologii wyzwolenia.

Dlatego gdy słyszę sensacyjne doniesienia o tym, jak to papież powołał do jakiejś komisji czy urzędu kobietę albo świeckiego, to w przeciwieństwie do wielu entuzjastycznych komentatorów widzę w tym tylko jaskółkę, która wiosny nie czyni. „Kościół się zmienia!” – pieją z zachwytu ludzie. A tymczasem Kościół nie tylko się nie zmienia, on takimi pustymi gestami wzmacnia żelazny pancerz swojej zatwardziałości i konserwatyizmu.

Duchowni boją się, że gdyby porzucili złote ołtarze, pierścienie, ornaty i zeszli do poziomu zwykłych ludzi, straciliby autorytet. Niewątpliwie mają rację, ale należy sobie zadać pytanie, jaki autorytet by stracili? Straciliby autorytet oparty na iluzji, autorytet magika, którego sztuczki wydają się łamać prawa fizyki tylko do momentu, gdy magik odsłoni tajemnice swojego warsztatu. Straciliby łatwy autorytet, który się po prostu posiada na mocy sutanny, na mocy mikrofonu na ambonie, na mocy prezydenta czy premiera pokornie śliniącego pierścień biskupa przed kamerami. Straciliby autorytet, na który nie trzeba sobie zapracowywać, autorytet bezdyskusyjnego, jednostronnego przekazu, autorytet, którego nie tylko nie trzeba podpieierać swoim życiem i postępowaniem, ale który może trwać mimo jawnej niezgodności słów z czynami.

I mają świętą rację, że się tego boją. Wśród młodzieży nikt nie miał mnie za autorytet. Owszem, bywały nieliczne chwile, gdy coś na kształt tego udawało mi się osiągnąć. Na przykład wtedy, gdy podczas jednej z weekendowych imprez w klubie usłyszałem rozmowę dwóch podpitych chłopaków:

– M... m... mówieeee ccci, p-po-poroz... porozmawiaj s... sobie z tym tym... tym księdzem, nap... naprawdę m... mądrze gada...

Wątpię jednak, żeby jakiegokolwiek biskupa, kardynała czy teologa taki autorytet zadowolił. Przełożęństwo kościelne dobrze wiedziało o szczegółach mojego ówczesnego życia i uważało je za przykład niedopuszczalnego zeświecczenia. Nie mogli przeboleć, że ktoś w sutannie oparł swoją misję wśród ludzi nie na autorytecie, ale na zaufaniu.

A młodzi ludzie okazywali mi naprawdę ogromne zaufanie. W przeciwieństwie do księży radośnie łamiących tajemnicę spowiedzi, nie będę opowiadał tutaj, jakich wyznań wysłuchiwałem nieraz całymi godzinami, gdy jakiś młody człowiek zobaczył koloratkę na mojej szyi i, nieco sobie podpiwszy, poczuł, że chce mi coś wyznać. Te rozmowy pozostaną na zawsze tajemnicą między mną a nimi. Nie tylko słowami odsłaniali mi tajniki swojej duszy. Nie wahali się pokazać mi trudnej, czasami strasznej sytuacji w ich rodzinnych domach czy w ich związkach. Wiele wtedy widziałem, lecz i to traktuję jako zwierzenie przekazane w zaufaniu i nie zamierzam o nim nikomu opowiadać.

Na podstawie swoich doświadczeń zobaczyłem jednak, że wiele słabości czy nawet zła w ludziach ma swoje wyraźne przyczyny, w które nikt wyłącznie z własnej winy się nie wplątuje. Zobaczyłem, że cała chrześcijańska retoryka grzechu i kary, a nawet retoryka miłosierdzia jest do głębi niesprawiedliwa. Podkreślam: nawet retoryka miłosierdzia! Przecież miłosierdzie to akt łaski wobec winnego, a czemu winni są ci, których wtedy poznałem i których rozterek wysłuchiwałem? Za co mieliby Boga przeproszać, skoro ich los tak często byłznaczony i napiętnowany niezależnymi od nich okolicznościami?

Tymczasem Kościół z wyżyn majestatu swych ambon potępia i oskarża ludzi, wyrzucając im wciąż egoizm, pychę, brak miłości, zezwierzczenie,

uleganie instynktom, to, że „od siebie nie wymagają”. Twierdzi, że żadne okoliczności nie zmieniają kwalifikacji moralnej grzechu, że człowiek ma wolną wolę daną przez Boga, a co za tym idzie, ponosi pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Kościół głosi to, mimo że sami jego przedstawiciele bez końca umywają ręce, uciekają od odpowiedzialności i ciągle tłumaczą się: nie mogłem, nie pamiętam, nie wiem.

To wszystko postawiło przed moją wiarą bardzo poważne pytania, na które łatwo odpowiedzieć może tylko zarozumiały głupiec. W codzienności młodych ludzi, moich przyjaciół, pełnej zarówno łez, jak i śmiechu, zarówno miłości, jak i tragedii, zobaczyłem, jak bardzo powierzchowne są wszystkie odpowiedzi, jakie katolicka teologia na takie pytania udziela. Wierzyłem jednak, że wystarczy z większą otwartością i wnikliwością pogłębić chrześcijańską refleksję, by na jej gruncie znaleźć rozwiązania tych kwestii. Już wtedy jednak frustrowała mnie świadomość, że cały ten teologiczno-instytucjonalny aparat kościelny w ogóle takiej potrzeby nie widzi, a ludzi, którzy do tego nawołują, albo zbywa, albo ucisza.

Teologowie i bibliści wciąż trzęsą się nad słówkami *ekporeuo*, *filioque*, *parakletos* i im podobnymi, kompletnie niepotrzebnymi bzdurami. Odpowiadają tylko na te pytania, które sami sobie zadają. Wciąż wnikliwie wczytują się w rozwlekły bełkot encyklik Jana Pawła II, sądząc, że dowiedzą się z nich, jak wygląda współczesny świat. Ślęczą nad wypocinami Krapca czy Półtawskiej, podczas gdy prawdziwe problemy ludzi zbywają odpowiedziami na poziomie katechetki z przedszkola. Duchowni nigdy nie zejdu między swoich wiernych, bo obawiają się, że musieliby wówczas porzucić swoją wynikającą z niewzruszonej wiary pewność siebie. Rozterki młodych ludzi, gdyby zechcieli ich wysłuchać, postawiłyby tę wiarę przed zbyt trudnymi pytaniami. Mogłoby się wtedy okazać, że wiedza teologiczna, jaką posiadli, ślęcząc nad po stokroć już

przetrawionymi wywodami Tomasza z Akwinu czy Wincentego z Lerynu, nijak się ma do problemów, jakie przed każdym normalnym człowiekiem stawia rzeczywistość.

I w tym sensie rację mieli ci wyniesieni na majestat złotych tronów duchowni, którzy widzieli w moim ówczesnym życiu drogę do zatracenia. Tak, to była droga do zatracenia dziewiczej nieświadomości, jak naprawdę wygląda życie.

Parafia w Nieszczęsnej

Wielu ludzi niewierzących, zapoznawszy się przy różnych okazjach z moimi losami, kiwa z politowaniem głową. Widzą we mnie kompletnego idiotę, przykład głupoty, jakieś wyjątkowe dziwadło. No bo jak to: tyle lat dochodzić do takich prostych wniosków. Jestem jednak żywym dowodem na to, czym jest wiara religijna. Jej siła jest skrajnie niedoceniana zarówno przez jej przeciwników, jak i samych wierzących, i to niedoceniecie stanowi jeden z najwybitniejszych atutów Kościoła. A przecież bardzo wielu ludzi, nawet tych inteligentnych, niezależnie myślących, może wiara religijna zniewolić w stopniu równym sile najmocniejszych narkotyków. Śmiech mnie ogarnia, gdy spotykam ateistę, który nie może uwierzyć, jakim to niesłychanym, według niego, jestem kretynem, podczas gdy sam nie potrafi rzucić palenia. Wiara jest używką o wiele silniej uzależniającą.

Jeszcze w czasie pracy w pałacu Wojanów zacząłem palić, ale moja decyzja była chłodno przekalkulowana. Co jakiś czas w pałacu odbywała się jakaś większa impreza, na przykład wesele lub jakiś raut biznesowy. Ponieważ sale restauracyjne miały ograniczone rozmiary, na wyposażeniu pałacu znajdował się wielki namiot, który w takich wypadkach rozstawialiśmy. A właściwie: przestawialiśmy. Należało bowiem namiot, rozstawiony wcześniej z innej okazji, złożyć, przenieść i ponownie rozłożyć w miejscu zgodnym z życzeniem organizatorów danego wydarzenia. Namiot był bardzo duży, więc i pracy przy tym było co niemiara. Wszyscy ogrodnicy, palacze i konserwatorzy trudzili się przy tym nawet przez

dziewięć godzin. Przy tej okazji byłem świadkiem pewnego irytującego zwyczaju. Mianowicie palący – i to przy pełnej akceptacji dyirekcji – mogli w każdej chwili przerwać pracę, żeby sobie zakurzyć. Stawali wtedy jak jakaś szlachta i mawiali:

– Nie palicie? To zap...jcie dalej!

Któregoś razu zrobiłem więc im pedagogiczną demonstrację. Gdy przerwali pracę i powyciągali papierosy, stanąłem obok i z całym spokojem wyciągnąłem klasyczną drewnianą fajkę. Powoli, z wielkim namaszczeniem nabiłem ją i zapaliłem. A że fajkę można palić bardzo długo, wielokrotnie dłużej niż papierosa, powiedziałem całemu towarzystwu:

– Skończyliście już palić? To zap...jcie dalej!

Zapoczątkowałem w tym momencie istną modę na klasyczną fajkę. Niestety źle się to odbiło na wydajności pracy, dlatego dyirekcja postanowiła nieco przykręcić śrubę.

Przy tej okazji wypłynęła sprawa wspomnianego już przeze mnie bardzo wierzącego i pobożnego pana Mariana. Okazało się, że po dokładnym podliczeniu pan Marian z ośmiu godzin pracy tak naprawdę przepracowywał co najwyżej połowę, w czym on, niepalący, prześcignął w traceniu czasu pracy wszystkich, i to wielokrotnie. Po przyjsciu do pracy zawsze brał taczkę i załadowywał ją wszystkimi możliwymi narzędziami: grabiami, szpadlami, motykami i co tam jeszcze wpadło mu w rękę. Następnie przez większość dnia nic nie robił, tylko jeździł obładowaną taczką tam i z powrotem, przez co wyglądał na bardzo zajętego. W pałacu była możliwość, żeby zamiast na półgodzinną przerwę o jedenastej pójść dwie godziny później na posiłek wydawany pracownikom z tego, co zostało po obiedzie hotelowym. Pan Marian chodził i na przerwę, i na obiad. Co więcej, opuszczał pracę już pięćdziesiąt minut przed końcem na mocy

niepisanego przyzwolenia, żeby tuż przed fajrantem skorzystać z prysznicza. Nic dziwnego, że kiedy się okazało, ile naprawdę pan Marian pracuje, a za ile godzin pobiera pensję, dyrektor spróbował go pod tym względem zdyscyplinować. Pan Marian się obraził i rzucił pracę.

Ludzie religijni – im bardziej religijni, tym częściej – twierdzą, że zachowują wyższe standardy moralne od niewierzących. Mało tego, wielu z nich posuwa się do stwierdzenia, że niewierzący żadnej moralności nie mają prawa mieć i z definicji są właściwie zbrodniarzami, którzy nikogo nie mordują tylko ze strachu przed policją i więzieniem. Tymczasem rzeczywistość pokazuje, że to nieprawda. Rezultaty badań socjologicznych, takich jak na przykład opublikowane w 2015 roku przez zespół Jeana Decety z uniwersytetu w Chicago wyniki eksperymentów z udziałem dzieci z rodzin chrześcijańskich, muzułmańskich i ateistycznych, wskazują na coś przeciwnego. Można to zresztą zaobserwować i bez naukowych metod.

Ludzie wierzący są bardziej skłonni do oszustw, pobłażania sobie i samousprawiedliwiania się przy jednoczesnej bezwzględnej surowości w ocenie innych ludzi. Wyznawcy „religii miłości” przodują w nienawiści, wyznawcy „religii pokoju” są mistrzami we wszczynaniu wojen i konfliktów. Duchowni, tak bardzo potępiający wszelką seksualność, pławią się w rozpuście. Piewcy pokory jako najwyższej z cnót są niemożliwymi do wytrzymania zarozumialcami. Można by tak wymieniać bez końca. Co gorsza, nie możemy tu mówić jedynie o rozdźwięku, czyli o czymś w rodzaju lekkiego niedostrojenia między ideałami wiary a życiem, ale wręcz o odwrotnie proporcjonalnej relacji między wiarą a moralnością. „Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców” – powiedział Jezus (Mt 7, 18) i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tym samym dokonał największego w historii zdyskredytowania własnego

nauczania. Jeżeli spojrzysz się na owoce, jakie wydaje chrześcijaństwo, a zwłaszcza katolicyzm, to jak ocenić takie drzewo?

Obserwowanie tej rzeczywistości w praktyce spowodowało powstanie kolejnej rysy na mojej wierze. Dopóki nie poznałem życia, nie zebrałem tych wszystkich małych codziennych obserwacji, nie zdawałem sobie sprawy z ogromnych rozmiarów problemu. Można by mnie zapytać: „Dopiero teraz to zrozumiałeś? Przecież wiadomo z dziejów religii, że zawsze tak było, wystarczy przywołać przykład wypraw krzyżowych czy inkwizycji”. Ale wierzących, w tym i mnie wtedy, takie przykłady nie są w stanie przekonać. Są faktami z dawno minionej przeszłości, należą do historii, która zawsze jest dyskusyjna, i dopóki nie skonstruujemy wehikułu czasu – podatna na różnorodność interpretacji. A poza tym Kościół zawsze może powiedzieć, że dziś jest inny, że dziś jest super, bo mamy ekumenizm, uśmiechniętych papieży machających z balkonu, a fajni księża i miłutkie zakonnice czynią tyle wspaniałych rzeczy, tyle dobra.

Dostrzegłem niemoralność Kościoła tylko dlatego, że jaskrawo jej doświadczyłem w życiu. Siła religijnych instytucji polega na tym, że potrafią zasłonić młodym ludziom widok na rzeczywistość i dymem z kadzielnic skutecznie maskować wydobywający się z pobielanego grobu Kościoła smród wewnętrznej zgnilizny. Służy temu obecność religii w szkole. Służy temu ogromna, wypróbowana przez wieki machina propagandy i psychomanipulacji, którą się Kościół posługuje. Skutkiem tego jest właśnie owa wspomniana wyżej, uzależniająca moc katolicyzmu, moc, której tak dobitnie doświadczyłem na sobie.

Wyrwanie się z uzależnienia od Kościoła zawdzięczam swojej sytuacji. Byłem w pewien sposób naraz duchownym i świeckim, wiodłem życie zawieszony pomiędzy oboma światami, a to pozwoliło mi dostrzec rzeczy, które moja fanatyczna wiara wcześniej mi zasłaniała. Zobaczyłem przede

wszystkim, że nieuczciwość takiego pana Mariana czy innych wierzących nie jest w pełni ich winą. To księża dają katolikom zły przykład sprzecznego z głoszonymi ideałami życia. Ale nawet oni nie są ostatecznym źródłem panoszącego się w Kościele zła. Źródła należy upatrywać w systemie formacji religijnej, który kształtuje duchownych.

Księża to dziewiętnastolatki, których seminarium duchowne zamroziło na tym poziomie rozwoju. Sześć lat spędzili w zamkniętym budynku pod nadzorem przełożonych, którzy bez przerwy im powtarzali, jaki to świat na zewnątrz jest zły i zdeprawowany, jaka to wielka odpowiedzialność na nich spoczywa i jak wielka jest różnica między wyświęconym kapłanem a zwykłym świeckim. Po seminarium poszli na plebanię, czyli w rzeczywistość może i mniej oderwaną od życia, ale nadal do głębi przesiąkniętą tą metafizyką „nadczołowieka – kapłana” i „podczołowieka – świeckiego”.

U mnie to oderwanie od rzeczywistości nie zaczęło się w seminarium, ale pięć lat wcześniej, gdy jako czternastolatek wpadłem w szpony wewnątrzkościelnej sekty, czyli Ruchu Światło–Życie. Nie jestem pod tym względem żadnym wyjątkiem, podobne CV może sobie wystawić większość księży. To chyba oczywiste, że im dłużej trwa w życiu konkretnego księdza jego ścisłe przywiązanie do instytucji Kościoła, tym bardziej oderwany jest od rzeczywistości.

To, co potem przejawia się w demoralizacji, pysze i kompletnej nieznajomości życia przez duchownych, jest winą przede wszystkim bardzo przemyślanego i bezbłędnie działającego systemu formacji. I to on odpowiada za to, co potem takim zgorszeniem napełnia wiernych. Jeszcze raz powtórzę z całą dosadnością: ksiądz pedofil, ksiądz biznesmen, ksiądz pijak, ksiądz pyszałek, ksiądz hazardzista, ksiądz okrutnik i inkwizytor zostali ukształtowani i pobłogosławieni przez Kościół, przez instytucję

katolickiej formacji, od kolorowanek na religii w przedszkolu począwszy, a na święceniach prezbiteratu skończywszy. I to ten system powinien zostać w pierwszej kolejności rozliczony.

Tymczasem sięga on także po bezbronne umysły dzieci. Kościół poprzez posłuszną mu władzę państwową próbuje zmusić rodziców, by posyłali pociechy na lekcje religii w szkole. W sukurs idą mu politycy, głoszący, że bez tych lekcji młodzi ludzie będą pozbawieni wartości moralnych. A przecież szkolna katecheza jest pierwszym stopniem tego właśnie systemu, który demoralizuje i przerabia ludzi na potwory niedostrzegające własnej nieuczciwości, podłości i okrucieństwa. Dlatego chcę w tym miejscu z całą mocą powiedzieć, że nie wolno dopuścić do tego, żeby Kościół miał dostęp do młodych ludzi. Katolicyzm powinien być tak samo traktowany jak najsilniejsze narkotyki: trzeba przed nim bronić młodzież, bronić dzieci, bo jeśli system kościelnej formacji dobierze się do ich umysłów, zrobi im potworną krzywdę. Nie można na to pozwolić. Każdy z nas jest odpowiedzialny za to, żeby demoralizację krzewioną przez Kościół powstrzymać. Wołam o to także dlatego, że wiem, z jakim trudem rzeczywistość wyrwała mnie z tego systemu. A przecież nie każdy może mieć tyle szczęścia co ja.

Niech za ilustrację tego wszystkiego, co napisałem w temacie kościelnej moralności, posłuży pewna przygoda, którą przeżyłem wiosną 2012 roku. Jeden z moich przyjaciół, Rafał I., przez przypadek dowiedział się o dziewczynce mieszkającej w pewnym prowadzonym przez siostry zakonne domu dziecka. Dziewczynka nie miała jednej ręki, co było przyczyną oczywistej niesprawności, ale też skutkowało groźnym dla prawidłowego rozwoju nierównomiernym obciążeniem kręgosłupa. Należało zaopatrzyć dziecko w protezę, w przypadku tak młodego ciała nie jest to jednak prosta sprawa. Dziecko rośnie, a proteza nie. Można więc albo wymieniać protezy

co jakiś czas, co za każdym razem wiązałyby się ze sporymi kosztami, albo ponieść jednorazowy, potężny wydatek (wówczas ponad 100 tysięcy złotych) i zakupić specjalną protezę dziecięcą, którą można dostosowywać do rozmiarów i wagi rozwijającego się ciała.

Historia jakich wiele, ale przyjaciele z mojej paczki zapalili się do tego, żeby coś z tym zrobić. W ciągu ledwie trzech miesięcy udało im się od zera zorganizować galę charytatywną i licytację połączone z młodzieżową imprezą, z których dochód w całości poszedł na sfinansowanie zakupu protezy. Zdobyli sponsorów wśród przedsiębiorców, reportaży o ich dokonaniu został swego czasu wyemitowany przez telewizję Polsat w wieczornym wydaniu wiadomości. Licytowano nie jakieś odpustowe śmieci, ale całkiem poważne fanty, na przykład gitarę z autografami członków zespołu Dżem. Gala, licytacja, impreza oraz prowadzona po nich zbiórka pozwoliły jeszcze w tym samym roku zakupić protezę dla dziewczynki.

Młodzi ludzie, którzy to wszystko zorganizowali, byli typowymi przedstawicielami młodzieży, która z wiarą i Kościołem żegna się w momencie bierzmowania, a moralność i nauczanie chrześcijańskie są jej zupełnie obce. Jedynym ich kontaktem z rzeczywistością wiary byłem ja i dlatego mogę powiedzieć i zaświadczyć, że w tym, czego dokonali, wiara religijna, chrześcijańskie przykazania miłości i tym podobne nie miały żadnego, ale to żadnego udziału. Co więcej, pławiący się w zbytkach, siedzący na złotych tronach kapłani i w ogóle cały instytucjonalny Kościół ani grosza nie dali na protezę dla dziewczynki, będącej, jak by nie było, podopieczną katolickiego domu dziecka. Ciągłe słyszę, jak strasznie niesprawiedliwe jest twierdzenie, że z wiary religijnej nie wypływa ani nie płynęło nigdy żadne dobro. Podnosi się rzekomo ogromne zasługi Kościoła na polu charytatywnym, śpiewa się hymny na cześć chociażby Caritasu.

Tymczasem, gdy jeden z chłopaków z paczki wpadł na, jak się okazało, głupi pomysł, żeby w poszukiwaniu sponsorów udać się do jednej z parafii, usłyszał od księdza, że skoro nie chodzi do kościoła, to nie mają o czym rozmawiać.

Dzisiaj bardzo żałuję, że podczas całej akcji wspierałem działalność moich przyjaciół, mając na sobie koloratkę, tym samym sugerując postronnym obserwatorom, jakoby Kościół katolicki miał cokolwiek wspólnego z naszą akcją charytatywną.

Sto tysięcy złotych, jak spokojnie można oszacować, to miesięczne koszty utrzymania jednego biskupa z jego próżniaczym dworem, złożonymi szatami, rezydencjami, rautami i całym dobrodziejstwem inwentarza. Wystarczyłoby, żeby przez miesiąc, dwa biskupi zacisnęli pasa, a sami mogliby zakupić protezę dla dziewczynki. Gdyby chociaż zechcieli mieć na tyle wstydu i przyzwoitości, żeby przyznać, że wcale nie są jedyną i najjaśniejszą opcją moralną na świecie... Ale nie, dalej twierdzą, że poza katolicyzmem jest tylko amoralizm i nihilizm. Dla Kościoła całe dobro, jakie dzieje się bez niego, jest złem, a co najmniej czymś podejrzanym. Nic, co nie wygląda odpowiednio świątobliwie, co wyjdzie poza nawias jego napuszonej formy i poza krąg wzajemnej księżowskiej adoracji, nigdy nie otrzyma jego *imprimatur*, a jeśli ośmieli się zdobyć jakiś większy pozytywny rozgłos, stanie się wrogiem. Najlepszym przykładem jest tu odrażająca nienawiść Kościoła skierowana przeciwko Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy.

Podsumowując, wbrew temu, co Kościół twierdzi, dobro nie dzieje się wśród ludzi dzięki jego działalności, ale pomimo niej, a wiara katolicka bardziej w moralności przeszkadza, niż pomaga.

I tak nadszedł czas, by opowiedzieć o przedostatnim akcie żalosalnej komedii w moim życiu katolickiego duchownego. Zanim jednak zdam tę

relację, chciałbym krótko podsumować moje ówczesne zapatrywania na wiarę i wszystkie związane z nią problemy. Jest to konieczne, żeby uniknąć nieporozumień, których z pewnością nie omieszkaliby wykorzystać ci przygodni czytelnicy, dla których tak bardzo nieznośnym bólem jest świadomość, że ktoś ośmiela się nie podzielać jedynie słusznego, chrześcijańskiego światopoglądu.

Wierzyłem wciąż, że wszystko, co stanowi świadectwo ewangelii, całokształt nauczania Jezusa Chrystusa i katolickiej teologii jest absolutną i niepodważalną prawdą. Nie miałem co do tego żadnych, najmniejszych nawet wątpliwości. Wątpiłem jedynie w jakość tego, jak całe chrześcijańskie przesłanie zostało w praktyce zrealizowane, wątpiłem w formę, a nie w treść. Mało tego, sądziłem, że Kościół – zgodnie z tym, jak sam się przecież reklamuje – jest miejscem dla każdego, także dla niepokornych wizjonerów, którzy chcieliby choćby małą cegielkę do poprawy tej formy dołożyć. Wierzyłem, że wciąż jest dla mnie miejsce w Kościele, nie tylko dla mnie, ale i dla tych młodych ludzi z raperskich koncertów, domówek i piwek przy ognisku, których miałem zaszczyt poznać. Wierzyłem w to i choćby wszyscy chrześcijanie całego świata w obronie swoich przesądów zrobili wszystko, co mogą, żeby dyskredytować wiarygodność tego wyznania, w niczym to nie zmieni rzeczywistości.

Wtedy – a było to pod koniec 2012 roku – dostałem maila od znajomego. Napisał mi, że poznał pewnego księdza z dużej wiejskiej parafii gdzieś w Polsce. Ksiądz ten zwierzył mu się, że ma wielkie problemy w czasie wszelkiego rodzaju świąt, a niekiedy nawet w zwykłą niedzielę. Parafia była, przynajmniej wówczas, bardzo pobożna, do kościoła uczęszczała zdecydowana większość mieszkańców, a bardzo wielu ludzi przystępowało do komunii. Powodowało to, że jedyny duszpasterz musiał

bardzo długo ją rozdawać. Znajomy w mailu zapytał w imieniu tego proboszcza, czy nie zechciałbym mu w czasie świąt pomóc.

Nie podam prawdziwego imienia tego księdza ani nawet inicjału nazwy miejscowości, a to dlatego, że nie zamierzam temu człowiekowi w żaden sposób zaszkodzić, a mógłbym to zrobić, zważywszy na to, jakiego biskupa ma ten ksiądz. W przeciwieństwie do wielu swoich konfratrów jest on zupełnie nieszkodliwym, a tak naprawdę bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Dobrze rozumiem jego sytuację, bo choć moje losy potoczyły się w innym, pomyślnym kierunku, to mam dosyć wyobraźni i empatii, żeby go nie osądzać ani nie potępiać. Nie mam żadnych przesłanek, żeby jego skłonności wykraczały w jakikolwiek sposób poza wewnętrzną przeżywaną, choć z pewnością straszliwą rozterkę.

Ksiądz Nieszczęśnik – i tak go będę nazywał – z parafii w Nieszczęsnej z wielką wdzięcznością przyjął moją okazjonalną pomoc. Odebrał mnie z dworca kolejowego w pewnym dużym mieście i stamtąd pojechaliśmy do parafii. Po drodze zasypał mnie pytaniami na temat mojej niezwyklej sytuacji, o której nasz wspólny znajomy trochę mu opowiedział. Bardzo go zszokowała moja historia.

Proboszcz poinformował mnie w pewnym momencie, że „musimy jeszcze kogoś odebrać po drodze”. Zajechaliśmy na jedną z ulic w pewnej miejscowości, a tam dosiadł się do nas młody chłopak. Mówił z obcym akcentem, a ksiądz Nieszczęśnik wyjaśnił mi, że był niegdyś misjonarzem w kraju ojczystym tego chłopaka i dlatego „stara się pomagać” studentom i ogólnie przyjezdnym z tego kraju, powierzając im jakieś drobne prace na plebanii i płacąc za nie.

Mój niedługi pobyt na tej parafii przebiegał bez większych odstępstw od normalnej kościelnej rutyny. Rzeczywiście podczas świątecznych mszy kościół wprost pękał w szwach i nawet komunia rozdawana przez dwie

osoby trwała dość długo, więc wyobrażałem sobie, co tam się musiało dziać, gdy proboszcz nikogo nie miał do pomocy. Jedynym, co wywołało we mnie jakieś podejrzenia, było to, że przywieziony jakoby do pracy chłopak nic nie robił. Ale w końcu są święta, pomyślałem, może dostanie jakieś zajęcie później.

Jakiś czas po mojej wizycie w parafii księdza Nieszczęśnika odezwał się on do mnie znów. Tym razem miał dla mnie propozycję. Twierdził, że ma znajomych w USA, rzekomo bliskich świeckich współpracowników jednego z tamtejszych biskupów, i że mógłby poprzez nich spróbować mi pomóc w mojej sytuacji. Mówił, że wielu księży z jego diecezji tak sobie poradziło z niełaskami u biskupa, że przenieśli się do Stanów i załatwienie czegoś takiego nie powinno mi nastręczyć większych trudności. Zaprosił mnie do siebie do parafii, żebym znów pomógł mu w duszpasterskiej posłudze, dodając, że „przy okazji wszystko omówimy”.

Pojechałem więc. Już pierwszego dnia miało miejsce dziwne wydarzenie. Przed wyjazdem zapomniałem odpisać na wiadomość jednemu ze swoich znajomych. Ponieważ nie miałem wtedy ze sobą żadnego komputera ani telefonu z dostępem do internetu, zapytałem proboszcza, czy mógłbym skorzystać z jego laptopa. Proboszcz się zgodził, ale gdy tylko zdołałem wysłać wiadomość przez Facebooka, nagle podszedł i powiedział:

– A pokaż mi tych swoich znajomych.

Prośba ta zaskoczyła mnie na tyle, że bezmyślnie wszedłem na listę kontaktów. Ledwie zdołałem to zrobić i lekko ją przewinąć, gdy nagle ksiądz Nieszczęśnik wyrwał mi mysz z ręki i kliknął na zdjęcie profilowe jednego z moich przyjaciół. Przez chwilę wpatrywał się w nie jak urzeczony i westchnął:

– Ale ładny chłopiec...

Zszokował mnie na tyle, że nie od razu byłem w stanie przyjąć do wiadomości wniosek, jaki się z tego wydarzenia wprost nasuwał.

Następnego dnia ksiądz Nieszczęśnik poinformował mnie, że ma kupione bilety i jutro lecimy do Rzymu zobaczyć papieża. Twierdził, że przy okazji „spróbujemy coś załatwić” w mojej sprawie. Była to oczywista bzdura, ale zaintrygowany dziwnością całej sytuacji postanowiłem udawać, że w niczym się nie orientuję.

W Rzymie oczywiście nic nie „załatwialiśmy”. Ksiądz Nieszczęśnik zaprowadził mnie do wszystkich ważniejszych zabytków stolicy Włoch, poszliśmy na plac św. Piotra w czasie spotkania wiernych z papieżem Franciszkiem i nawet staliśmy na tyle niedaleko trasy jego przejazdu, że księdzu Nieszczęśnikowi udało się zrobić kilka niezłych zdjęć.

Właśnie. Zdjęć. W czasie tego wyjazdu zrobił ich dokładnie 365, z czego 265 to nie zdjęcia rzymskich zabytków, ale moje. Fotografował mnie z natarczywością paparazziego na każdym kroku, w zbliżeniu, w oddaleniu, $\frac{3}{4}$, z przodu, z profilu. A ja dokonałem cudów cierpliwości, żeby nie powiedzieć jasno i w sposób nieuprzejmy, co o tym myślę. W końcu jednak ksiądz Nieszczęśnik zrozumiał, że nie ma na co u mnie liczyć. W chłodnej atmosferze wróciliśmy do Polski i nasza znajomość się zakończyła.

Dzisiaj bym się nie hamował, ale chwycił tego starego, żalosego durnia, potrząsnął nim i powiedział: „Słuchaj, głupcze! Miejże na tyle rozumu, żeby przedstawić sobie tę brutalną prawdę, że stary, gruby dziad nie ma czego u mnie szukać i zwyczajnie się ode mnie odpieprz”. Myślę, że moja własna, wówczas jeszcze nieuświadomiona natura zatrzęsa się w posadach na widok tego, do czego mogę się sam doprowadzić, jeśli będę tkwił w katolickim zakłamaniu. Nic nie budzi z marazmu skuteczniej niż widok cudzego nieszczęścia i uświadomienie sobie, że i mnie takie nieszczęście może spotkać.

Sprawa z seksualnością księży, na temat której już tyle napisano, jest w istocie bardzo prosta. Każdy człowiek ma jakieś potrzeby w tej sferze, jedni większe, inni mniejsze. Niektórzy mają ochotę na seks kilka razy dziennie, a są tacy, którym nawet miesiąc może upłynąć bez najmniejszego skoku ciśnienia.

Jak różne są poziomy potrzeb, tak różne będą skutki majstrowania przy seksualności przez katolicką naukę moralną. Jedni, gdy tylko uciekną spod karzącej, wściekłej ręki katolickiej Bozi, która nic lepszego nie ma do roboty, jak skrupulatnie inwentaryzować każdy mikrolitr spermy, powrócą do równowagi i zgody z sobą. U innych to majstrowanie przyniesie oplakane skutki w postaci przeróżnych problemów psychicznych, z wynaturzeniem samych potrzeb seksualnych włącznie.

Dodajmy jeszcze do powyższego równania i ten czynnik, że bardzo różna jest presja, jaką katolicka obyczajowość wywiera na seksualność kapłanów w zależności od orientacji. O ile bowiem ksiądz, który będzie szukał pociechy w ramionach kochanki, może się spotkać z pewną dozą społecznego zrozumienia, to absolutnie nie może na to liczyć homoseksualista.

Trzeba jeszcze uwzględnić trzeci czynnik, jakim jest samoświadomość seksualna. Większość obecnie funkcjonujących w Polsce księży to dzieci czasów, w których homoseksualizm był w społeczeństwie bezdyskusyjnie postrzegany jako wstrętne zboczenie. Co ważniejsze, większość ludzi widziała to tak, że gdzieś tam, za górami, za lasami, żyją jacyś homoseksualiści, na zgniłym Zachodzie lub w Ameryce, ale absolutnie nie u nas, nie w katolickim, „normalnym” kraju. Gdy więc dorastający chłopak nie interesował się dziewczynami, wmawiano mu, że zapewne ma „powołanie kapłańskie”. I nie jest to wcale opowieść z XIX-wiecznej zapadłej wsi. Takie postrzeganie rzeczywistości miało się znakomicie

jeszcze całkiem niedawno, a w niektórych rejonach naszego kraju trwa do dzisiaj.

Nietrudno dostrzec wyraźną korelację czasową między wzrostem społecznej świadomości na temat homoseksualizmu a potężnym tąpnięciem liczebności kandydatów do seminariów. Podkreślam, że chodzi o wzrost świadomości, a nie akceptacji. Dziś dorastający chłopak jest w stanie w ogóle zdać sobie sprawę z tego, że jest gejem, bo wszyscy wiedzą, że coś takiego się zdarza. To, czy spotka się to z pochwałą, obojętnością czy potępieniem środowiska i rodziny, nie jest w tym momencie najważniejsze. Kluczowe znaczenie ma to, że nikt już nie wmawia dorastającemu chłopcu, że brak zainteresowania dziewczynami wynika u niego z „powołania do kapłaństwa”.

Jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie trzy opisane wyżej czynniki, stanie się jasne, że zniesienie celibatu niewiele pomoże w kwestii problemów z seksualnym rozchwianiem u niektórych księży. Żeby uzdrowić sytuację, trzeba by bowiem wyrzucić do śmieci całe katolickie nauczanie moralne na temat seksu i wszystkie tematy pokrewne. Dopiero na tej bazie można by było budować jakiegokolwiek uzdrowienie sytuacji, dopiero wtedy sens miałoby odstąpienie od obowiązkowego celibatu, jednak nie tylko na rzecz zezwolenia na małżeństwa heteroseksualne, ale także te między mężczyzną a mężczyzną. I nie tylko, bo gdyby porzucić katolicką obsesję na temat seksu, nie byłoby żadnych przeszkód, żeby księżmi mogły zostawać kobiety. To chyba oczywiste, że na taką rewolucję w Kościele katolickim nie mamy co liczyć ani teraz, ani nawet w najodleglejszej przyszłości. Nie tylko Kościół nie jest na to gotowy, polskie społeczeństwo również. Wyobrażacie sobie księdza, który w wiejskiej parafii ogłosiłby: „Dzisiejszą mszę świętą sprawuję w intencji mojego ukochanego męża z okazji jego urodzin”?

Temat homoseksualizmu wśród księży budzi wiele emocji, o wiele więcej, niż na to zasługuje. Wielu czytelników bardzo się zawiodło na tym, co napisałem w swojej poprzedniej książce, gdyż oczekiwali sensacyjnych, szokujących szczegółów. Ale jest mi bardzo przykro o tym pisać. Mówimy przecież o nieszczęśliwych ludziach, którym nigdy nie będzie dane zaznać prawdziwej miłości.

Zapytają zapewne niektórzy: jak to? A co z niemal jawnymi związkami księży, na przykład znanego w Polsce kardynała z pewnym diakonem albo pewnego proboszcza z Bolesławca, byłego sekretarza biskupa, do którego co weekend przyjeżdża inny kolega ksiądz i zostaje na noc w jego pokoju? Dziwię się, że ludzie nie widzą różnicy między związkami homoseksualnymi księży a związkami zwyczajnych gejów. Popatrzmy na przykład na młodych, wysportowanych, uśmiechniętych chłopaków w rodzaju influencerów Jakuba i Dawida. Do ich relacji porównajmy teraz patologiczny związek pewnego słynnego, odpychającego fizycznie kardynała i jego o wiele młodszego towarzysza. Ta druga relacja bardziej przypomina gwałt grubego prezesa korporacji na sekretarce niż szczęśliwy, partnerski związek.

Świadomy siebie gej będzie w stanie pewnego dnia spojrzeć w lustro i zrozumieć, że czymś obrzydliwym byłoby narzucać się nastolatkowi ze swoim wielkim brzuchem, worami pod oczyma i podwójnym podgardlem. Homoseksualny ksiądz, który od małego święcie wierzy, że nie jest gejem, nie będzie w stanie sobie tego powiedzieć. Wszelkie seksualne gesty w jego wydaniu zawsze będą niekontrolowanym wybuchem tłamszonych namiętności i dlatego też zawsze będą wykrzywione, spatologizowane, a jeśli urodzi się z tego jakiś związek, nie będzie to związek miłosny.

Księża homoseksualiści mogą się oszukiwać na różnych poziomach swoich relacji z innymi ludźmi. Może to być poziom podstawowy, gdy

ksiądz jest święcie przekonany, że nie jest gejem. Może się oszukiwać, gdy jest świadomy swoich skłonności, ale twierdzi, że w pełni nad nimi panuje. Może okłamywać samego siebie w konkretnych życiowych sytuacjach, na przykład gdy zaprasza ładnego ministranta do pokoju, wmawiając sobie, że w tym konkretnym przypadku wcale nie zamierza uprawiać z nim seksu. Może wreszcie zacząć go obmacywać, mówiąc sobie, że to tylko przyjacielskie gesty. W ten sposób doprowadza sam siebie do sytuacji, w której rozsądek nie ma już nic do powiedzenia, bo zaczyna działać sam popęd seksualny.

Księża są wychowani do tego, że potrafią nawet w trakcie homoseksualnego stosunku wierzyć bez najmniejszych wątpliwości, że gejami nie są. Dotyczy to zresztą całej sfery seksualnej: seksualność jest kompletnie wypchnięta z ich świadomości. 24 godziny na dobę udają sami przed sobą, że jej nie ma, że znikła wraz ze wstąpieniem do seminarium albo że jej nigdy nie było. Tym samym ksiądz, który się onanizuje, rozmawia o seksie w sieci albo dopuszcza się gwałtu, w zasadzie nie wie, co właściwie robi. Nie wie, bo mu nie wolno wiedzieć. A nawet jak wie, to udaje przed sobą, że nie wie, i wierzy w to co najmniej równie mocno albo i bardziej niż w Boga.

Kiedy ks. Andrzej, były rzecznik kurii białostockiej, został zaskoczony przez dziennikarzy pytaniem, dlaczego pisał do nieznanej sobie dziewczyny wiadomości pełne sadystycznych fantazji seksualnych, wybełkotał tylko, że nie wie, dlaczego to zrobił, nie wie, co się z nim stało... Myślę, że trudno o lepszą ilustrację tego, co się dzieje z człowiekiem, który wmawia sobie, że problem potrzeb cielesnych go nie dotyczy. W seminarium do znudzenia nam powtarzano:

– Nie ma czegoś takiego jak popęd seksualny. Popęd to mają zwierzęta! Człowiek na obraz boży stworzony jest w stanie dzięki wolnej woli w pełni

kontrolować tę sferę. Jeżeli ktoś tego nie kontroluje, jest zwierzęciem, a nie człowiekiem.

Skutek jest taki, że nie wyobrażam sobie, żeby księża geje byli w ogóle zdolni do stworzenia zwyczajnego, pełnego miłości związku. Jak można pokochać drugiego człowieka, kiedy nienawidzi się tej elementarnej części samego siebie, jaką jest seksualność?

A przede wszystkim nie należy zapominać, że nie tylko księża, ale wszyscy chrześcijanie są ludźmi trwale przykutymi do systemu wartości, który homoseksualizm z całą stanowczością i uporem potępia. System ten wzniesiono na fundamencie Biblii, która gejów stawia w jednym szeregu z matkobójcami, handlarzami niewolników, kłamcami, krzywoprzysięzcami i nakazuje ich zabijać (patrz 1Tm 1, 10; Kpł 18, 22; Kpł 20, 13). Pomyślmy, w jakim zakłamaniu wobec samych siebie i wobec swojego Boga żyją homoseksualni kapłani, a zrozumiemy, że stokroć bardziej na karę zasługuje nie ksiądz prowadzący pieprzne czaty w gejowskim komunikatorze randkowym, ale cały system wartości, pryncypiów i priorytetów pielęgnowany przez Kościół.

Byłem jednym z takich duchownych: gejem, który święcie wierzył, że nim nie jest. Naprawdę nie wiem, co by się stało, gdybym duchownym pozostał. Nie wiem, do czego doprowadziłoby mnie dalsze okłamywanie samego siebie. Być może dziś byłbym kolejnym księdzem skazanym za gwałt na jakimś młodym, ładnym chłopaku. Naprawdę mogę się nazywać wielkim szczęściarzem, że mój los poprowadził mnie do zrozumienia i akceptacji samego siebie.

Oczywiście wtedy, po przygodzie z księdzem Nieszczęśnikiem, jeszcze do tego nie doszedłem. Czekala mnie długa droga do prawdy o sobie. Był to jednak pierwszy impuls, pierwszy wstrząs, który naruszył fundamenty opartego na wierze kłamstwa, które sobie wmawiałem. Zrozumiałem

wówczas, że na żadną poprawę losu jako duchowny liczyć już nie mogę. Dla Kościoła nie istniałem, wyniośle milczał, a ja mógłbym czekać bezskutecznie do samej śmierci. Gdy w pełni zdałem sobie z tego sprawę, postanowiłem wreszcie coś z tym zrobić.

Ostatni eksperyment

Spotkałem się z biskupem w kurii legnickiej z zamiarem ostatecznego przyciśnięcia go do muru. Ale on tylko się rozżłościł.

– Napisałeś obrzydliwy paszkwil na Kościół! – powiedział, jakby cała sprawa miała miejsce wczoraj, a nie cztery lata wcześniej. – Co więcej, samowolnie zmieniłeś parafię...

– Ale jak to? – zapytałem zdziwiony. – Przecież cały czas przebywam w parafii św. Jana Chrzciciela...

– A powinieneś w parafii Matki Bożej Miłosierdzia!

– Ale otrzymałem przed czterema laty wyraźne polecenie od rektora, że mam być u Jana Chrzciciela...

– Ja nic o tym nie wiem, nie pamiętam czegoś takiego – odparł biskup, nieświadomie antycypując przyszłą słynną wypowiedź kardynała Dziwisza. – I w związku z tym jest oczywiste, że jesteś chory psychicznie. Owszem – dodał szybko, uprzedzając moje protesty – przyniosłeś wtedy ten jakiś świstek od jakiejś swojej znajomej, ale to chyba oczywiste, że jest nic niewart.

„Ten jakiś świstek” od „jakiejś znajomej” był zwykłą oceną zdrowia psychicznego, dokonaną w publicznej przychodni przez zupełnie nieznaną mi panią psycholog na podstawie kilku testów, takich samych, jakie przeprowadza się na przykład w przypadku osób ubiegających się o posiadanie broni palnej. Jediną wadą tej wydanej przez panią psycholog

oceny mojego stanu zdrowia było to, że nie zgadzała się ona z przeświadczeniem kościelnej wierchuszki.

– Świecki psycholog nie zna naszych realiów! – oznajmił biskup i kontynuował – Dlatego skieruję cię do księdza psychologa, dobrego znajomego księdza proboszcza Bogusława S., on wyda miarodajną dla nas opinię psychologiczną.

Ks. Bogusław S. to proboszcz w diecezji legnickiej bardzo znany. Duszpasterz leśników, nieprzejednany wróg wszelkich działaczy ekologicznych, możny patron wyrzynania lasów pod inwestycje narciarskie, członek najwyższych kręgów diecezjalnej kamaryli, która często zjeżdża się do jego parafii „na narty”, a tak naprawdę na tajne, drogie i zakrapiane imprezy. Z tych też powodów jego parafia stała się czymś w rodzaju poprawczaka, do którego zsyłani są wszyscy duchowni, którzy nie wykazują się należycie służebną postawą wobec biskupa.

Moje spotkanie z „księdzem psychologiem” było bardzo krótkie.

– Proszę mi opowiedzieć, jak się ksiądz tutaj znalazł – powiedział „ksiądz psycholog” beznamiętnym tonem. Opowiedziałem mu więc w skrócie wszystkie wydarzenia związane z aferą opowiadankową. On podczas mojej wypowiedzi trzymał na kolanach podkładkę z papierem i długopis, ale nic nie notował. Gdy skończyłem, powiedział:

– Dobrze, spiszę opinię i przekażę księdzu biskupowi.

To było wszystko, co od niego usłyszałem. Nie muszę chyba mówić, że nie miałem żadnego wglądu do tej opinii ani nie mam najmniejszego pojęcia, jakie to niby standardy naukowe spełniało jego „badanie”. Wydana przez niego opinia musiała być jednak rozczarowująco dobra, skoro na następnym spotkaniu biskup rzekł:

– Tak, tak... dostałem tę opinię, tak... – mamrotał, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. – Ale obawiam się, czy nie nastąpi u ciebie nawrót

choroby.

Nagle ożywił się i orzekł, że potrzebuje teraz opinii księdza proboszcza z parafii zakonnej, w której rzekomo samowolnie przebywałem. Do tej opinii miałem wgląd i była ona bardzo pozytywna. Ale nie miałem okazji jej biskupowi doręczyć. Gdy bowiem zadzwoniłem do sekretarza biskupa, żeby umówić się na kolejne spotkanie, usłyszałem, że biskup nie chce mnie widzieć i że we wszelkich sprawach mam się kontaktować z ks. Leopoldem R., byłym rektorem seminarium, a obecnie „wikariuszem biskupim ds. formacji stałej duchowieństwa”.

Był koniec października 2013 roku. Wszystkie powyższe wydarzenia, gdy je podsumowałem, poukładałem w głowie i przemyślałem, stały się dla mnie ostatecznie potwierdzonym pewnikiem, że w Kościele katolickim nie mam już czego szukać.

Czysto akademicko rzecz biorąc, mógłbym oczywiście pozostać wiernym Kościoła katolickiego, nie wiem jednak, jakim poziomem syndromu sztokholmskiego musiałbym się wykazać, żeby pozostać w jedności ze strukturą tak zdeprawowaną. Musiałbym znosić pogardę ze strony zarówno księży, jak i wiernych, w oczach których każdy, kto był księdzem, a już nim nie jest, to nieledwie trędowaty zbrodniarz.

A co z Janem od Krzyża i jego drogą do Boga przez cierpienie? Zobaczyłem jasno, że mojej sytuacji nie można nazwać cierpieniem, gdyż poziom absurdu, na który się natknąłem, wyklucza użycie tak patetycznej nazwy. Wszystko, co mnie spotkało, było tak komiczne i idiotyczne zarazem, że nie doświadczyłem przez to żadnego „oczyszczającego cierpienia”, żadnej „nocy ciemnej duszy”. To nie było oczyszczenie, po tych czterech latach przyglądania się całemu absurdowi i uczestniczenia w nim czułem się raczej jak po kąpieli w szambie.

Widziałem kiedyś reportaż na temat życia pewnego zawodowego szambonurka. Powiedział on między innymi, że po pewnym czasie takiej pracy smród przenika cię na wylot, nie pomagają już żadne kąpiele ani kosmetyki, smród będzie ci towarzyszył bez przerwy i jeszcze długo po tym, jak tę pracę rzucisz. Czuję coś bardzo podobnego. Zrozumiałem, że jeśli chcę porzucić smród tego absurdu, jakiego doświadczyłem w Kościele katolickim, nie mogę już dłużej w nim pozostawać ani jako duchowny, ani jako wierny.

W mojej rodzinnej miejscowości oprócz dwóch katolickich parafii znajduje się jeszcze parafia ewangelicka, czyli luterańska. 31 października 2013 roku poszedłem tam na nabożeństwo z okazji Święta Reformacji. Bardzo mi dało do myślenia to, co usłyszałem, gdy podczas modlitwy na zakończenie pastor, ks. Sebastian, powiedział:

– Panie Jezu, ty przez sługę swego Marcina Lutra nauczyłeś nas, że bez ciebie religia zmienia się w klerykalizm, wiara w fanatyzm, a pobożność w dewocję.

Chyba nie można lepiej podsumować tego, czym jest Kościół katolicki. Nie wahałem się już dłużej. Gdy po nabożeństwie zgodnie z ewangelickim zwyczajem proboszcz stał przy wyjściu i żegnał się z każdym z wiernych, podszedłem do niego i poprosiłem o rozmowę. Umówiliśmy się na następny dzień.

Odtąd moja noga ani razu nie stanęła w katolickim kościele i już nigdy nie uczestniczyłem w katolickiej mszy. W dniu, który w powszechnej świadomości funkcjonuje jako święto zmarłych, a który w dawnej pogańskiej tradycji był dniem kultu bogów śmierci i podziemia, na zawsze i ostatecznie pogrzebałem w sobie katolicyzm. Nie musiałem w żaden sposób zmieniać rdzenia swojej wiary, w końcu ewangelicyzm to także chrześcijaństwo. Co jednak z różnicami teologicznymi między obydwo-

Kościołami? Pamiętam pewien wykład z seminarium, gdzie przedstawiono nam różne poglądy na temat ważności święceń, a tym samym sakramentów udzielanych w kościołach tradycji protestanckiej. Wykładowca przytoczył hipotezę sformułowaną przez niektórych ekumenistów, według której nawet jeśli ewangeliccy pastory byli oszustami, a ich święcenia nieprawdziwe, to Bóg ze względu na wiarę ludzi uczestniczących w nabożeństwie luterańskim i tak zadziałałby pełnią łaski sakramentalnej. Według tego poglądu okrucieństwem byłoby ze strony Boga, gdyby odmawiał ludziom swoich darów tylko dlatego, że teologowie nie mogą się ze sobą dogadać. Wykładowca oczywiście z góry potępił takie stanowisko jako „indyferentyzm religijny”. Ja jednak już wtedy pomyślałem, że coś w tym jest, a jedyny problem tego poglądu polega na tym, że podaje on w wątpliwość monopol Kościoła katolickiego na czerpanie zysków z ludzkiej wiary.

Po gruntownym przemyśleniu sprawy stwierdziłem, że nawet jeżeli Kościół katolicki ma rację i właśnie popadam w herezję, to jestem gotów ponieść to ryzyko. Pozbawiony jakiegokolwiek miłosierdzia byłby Bóg, który zdecydowałby się mnie potępić. Bo za co miałyby to zrobić? Za to, że mam dość firmowania swoją pokorną, służebną i unizoną postawą spasionych leniów w sutannach, którzy sami we własnego Boga z pewnością już nie wierzą, bo wierzą w pieniądze, w swoje święte próżniactwo, w to, że są tak naprawdę panami Boga i mogą rozkazywać Chrystusowi? Jakim potworem musiałby być Bóg, który potępiłby ludzi niechających już uczestniczyć w tej tragikomedii absurdu, jakim jest cała rzeczywistość Kościoła katolickiego?

Przyszedłem więc na umówioną godzinę do pastora, powiedziałem, że jestem katolickim diakonem i że chcę zostać członkiem Kościoła luterańskiego. Opowiedziałem pokrótce, dlaczego tak, a nie inaczej

zdecydowałem, i zapytałem, jakie warunki muszę spełnić. W odpowiedzi ks. Sebastian rzekł, że bardzo wielu wiernych uczęszczających na ewangelickie nabożeństwa w całej Polsce to byli katolicy i nawet w tutejszej niewielkiej parafii nie będę pod tym względem wyjątkiem. Istnieje możliwość formalnej konwersji, ale nikogo się do niej nie zmusza i wielu byłych katolików nie odczuwa takiej potrzeby. Na koniec pastor oznajmił, że niezależnie od tego, czy będę chciał podjąć formalną konwersję, czy nie, pozostaje do mojej dyspozycji, jeślibym chciał dogłębniej poznać wiarę wyznawaną przez chrześcijan tradycji luterkańskiej.

To był piątek. W następnym tygodniu byłem umówiony na spotkanie ze wspomnianym „wikariuszem biskupim ds. formacji stałej duchowieństwa”, czyli ks. Leopoldem R., moim byłym rektorem seminarium. Umówiłem się na to spotkanie tylko dlatego, że byłem ciekaw, co usłyszę od tego dostojnika, i jednocześnie postanowiłem, że nie powiem ani słowa o tym, że zdecydowałem się ostatecznie na porzucenie Kościoła katolickiego. Niech się męczą dalej, pomyślałem, a jeśli zdołam na pożegnanie dostarczyć im nowych frasunków i trudności, których tak naprawdę sami sobie narobili, to tym lepiej. Pozwoliłem sobie jeszcze na jeden ostatni eksperyment, żeby dla własnej zabawy zobaczyć, czym się jeszcze ta zidiociała instytucja skompromituje.

Był już późny wieczór, gdy wpuszczono mnie na umówione spotkanie na plebanii księdza dziekana Bogdana Ż., tego samego, ku którego czci festiwale lizusostwa odbywały się w trakcie wszystkich odpustów, jakie zdarzyło mi się widzieć w mojej parafii. Tego dnia nie dostałem zaszczytu widzenia się z tą osobistością, wyszedł natomiast ks. Leopold R. i zaprowadził mnie do saloniku na parterze obok refektarza. Tam zakomunikował mi:

– Tak naprawdę jedynym, co Kościół katolicki przyjmie od ciebie do wiadomości, jest prośba na piśmie o zwolnienie cię ze stanu duchownego. Jeżeli tego nie zrobisz – dodał tonem pogroźki – będziemy musieli wszcząć oficjalną procedurę w Watykanie o pozbawienie cię święceń. Mam nadzieję, że rozumiesz, jak wiele formalności by to wymagało i że wystarczająco dużo już problemów przysporzyłeś Kościołowi.

W to mi graj! – pomyślałem.

– Nie zrzeknę się święceń – powiedziałem, odgrywając zaplanowaną komedię. – Proszę rozpocząć procedurę. Sumienie nie pozwala mi na to, żebym porzucił swoje powołanie.

Były rektor wyraził swoje niezadowolenie i ponowił „propozycję”, żebym po dobroci dał już sobie spokój. A ja znów, że nie, tak stoję i nie mogę inaczej. Że zamierzam niby to składać prośby do biskupa – zmyśliłem którego – a ten rzekomo wyraził wstępną zgodę na przyjęcie mnie do swojej diecezji. Ks. Leopold odparł, że diecezja nie wyda zgody na moje odejście do innego biskupa i, znów, że jedyne, co przyjmie ode mnie, to zrzeczenie się święceń.

W czasie całej rozmowy świetnie się bawiłem. Czy rzeczywiście udało mi się oszukać kościelnego dostojnika i czy istotnie diecezja podjęła kroki prawnokanoniczne u Stolicy Apostolskiej w sprawie pozbycia się mnie – nie wiem, ale to dość prawdopodobne. O moim przejściu do Kościoła ewangelicko-augsburskiego katolicy księża dowiedzieli się nie wcześniej niż w połowie stycznia, a i wtedy nie mieli absolutnej pewności, jak sprawa naprawdę wygląda. Pół roku później próbowali wypytywać moich znajomych i rodzinę o to, czy dokonałem formalnej konwersji. Nikt z rodziny ani znajomych nie mógł im jednak nic konkretnego powiedzieć, bo dobrze o to wcześniej zadbałem, więc prawdopodobnie otrzymali wiele sprzecznych informacji. Co więcej, niedługo później zmienił się biskup

diecezjalny: stary odszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął bp Zbigniew Kiernikowski. Hierarcha ten wzbudzał wśród duchownych istną trwogę. Uchodził za surowego, bezwzględnego żandarma i wszyscy księża trzęśli przed nim portkami. Możliwe, że nowy biskup nawet się nie dowiedział o całej aferze ze mną, bo mu się wstydziło o niej powiedzieć.

Tak ostatecznie zakończyła się moja przygoda z Kościołem katolickim. Z jednej strony żałuję tych lat straconych na walkę z wiatrakami, ale z drugiej dały mi one niezachwianą pewność co do tego, jak ten Kościół rzeczywiście wygląda i jak funkcjonuje. Antyklerykałowie czy reprezentanci nowego ateizmu mogą się teraz spokojnie powoływać na moje świadectwo. Jestem żywym dowodem na to, że mają rację, gdy widzą w rzymskim katolicyzmie molocha patologii, absurdu, głupoty i niegodziwości. Oni, gdy twierdzą, że dobry ksiądz jest wyjątkiem, a nie regułą, że to nie tyle ludzie są grzeszni, ile cała struktura, instytucja, istota tego, czym jest Kościół katolicki – wysuwają tylko hipotezę. Ja posiadam dowód, który tę hipotezę podpira. Tym dowodem są moje losy i co do tego, w co inni ludzie mogą wierzyć lub nie, ja mam pewność. Dla mnie eksperyment został zakończony, a hipoteza, że Kościół rzymskokatolicki jest święty – doszczętnie obalona.

Luteranizm

*Słowa palą, więc pali się słowa:
Nikt o treści popiołów nie pyta.
Ale moja ze Stwórcą rozmowa
Jak Syn Jego – do drzewa przybita!
Niech się gorszy prałacia elita,
Niech się w mękach świat tworzy od nowa!*

JACEK KACZMARSKI, *Marcin Luter*

Nabożeństwo ewangelickie różni się od obecnej katolickiej mszy zdecydowanie na korzyść tego pierwszego. Gdybym miał oceniać pod kątem przydatności do budowania jakiegokolwiek duchowości katolicką mszę w wydaniu trydenckim oraz nabożeństwo ewangelickie, postawiłbym je *ex aequo*. Problem z mszą posoborową, jaką dziś możemy zobaczyć w katolickich kościołach, jest taki, że próbowano ją zaprojektować jako coś pomiędzy jednym a drugim i w efekcie uzyskano takie ni to, ni sio. Skonstruowano rytuał, który odarty jest z wszelkiej możliwej mistyki. Centralnym punktem całego wydarzenia jest bezlitośnie wyeksponowany ksiądz, który może być pijany, zmęczony, stary, chory, zblazowany, niewierzący. Nic nie ukryje się przed wzrokiem wiernych, gdy ksiądz stoi do nich przodem i mówi po polsku.

Natomiast w nabożeństwie luterańskim nie ma kadzideł, ministrantów biegających ze świeczkami, krzyżami, ampułkami, welonami, nie ma

pastorałów, mitr, ornatów, stuł ani całej tej barwnej operetki. Wychodzi pastor w prostej czarnej todze i prowadzi nabożeństwo. Jednak równie ważny jest także organista, a gdy go brak – sami wierni, a to dlatego, że śpiew w Kościele ewangelicko-augsburskim traktuje się bardzo poważnie. Na ścianach znajdują się tablice, na których układa się widoczne dla wszystkich numery pieśni, które podczas nabożeństwa mają być odśpiewane. Każdy uczestnik modlitwy dysponuje specjalnym, ujednoliconym śpiewnikiem kościelnym, w którym każda pieśń jest wielkimi cyframi oznaczona i zaopatrzona w nuty. Prawie zawsze śpiewa się wszystkie możliwe zwrotki danej pieśni i dba się o poszerzanie repertuaru. Śpiew nie jest w Kościele ewangelickim oprawą, ale równoprawną z kazaniem, odczytaniem fragmentów Biblii oraz obrzędem komunii częścią wspólną modlitwy.

Jest to dramatyczna różnica wobec tego, co widzimy w Kościele katolickim. Tam pieśni są jedynie wypełniaczem czasu: żeby wierni mieli co robić, gdy ksiądz akurat rozkłada sobie kielich na ołtarzu albo odpoczywa na krześle, bo strasznie się zmachał rozdawaniem komunii. Przekłada się to na niesamowicie niską, bliską upokarzającego upodlenia pozycję organisty, który jest najczęściej bardzo źle opłacany i jeszcze gorzej przez księży traktowany. Natomiast w Kościele ewangelicko-augsburskim kantor czy organista ma bardzo wysoki status i otacza się go powszechnym szacunkiem.

Znaczenie śpiewu w nabożeństwie sprawia, że wierni mają autentyczny, rzeczywisty udział w tym, co się dzieje. Nie są widzami jak w czasie katolickich rozbudowanych liturgii, gdzie trzeba siedzieć i podziwiać, jak to służba liturgiczna tańczy z kadzidelkiem, świeczkami i wszystkimi już wymienionymi przeze mnie błyskotkami, i wysłuchiwać, jak księża kadzą sobie nawzajem.

W czasie tradycyjnej mszy trydenckiej wierni również nie mieli żadnego udziału w sprawowaniu liturgii, ale tam szepczący po łacinie, pochylony nad ołtarzem ksiądz przynajmniej nie przeszkadzał im się modlić. Dzisiejsza katolicka msza to czas i miejsce równie nadające się na modlitwę jak galeria handlowa albo hipermarket.

Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony ewangelickimi nabożeństwami. Pieśni zamieszczone w ewangelickim śpiewniku są zupełnie inne niż te śpiewane w katolickich kościołach, ale tutaj pomogła mi wyniesiona z seminarium umiejętność odczytywania zapisu nutowego. Dodam jeszcze, że wierni Kościoła ewangelickiego przyzwyczajeni są do tej wybitnej pozycji muzyki, więc ich śpiew nie brzmi jak śpiew katolików, czyli jak sflaczałe, fałszowane i żalosne zawodzenie, półgębkiem podśpiewywane przez nielicznych. W luterańskim zborze słyhać, że się śpiewa i to nawet wtedy, gdy z jakiegoś powodu brakuje organisty i śpiewanie odbywa się *a cappella*.

Jest wiele drobnostek, do których ciężko się z początku przyzwycząić komuś, kto z Kościoła katolickiego przeszedł na luteranizm. Na przykład tutaj nikt ci nie mówi, że jak nie przyjdiesz w niedzielę na nabożeństwo, to „masz grzech ciężki”. Kiedyś moja znajoma lekarka poszła do spowiedzi do katolickiego księdza wyznać ów „straszliwy grzech”, który popełniła, bo miała dyżur w szpitalu. W odpowiedzi na swoje wyznanie usłyszała:

– To mi śmierdzi piekłem...

W Kościele ewangelickim nikt się w takie bzdury nie bawi. Wychodząc z założenia, że „radosnego dawcę miłuje Bóg”, przyjmuje się, że lepiej, żeby ktoś nie przyszedł do kościoła, niżby miał z jakiegoś powodu robić to z niechęcią. Dlatego też nastolatki z rodzin ewangelickich pojawiają się na nabożeństwach bardzo rzadko, mimo że są z reguły do swojego wyznania bardzo przywiązani. Nie zmienia to faktu, że wspólne tradycyjne

rytuały nigdy i w żadnym chyba wyznaniu nie są dla młodych ludzi atrakcyjne. Jednak w Kościele ewangelickim nikt nad tym nie załamuje rąk, nie jęczy, jaki to straszny upadek moralny, jaka ta dzisiejsza młodzież jest okropna i bezbożna. Starsi wierni wychodzą z założenia, że po prostu przyjdzie w życiu tych młodych taki czas, kiedy i oni zaczną się pojawiać na nabożeństwach, a na razie – niech korzystają z młodości, póki trwa.

Spowiedź jest ogólna i odbywa się przed przyjęciem komunii. Wygląda to tak, że odmawia się wspólnie modlitwę bardzo podobną do znanej katolikom: „Spowiadam się Bogu wszechmogącemu...”, a następnie ksiądz zwraca się do całego zboru pytając:

– Czy żałujesz za grzechy swoje? Jeśli tak, odpowiedz: żałuję. Czy wierzysz w odpuszczenie grzechów i pojednanie z Bogiem przez Jezusa Chrystusa? Jeśli tak, odpowiedz: wierzę. Czy pragniesz z pomocą Ducha Świętego poprawić życie swoje? Jeśli jest to twoim szczerym pragnieniem, odpowiedz: pragnę.

Po ostatniej odpowiedzi zboru ksiądz konkluduje:

– Jak wierzysz, tak niechaj ci się stanie. Tak rzekł Pan nasz, Jezus Chrystus do swoich apostołów: „którymkolwiek grzechy odpuscicie, są im odpuszczone, a którymkolwiek zatrzymacie, są im zatrzymane”. Przeto jako powołany i ustanowiony sługa Jezusa Chrystusa i jego świętej ewangelii, zwiastuję wszystkim pokutującym łaskę bożą i z rozkazu pańskiego odpuszczam wam grzechy wasze w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Tylko tyle i aż tyle. „Jak wierzysz, tak niechaj ci się stanie” – więc kto wierzy w Boga miłosiernego, który błędy i grzechy wybacza, temu będzie wybaczone i nie ma tu żadnego znaczenia to, że nie udał się do zatechłej drewnianej szafy z kratkami, żeby wyposzczonemu seksualnie, obcemu mężczyźnie opowiadać, ile razy się onanizował i o czym wtedy myślał.

W Kościele katolickim o ewangelickim modelu spowiedzi mówi się jak o zaproszeniu do moralnej degrengolady. Duchowni uważają, że wstyd odczuwany wobec konieczności wyznawania księdzu intymnych szczegółów swojego sumienia ma „aspekt terapeutyczny” i dzięki niemu wierny dwa razy pomyśli, zanim znów zgrzeszy. Problem w tym, że nikt z tych rozwodzących się nad „aspektem terapeutycznym” teologów i biskupów ani przez chwilę nie pomyśli, do czego tak właściwie Bogu byłoby potrzebne to całe wyznawanie grzechów w konfesjonałach. Czyżby Bóg był głuchy i potrzebował aparatu słuchowego w postaci księdza, żeby usłyszeć wyznanie win? Czy nie leży w jego interesie i mocy pomóc wiernemu w poprawie swojego postępowania, i to bez jakiegoś tam „aspektu terapeutycznego”?

A tymczasem wiemy z coraz częściej przebijających się w mediach głosów wiernych, że spowiedź była dla wielu z nich bardzo bolesnym przeżyciem, zwłaszcza gdy byli do niej zmuszani jako dzieci. Nie raz i nie dwa zdarzało się, że księża wypytywali młodych ludzi o intymne szczegóły tylko po to, żeby się samemu podniecić. Jeżeli miałbym tu widzieć jakikolwiek „aspekt terapeutyczny”, to tylko taki, że spowiedź niejednego katolika wyleczyła z wiary.

Krótko mówiąc, jeśli nadal byłbym chrześcijaninem, to tylko i wyłącznie w Kościele luterańskim. Reprezentuje on chrześcijaństwo cywilizowane, oczyszczone do imentu z tych wszystkich kretyństw, których doświadcza katolik w tym, co szumnie nazywa się wspólnotą, a tak naprawdę jest czymś biegunowo odległym od jakiegokolwiek definicji tego słowa.

Księży ewangelickich nie obowiązuje celibat, przeciwnie, oczekuje się od nich przykładowego pożycia małżeńskiego i rodzinnego. Sprawia to oczywiście, że taki ewangelicki ksiądz nie odczuwa żadnej potrzeby

interesowania się tym, co wierny robi w łóżku i z kim. Warto zaznaczyć, że Marcin Luter odrzucił nie tylko celibat sam w sobie, ale też całą katolicką obsesję teologiczną na temat seksu i jego chore nauczanie w tej kwestii. Ani razu więc w Kościele luterańskim nie słyszałem, żeby ktoś pouczał mnie na temat tego, na czyj widok mam dostawać erekcji, a kiedy mi tego nie wolno, ile mam mieć dzieci i czy w ogóle, nikt nie prawił mi kazań na temat tego, czy użycie kondomu podoba się Bogu albo co myśli Jezus na temat pigułki antykoncepcyjnej.

Nigdy, nawet w dniu wyborów, nikt nie pouczał mnie, która partia jest „dobra, narodowa i wierna Bogu”, a która reprezentuje „bezbożne, zgniłe, komusze lewactwo”. Wolontariusze Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy mogli pojawić się pod drzwiami zboru po nabożeństwie bez lęku, że zaraz ktoś ich obrzuci obelgami albo nawet wypędzi, grożąc policją lub pobiciem. Mało tego, do wolontariuszy z puszką po nabożeństwie ustawiała się kolejka, bo każdy wierny za punkt honoru uznawał dorzucenie się do zbiórki. Dzieci w ewangelickich domach czytają książki o Harrym Potterze, a po nabożeństwie w dzień Pamiątki Reformacji idą bawić się w Halloween i nikt nie obawia się, że zaraz je Szatan opęta. Nigdy nikt nie upomniał się u mnie o wypchaną kopertę, nie zasugerował, ile to przy tej czy innej okazji wypada dać na ofiarę. Nikt nie robi tragedii z tego, że ktoś zwraca się do proboszcza po imieniu albo per „pan”. Ani razu nie słyszałem, żeby ktokolwiek choćby jedno złe słowo powiedział o homoseksualistach, przeciwnie, zdarzyło mi się usłyszeć od jednego z wiernych opinię, że wielkim złem jest zaprzeczanie swojej orientacji, bo w ten sposób człowiek krzywdzi samego siebie. I mógłbym tak wymieniać jeszcze bardzo, bardzo długo. Jestem w stanie sobie wyobrazić sytuację, kiedy ktoś stanąłby przed wiernymi tego Kościoła i powiedział, że jest niewierzący, ale ponieważ miło się tu rozmawia i ładnie śpiewa, to pragnie uczęszczać na nabożeństwa

i spotkania parafialne – i zostałyby w pełni zaakceptowany. Mało tego, nikt by go nie próbował na siłę nawracać.

Doświadczenie tego, że tak w ogóle można, było dla mnie wielkim szokiem kulturowym. W seminarium wnikliwie studiuje się teologię w wydaniu luterańskim oraz reformowanym, bo przecież „wroga znać trzeba”. Mało tego, niektórym z wykładowców zdarza się cytować Marcina Lutra, Filipa Melanchtona czy – z nowszych teologów – Rudolfa Bultmanna albo Rudolfa Otto. Kompletnie się jednak nie mówi, jak w praktyce wygląda życie Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Może to i dobrze, bo gdyby szczerze klerykom i studentom teologii ktoś o tym opowiedział, zapewne sporo z nich zadałoby narzucające się w tej sytuacji pytanie: dlaczego u nas tak nie jest?

Co więcej, różnice „z wyższej półki”, teologiczne i dogmatyczne, gdy je zobaczyłem z perspektywy „od wewnątrz” Kościoła, który się nimi kieruje, okazały się o wiele łatwiejsze do zaakceptowania, niż mi się wcześniej wydawało. Weźmy na przykład najbardziej newralgiczny punkt teologicznych różnic między protestantami a katolikami, czyli pytanie o to, co się dzieje z kawałkiem opłatka w momencie, gdy ksiądz bierze go do ręki i wypowiada słowa Jezusa: „To jest ciało moje”. Katolicy wierzą, że opłatek staje się rzeczywiście ciałem Chrystusa i będzie nim, dopóki ktoś go nie spożyje albo nie rozpuści w wodzie. Wierzą, że w ten sposób jest wśród nich rzeczywiście i fizycznie obecny sam Jezus, dlatego praktykują wystawianie takiego opłatka w monstrancji, adorowanie go i modlenie się do niego.

Pamiętam ostatnią procesję Bożego Ciała, w której uczestniczyłem jako diakon. Na tę okazję wyciągnięto z sejfu barokową, zabytkową monstrancję z XVIII wieku. Choć była niewątpliwym dziełem sztuki, miała pewną wadę techniczną: jej wielka gloria działała w czasie wietrznej pogody niczym

żagiel, tak że trudno było ją utrzymać. Akurat w czasie tej procesji wiał porywisty wiatr, a dodatkowo ostatni spośród czterech tradycyjnych ołtarzy polowych, nawiedzanych w czasie takiej procesji, został ustawiony krzywo. Zachodziła obawa, że postawioną na nim monstrancję przewróci wiatr. Proboszcz, zamierzając przy tym ołtarzu wygłosić dłuższą przemowę, kazał mi cały czas ją podtrzymywać. I kiedy tak stałem, trzymając ten wielki kawał złożonego żelastwa z hostią w środku, przypomniałem sobie tekst z Biblii, z Księgi Barucha: „Ubierają w szaty, jak ludzi, bogów srebrnych, złotych i drewnianych, którzy nie mogą obronić się przed rdzą i robakami (...) Gdy któryś z nich przypadkiem upadnie, to go sami podnoszą. Jeżeli zaś ktoś go prosto postawi, nie może poruszyć się sam, a jeżeli będzie nachylony, prosto nie stanie”. Szydzą katolicy z pogan, którzy czcili posągi swoich bogów, a sami upodobnili swój obiekt czci i kultu do takiego właśnie posągu. Jak by nie było, Jezus w czasie ostatniej wieczerzy powiedział: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy”, a nie: „Bierzcie, wystawiajcie w monstrancjach i adorujcie”.

Kościół luterański uważa, że Chrystusa uobecnia czynność spożywania komunii, a nie opłatek sam w sobie. Próżno więc u nich szukać monstrancji, tabernakulów i polityków ogłaszanych bohaterami za to, że złapali upadającą hostię. Kościół ten, w przeciwieństwie do Kościoła katolickiego, nie stara się wybielać swoich brudów. Wprost przyznaje, że Marcin Luter był zagorzałym antysemitą, a niektóre jego wypowiedzi posłużyły za nieoceniony argument dla ideologów nazizmu. Bez ogródek ewangelicy mówią o tym, że spora część pastorów i superintendentów Kościoła ewangelickiego w Niemczech całym sercem popierała Hitlera i nawet firmowała prześladowania tak zwanego Kościoła Wyznającego, utworzonego przez przeciwników nazizmu.

Kościół ewangelicki jest przykładem Kościoła, który nie twierdzi, że jest nieomylny i taka nieomylność nie jest mu potrzebna do zbawienia. Przyjmuje się tam po prostu, że jeżeli Bóg chce, żeby ludzie w niego wierzyli, to sam się najlepiej zatroszczy o to, żeby ich wiara była wolna od błędów. Zachęca się do samodzielnego czytania, rozważania i interpretowania Biblii, a zbor jest także forum, na którym można swoją wiarę i swoją interpretację skonfrontować – także w otwartej dyskusji – z wiarą i interpretacją innych. O kwestiach organizacyjnych wspólnoty decyduje nie zamknięte towarzystwo sfrustrowanych starców w purpurach, ale konsystorz, czyli swego rodzaju parlament kościelny, w którym duchowni mają zaledwie kilku reprezentantów, a przytłaczającą większość stanowią przedstawiciele wiernych.

Wszystko to z punktu widzenia Kościoła katolickiego jest wstrętną anarchią i nie wyobrażam sobie, żeby Kościół katolicki w tym kształcie i na tym etapie, na jakim się dziś znajduje, był zdolny do zaakceptowania takiej praktyki życia religijnego. Ekumenizm w katolickim wydaniu to szumne, ale najzupełniej puste gesty, wykonywane zresztą tylko przez duchownych. Księża niczym wojownicze kwoki chronią swoje parafialne pisklęta przed tym, żeby cokolwiek do nich dotarło z innych Kościołów. Na wszelki wypadek, gdyby jednak to i owo usłyszeli, tłumaczy się im, że tylko Kościół katolicki posiada „pełnię środków zbawienia”, a tacy luteranie dla przykładu mogą liczyć co najwyżej na boże zmiłowanie, a i to tylko pod warunkiem, że w głębi duszy będą wierzyć „po katolicku”.

Najlepszym przykładem katolickiego, zakłamanego ekumenizmu było to, co wydarzyło się w drugiej połowie stycznia 2014 roku. W tym czasie co roku jest obchodzony Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. W wielu miastach w Polsce organizuje się wtedy wspólne nabożeństwa z udziałem chrześcijan różnych wyznań. W Jeleniej Górze rzucone nabożeństwo

ekumeniczne odbywało się co roku gdzie indziej, ale dowcipny los sprawił, że wtedy akurat gospodarzem była właśnie parafia ewangelicka. Gdy takie wydarzenie ma miejsce w kościele parafii katolickiej, organizuje się je po południu, a wcześniej odprawia się normalne msze i w praktyce niewielu wiernych katolików uczestniczy w takiej modlitwie. Tymczasem nabożeństwo ekumeniczne było jednocześnie normalnym nabożeństwem niedzielnym dla członków ewangelickiej parafii. Bezczelnie usiadłem z przodu i katoliccy proboszczowie musieli mnie widzieć. Oprócz nich był także pastor zielonoświątkowy oraz proboszczowie parafii polskokatolickiej oraz prawosławnej. Gdy nabożeństwo dobiegło końca, ks. Sebastian zaprosił wszystkich duchownych na poczęstunek na plebanię. O tym, co tam się działo, dowiedziałem się później od niego.

Katoliccy proboszczowie nie zważali na obecność księży prawosławnego, polskokatolickiego oraz zielonoświątkowego. Ledwie weszli, od razu zaatakowali ks. Sebastiana natarczywymi pretensjami.

– Jakim prawem NASZ diakon uczęszcza tutaj na nabożeństwa?! Jakim prawem ksiądz na to pozwala?! To jest SKANDAL! HAŃBA! Ksiądz go UKRADŁ!

Pastor bronił się, mówiąc, że była to moja suwerenna decyzja, ani mnie do niej nie namawiał, ani nie zniechęcał, a drzwi kościoła ewangelickiego są z zasady dla każdego otwarte. Oczywiście katoliccy proboszczowie nie chcieli o tym słyszeć. W końcu ks. Sebastian powiedział:

– Widocznie źle go traktowaliście, skoro do nas uciekł.

Mnie przy tym nie było, ale inny akt ekumenizmu miałem okazję zaobserwować na dziedzińcu przed wejściem do zboru zaraz po nabożeństwie. Zauważyłem pana Henryka, przewodniczącego rady parafialnej w katolickiej parafii, lokalnego polityka i bardzo pobożnego ministranta jednocześnie. Podeszedłem do niego z wyciągniętą ręką.

– Dzień dobry, panie Henryku! – zawołałem. On zaś zrobił bardzo nieprzyjemną minę, burknął coś i nie podawszy mi ręki, odwrócił się i pospiesznie odszedł.

Tak wygląda katolicki ekumenizm w praktyce. Nie chcę być jednak niesprawiedliwy. To, co napisałem, dotyczy głównie księży i co bardziej pobożnych, zaangażowanych parafian. Zwykli ludzie potrafią też i normalnie ze sobą rozmawiać. Pracowałem wtedy jako stolarz w średniej wielkości zakładzie renowacji mebli i był wśród nas religijny katolik pan Marian (inny niż ten, którego poznałem w Wojanowie), byłem ja – ewangelik, były duchowny katolicki, i był Mikołaj, wierny parafii prawosławnej, ochrzczony tym imieniem na cześć samego świętego cara męczennika Mikołaja II Romanowa. Zdarzało się nam podczas pracy rozmawiać o sprawach religii, ale nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek się w tej kwestii kłócili. Przeciwnie, raczej było to dzielenie się typu: ja wierzę w to a to, a ciekaw jestem, jak to jest u was. Rozmawialiśmy o religii identycznie, jak rozmawialibyśmy o tym, co podają w tej pizzerii, a co w innej, albo ile kosztuje naprawa samochodu u tego, a ile u innego mechanika.

Naprawdę nie podejmuję się oceniać, ile dobra dla całego społeczeństwa polskiego wynikłoby z tego, gdyby tak porządnie, ale to porządnie spuścić powietrze z tego wielkiego, nadętego katolickiego balonu. Uważam, że to Kościół katolicki jest odpowiedzialny za tak wielką polaryzację naszego społeczeństwa. To katolicka hierarchia od samego początku szczuła nas jednych na drugich i pogłębiała podziały, radykalizowała nastroje, ba, wciąż to robi, a gdy się przeciwne obozy pobijają, obłudnie nawołuje do „dialogu” i „pokoju”. W katolickich kościołach święci się tandetne repliki średniowiecznych mieczy, wzywa do „walki”, pasuje się „rycerzy”, „wojowników”, „siły specjalne”. I pytam: do

jakiej wojny i z kim ma służyć ta armia? Oczywiście wróg już dawno został z katolickich ambon wskazany: to „lewactwo”, „ideologia gender”, „ideologia LGBT”, „pedalstwo” i tym podobne.

A żeby było śmieszniej, ten sam Kościół bardzo okrutnie obchodzi się z tymi swoimi członkami, którzy zbyt się przejmą głoszonymi przez niego hasłami i wyjdą przed szereg. Tak było z ks. Natankiem, ks. Międlarem czy ks. Woźnickim. Warto zauważyć, że wbrew temu, co twierdzi katolicka hierarchia, nie zostali oni potępieni za swój radykalizm. Ci księża zradykalizowali się już po tym, jak zostali wyklęci. Ksiądz Natanek został ukarany suspensą po swoim słynnym kazaniu o tym, że „jeśli u twojego syna na głowie jawi się żel, to wiedz, że coś się dzieje, że się Szatan nim interesuje”, ale nie głosił on wówczas nic, czego nie można by znaleźć w książkach sprzedawanych w diecezjalnych księgarniach i czego sam nie miałbym okazji wielokrotnie wysłuchiwać na wykładach w seminarium. Tak samo ks. Międlar nie był z początku ani trochę większym antysemitą czy nacjonalistą, niż jest nim przeciętny ksiądz katolicki, a na pewno nie dorastał w tym do pięt pewnemu nieżyjącemu już, bardzo nobliwemu i szanowanemu prałatowi z Legnicy. Prałat ten opowiedział kiedyś nam, klerykom, jak to najłatwiej można nauczyć się odmian łacińskich zaimków przy pomocy wierszyków o Żydach. Niektóre z nich pamiętam, ale ich nie przytoczę, bo są zbyt obrzydliwe. Słynny ks. Woźnicki, salezjanin z Poznania, nie był z początku ani trochę bardziej radykalny w kwestii przywrócenia przedsoborowej liturgii i teologii niż mój kolega z roku, ks. Mateusz K., który pełnił w ostatnich latach funkcję prefekta, a więc wychowawcy w seminarium duchownym, a dziś osiadł na bardzo intratnej parafii jako proboszcz. Wszyscy trzej wspomniani zaczęli się radykalizować dopiero wówczas, gdy Kościół katolicki zaczął ich temperować. Trudno byłoby, żeby się nie zbuntowali, gdy widzieli, że tuż

obok inny ksiądz głosi takie same lub wręcz radykalniejsze hasła i jest przez duchowną hierarchię głąskany. Mechanizm tego rozdwojenia jaźni w Kościele można by podsumować słowami jednego z ojców duchownych mojego seminarium, który powiedział:

– I Faustynka, i mateczka Kozłowska otrzymały od Pana Jezusa objawienie orędzia o miłosierdziu bożym. Dlaczego więc Faustynka została świętą, a mateczka Kozłowska nie została? Bo Faustynka pokorna była, a mateczka Kozłowska nie była!

To wszystko było już za mną. Doznałem wreszcie ulgi. Sam nie wiem, jak mogłem być na tyle wytrwałym idiotą, żeby już na samym początku nie rzucić tego wszystkiego, co się nazywa wiarą katolicką.

Jacek Kaczmarski tak zaczął swój wiersz pt. *Marcin Luter*:

W zamku Wartburg, na stromym urwisku,

(Te niemieckie przepaście i szczyty)

Wbrew mej woli, a gwoli ucisku,

Wyniesiony pod boskie błękity

Pismo święte z wszechwładnej łaciny

Na swój własny język przekładam:

Ożywają po wiekach dawne cuda i czyny,

Matką Ewa znów, ojcem znów Adam.

I dla mnie zaczął się teraz czas takiego zamku Wartburg, czas, kiedy mogłem wreszcie, pozostawiwszy za sobą tak wielki kawał swojego życia, odpowiedzieć sobie na wiele uciszanych dotychczas przez kakofonię rzeczywistości pytań.

W zamku Wartburg, na stromym urwisku

Gdyby Marcin Luter wiedział, co niektórzy Polacy wyprawiają z jednym z jego głównych postulatów *sola scriptura* (tylko pismo, to znaczy jedynym autorytetem wiary ma być Pismo Święte), złapałby się za głowę. W Kościele ewangelicko-augsburskim oczywiście bazuje się na tym postulacie, wiernych zachęca się do częstej i samodzielnej lektury Biblii. Ale ponad Biblią na pierwszym miejscu jest zdrowy rozsądek. Mam wrażenie, że niestety Kościół ewangelicki jest w tej sprawie bardzo osamotniony. Na bazie rozczarowania katolicyzmem pączkują w Polsce coraz to nowe zbory, zboraki, wspólnoty, Kościoły, niektóre liczące ledwie garstkę członków i sympatyków. Wspólnym mianownikiem tych wszystkich bardziej lub mniej powołujących się na tradycję reformacji mikrowyznań jest wojownicze, literalne i bezkompromisowe trzymanie się Biblii. Regularnie dostaję od takich ludzi sporo maili, listów i wiadomości. Uprzejmych, mniej uprzejmych, a czasami zawierających pogroźki (choć w tym ostatnim palmę pierwszeństwa przyznałbym jednak katolikom). Wszystkie one sprowadzały się do oskarżenia, że „nigdy nie czytałem Biblii” i wezwań: „Przeczytaj Biblię, to od razu się nawrócisz”. Śmieszy mnie to, bo jeśli chodzi o Biblię, to wątpię, żeby którykolwiek z tych samozwańczych kaznodziei mógł w tej kwestii iść ze mną w zawody.

W swoim życiu przeczytałem całą Biblię sześć razy i to w różnych przekładach, w tym niekatolickich. Ewangelię Mateusza przestudiowałem w całości w oryginale po grecku, każde słowo osobno sobie tłumacząc i

rozważając, jaki byłby sens danego zdania w zależności od tego, które znaczenie danego słowa przyjmiemy. Duże fragmenty Starego Testamentu przeczytałem w oryginale hebrajskim, również traktując je jak wyżej. Na pewnym etapie potrafiłem recytować dowolny psalm z pamięci. Kto chciał, mógł w seminarium znaleźć na to mnóstwo czasu.

Jest takie powiedzenie wśród smakoszy, że ważne jest nie tylko to, co się je, ale gdzie się je. Sądzę, że z lekturą jakichkolwiek książek jest podobnie. Okoliczności zapoznawania się z jakimś tekstem mogą wydatnie wpłynąć na to, co w nim zauważymy, a co naszej uwadze ujdzie, czy nas znudzi, czy przeciwnie, będzie dla nas interesujący. Biblia nie jest pod tym względem wyjątkiem. Inaczej widziałem i rozumiałem ten tekst czytany pod przemożnym wpływem katolickiej tradycji i nauczania Kościoła. W seminarium dzień w dzień na wykładach, kazaniach, rozważaniach różańcowych, modlitwach przed monstrancją, ogłoszeniach przy obiedzie wdrukowywano nam i wbijano do głowy instrukcję, jak należy Biblię rozumieć, co z niej rozumieć, a czego nie, które jej fragmenty są arcyważne, a o których należy zapomnieć. Teraz jednak wróciłem do Biblii w zupełnie innych okolicznościach. Naprawdę zupełnie inaczej czyta się ją w Kościele ewangelickim niż w katolickim. I nie mówię tutaj o publicznym odczytywaniu tekstów Starego czy Nowego Testamentu. Mówię o czymś, co z zewnątrz może wyglądać identycznie: siadasz sobie w domowym zaciszu w fotelu i zaczynasz czytać. Odkryłem, że moje rozumienie Biblii zawsze było trochę luterzańskie, ale przez cały czas życia w Kościele katolickim coś mnie krępowało, nakładało klapki na oczy w jednych miejscach, a podświetlało inne. Teraz mogłem czytać bez tych wszystkich uprzedzeń i na temat tego, co czytam, stawiać sobie odważne pytania. Takie, których katolikowi zadawać nie wolno, bo jest nauczony, że same w sobie są bluźnierstwem i grzechem.

W Kościele katolickim również zachęca się do czytania Biblii, ba, cała formacja Ruchu Światło-Życie się na tym opiera. Uczestnicy oazy ślęczą nad Biblią niemal bez przerwy. Ale jest coś, co może zaobserwować każdy, wystarczy, że wybierze się do księgarni. Weźmy do ręki katolicki przekład Biblii Tysiąclecia i używane w Kościele ewangelickim wydanie Biblii warszawskiej. Najpierw zwróćmy uwagę na czcionkę tekstu biblijnego. Zauważymy, że w Biblii Tysiąclecia jest ona nieco mniejsza od tej, którą stosuje się w wydaniach Biblii warszawskiej. A teraz porównajmy objętość obu wydań. Ku naszemu zdziwieniu okaże się, że Biblia Tysiąclecia jest grubsza i ma większy format. Skąd ta różnica? Biblia warszawska zawiera tylko tekst biblijny w języku polskim. Natomiast połowa Biblii Tysiąclecia to sążniste przypisy, które dosadnie tłumaczą katolikom, jak mają rozumieć dany tekst i do czego go odnosić, a do czego nie. Każda z ksiąg biblijnych zawiera rozległe przedmowy ostrzegające wiernego, jak ma się do tekstu danej księgi nastawić, nim ośmieli się ją czytać.

Nie oznacza to, że całe moje wcześniejsze studiowanie Biblii w seminarium było bezużyteczne. Tekst grecki pozostaje taki sam, wachlarz znaczeń danych słów także, a różnica jest tylko w tym, że Kościół katolicki czasami bardzo tendencyjnie dobiera tłumaczenia. Dopiero teraz jednak miałem odwagę bezczelnie o niektóre szczegóły zapytać. Weźmy na przykład sam początek ewangelii Mateusza. W Biblii katolickiej, Biblii Tysiąclecia, czytamy: „Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem wprawdzie nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego”. Natomiast Biblia warszawska mówi: „Gdy matka jego, Maria, została poślubiona Józefowi, okazało się, że, zanim się zeszli, była brzemienna z Ducha Świętego”. Biblia warszawska jest tu bliższa oryginałowi, bo tłumaczony jako „zeszli się” czasownik *synelthein* oznacza „iść razem”. Natomiast tam, gdzie mowa o „zaślubinach” czy „poślubieniu”

w oryginale greckim mamy bardzo wieloznaczne słowo *mnesteutheises*, które może równie dobrze oznaczać narzeczeństwo albo nawet sam tylko zamiar związania się z kimś. Najlepiej oddaje go polskie sformułowanie, że chłopak i dziewczyna „mają się ku sobie”. Całość można by więc tłumaczyć, że według ewangelii Józef i Maria byli co najwyżej zaręczeni albo że myśleli o byciu ze sobą, ale jeszcze nie podjęli w tej sprawie żadnych kroków. Jak na dłoni widać, że katolickie tłumaczenie jest tendencyjne, ułożone pod kątem typowej dla księży obsesji na temat seksu. Mówienie o „zaślubinach” i o „mieszkaniu razem” służy wyłącznie podpieraniu katolickiej tezy o tym, że straszliwym grzechem jest mieszkanie razem dwojga ludzi, którzy nie mają ślubu kościelnego. Nic nie pomoże tutaj jęczenie o „kontekście kulturowym”, bo nikt z teologów katolickich w tamtych czasach w Palestynie nie żył i nie ma prawa z całą pewnością wyrokować, jak dokładnie wyglądały wtedy zwyczaje dotyczące narzeczeństwa i małżeństwa.

Nawiasem mówiąc, jest też takie ulubione, magiczne zaklęcie biblistów katolickich, którego używają, żeby oszołomić przeciwnika rzekomym profesjonalizmem. Zaklęcie to brzmi „hermeneutyka”. Skrzeczą więc, usłyszawszy wywód w rodzaju tego, który zaprezentowałem, że „nie uwzględniłem hermeneutyki”. Może na kimś niewtajemniczonym robi to wrażenie, ale nie na mnie. Wiem bowiem, że słowo to nie oznacza zupełnie nic. Hermeneutyka katolicka to kolejny zestaw narzędzi do naciągania lub wręcz fałszowania tekstu biblijnego, żeby pasował do z góry założonej tezy. Tym samym jest ona tak naprawdę synonimem sofistyki. W Kościele ewangelickim wolno o wątpliwościach na temat tekstu biblijnego nie tylko myśleć, wolno o nich dyskutować i się dyskutuje. Na kanwie takich właśnie dyskusji któryś ze współwyznawców z nowego Kościoła zasugerował mi, że powinienem swoją wiedzę biblijną jakoś wykorzystać. Czy nie dałoby

się, zapytał, dokonać konwersji mojego tytułu magistra katolickiej teologii na tytuł magistra Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, w której studiują teolodzy ewangeliccy? Pomyślałem: czemu nie, co mi szkodzi? Jeśli dałoby się to zrobić w jakiś nieprzysparzający problemów sposób, taki dyplom mógłby mi się do czegoś przydać. Zapytałem więc kiedyś o to ks. Sebastiana, ale on nie wiedział, czy taka konwersja jest możliwa. Przypuszczał, że nie będzie z tym problemu, ale trzeba by się dokładnie w tej sprawie wywiedzieć. Zaofiarował się, że podpyta tu i ówdzie.

Muszę w tym momencie na chwilę przerwać swoje opowiadanie, gdyż to, co się potem wydarzyło, było zupełnie inne od tego, co opowiadałem dotychczas. Do tego momentu mogłem tłumaczyć motywy swojego postępowania i przedstawić w miarę logiczny ciąg wydarzeń. Lecz odtąd wszystko uległo nagłej zmianie. Choć pamiętam wszystko dokładnie, dokładniej niż cokolwiek innego w moim życiu, to nie jestem w stanie wytłumaczyć, dlaczego coś zrobiłem, a czego innego nie. Nie wiem, co mną kierowało, ani nie umiem wytłumaczyć stanu, w jakim się znalazłem. Spoglądając na ten – uważam – przełomowy i najważniejszy czas w moim życiu, staję przed podobnym problemem, przed jakim stanęli twórcy interpretacji kopenhaskiej. Wybitni naukowcy z Nielsem Bohrem na czele stwierdzili, że nie są w stanie wytłumaczyć rzeczywistości, jaka panuje w świecie mechaniki kwantowej. Stwierdzili, że mogą ją tylko opisać. Tak i ja nie jestem w stanie zrobić nic więcej niż opisać to, co się działo i co robiłem. Stan psychiczny, w jakim się znalazłem, spadł na mnie nagle, niespodziewanie i był tak przemożną, potężną siłą, że w moich działaniach nie było żadnej logiki. To się po prostu stało. Dziś wiem: NA SZCZĘŚCIE się stało.

Być może doświadczyłem tego, o czym pisał wybitny, choć niestety zapomniany psycholog polski Kazimierz Dąbrowski. Uważał, że rozwój

psychiczny człowieka nie przebiega i nie może przebiegać gładko. Zdarzają się momenty przestojów, poprzedzielane czasem wstrząsów. Wskazał na istnienie zjawiska, które nazwał „dezintegracją pozytywną”. Jest to wyjątkowo trudne i bardzo niebezpieczne do przejścia doświadczenie, gdy z jakichś powodów cała psychika człowieka ulega gwałtownej przebudowie. Ludzie wykazują w tym stanie wszelkie znamiona różnych chorób psychicznych. Nie każdy to przetrwa, bo dezintegracja może się skończyć udaną próbą samobójczą lub permanentnym obłędem. Ale ten, komu się przetrwać uda, wyjdzie z tego doświadczenia kompletnie odmieniony. Nie wiem, czy w moim wypadku doszło do dezintegracji pozytywnej. Możliwe. Równie dobrym jednak wytłumaczeniem tego, co się stało – i fanatycznym katolikom takie wytłumaczenie z pewnością bardzo się spodoba – jest to, że sam Szatan nawiedził moją duszę i przejął ją w wieczyste posiadanie.

Stało się to pod koniec kwietnia 2014 roku. Ks. Sebastian powiedział mi, że podpytał się tu i ówdzie o konwersję magisterki. Powiedział, że zasadniczo jest ona niemożliwa, a jeślibym chciał mieć ChAT-owski tytuł magistra, musiałbym zwyczajnie od początku pójść tam na studia i odbyć je od A do Z, z tą tylko niewielką różnicą, że być może niektórzy wykładowcy zgodziliby się przepisać mi ocenę ze starego indeksu i zwolnić ze swoich zajęć. Nie wiem, dlaczego stanęła mi przed oczami nieracjonalna wizja, jakobym już teraz z pewnością musiał się pakować, jechać do Warszawy i znów jeszcze raz słuchać na wykładach tego wszystkiego, co się nazywa teologią. Musiał to być dla mnie z jakiegoś powodu ogromny wstrząs, bo choć na zewnątrz zachowywałem się z pozoru normalnie, to wewnątrz wszystko we mnie wrzeszczało z potwornego i niepoahamowanego przerażenia i obrzydzenia. Ta zupełnie nieracjonalna fala emocji i myśli nie ustąpiła, to nie było jakieś chwilowe poruszenie, ale fala powodziowa, która

nagle podnosi nurt rzeki, rwie brzegi, przerywa wały, zalewa okoliczne tereny, a potem zostaje na podniesionym poziomie na długie dni i tygodnie. Ludzie postronni nie widzieli, co się ze mną dzieje, bo na zewnątrz zdawałem się funkcjonować normalnie, ale ta fala zajęła cały margines mojej wewnętrznej wytrzymałości. Uporczywe, niedające się zdefiniować, irracjonalne myśli i odczucia opanowały całe moje wnętrze i tylko wielki wysiłek sprawiał, że zachowywałem się z grubsza jak dotąd. Wciąż utrzymywałem kontakty i przyjaźnie z czasów diakonatu na przetrzymaniu. Z jakiegoś jednak znów kompletnie nieracjonalnego i niezrozumiałego powodu zacząłem się czuć wśród swoich przyjaciół niesamowicie źle, jak intruz, choć nie miałem do tego żadnych podstaw. Nagle i w zupełnie niewytłumaczalny, przeciwny rzeczywistości sposób poczułem, że nic mnie z tymi ludźmi nie łączy, wręcz przeciwnie, czułem się jak dzikie zwierzę wyrwane z naturalnego środowiska i wrzucone na ryczącą, zakorkowaną ulicę w wielkim mieście. To był stan permanentnej paniki. Z najwyższym wysiłkiem, używając za każdym razem całych pokładów woli, mogłem nie wykazywać żadnych oznak takiego stanu, zwyczajnie rozmawiać, śmiać się i pracować. Ale z każdego spotkania z ludźmi wracałem jak z wielogodzinnego przerzucania wagonów węgla.

Oczywiście można by skonstruować hipotezę tłumaczącą ten stan. Być może był to skutek kumulacji w krótkim czasie, na przestrzeni ledwie kilku miesięcy, zmian podłoża całego życia duchowego, w tym czasie też musiałem się przeprowadzić, a ponadto praca, którą wykonywałem, stała się nieopłacalna. Zakład stolarski, w którym pracowałem, zatrudniał pracowników bez żadnej umowy, a szef wykręcał się od płacenia jakichkolwiek podatków. Do pewnego momentu nie była to jednak zła praca. Dostawałem do zrobienia mebel, od jego stanu i moich umiejętności zależało, jak szybko udawało mi się przeprowadzić jego renowację. Szef

dokonywał odbioru gotowego mebla i notował, kto jaki mebel zrobił i ile za niego zapłaci. Gdy odwiózł do Niemiec jakąś partię mebli i wrócił z pieniędzmi, otwierał notatnik i rozliczał się z pracownikami według tego, co tam zapisał.

Jednak od początku 2014 sytuacja znacznie się pogorszyła. Niemieccy klienci przysyłali meble coraz bardziej zniszczone i coraz wyższe mieli wymagania, a płacili mniej. Szef, który miał leasing na ciężarówkę, a do tego remontował dom, rekompensował sobie te wydatki, zmniejszając pracownikom wycenę wykonanych renowacji. Wyjeżdżał z jednym, drugim, trzecim transportem mebli, a po powrocie oznajmiał, że dostał za mało pieniędzy, że to nasza wina, bo za wolno pracujemy i w związku z tym nic nam nie zapłaci. Doszło do tego, że przez cały czerwiec dostałem jedynie 200 złotych wypłaty.

Oczywiście każdy racjonalnie myślący człowiek już dawno by coś z tym zrobił, ale ja nie byłem w stanie. Przychodziłem do pracy jak robot, bezmyślnie siedziałem przy meblach nieraz od rana do zmroku i musiałem wiele wysiłku włożyć w to, żeby się skupić na pracy. A pracodawcy było to bardzo na rękę, że stolarz przychodzi, pracuje i od miesięcy nie pyta o zapłatę. Finansowo ratowało mnie właśnie to, że siedząc całymi dniami przy meblach, wydawałem jeszcze mniej pieniędzy, niż gdy byłem w seminarium.

Czy jednak można tym wszystkim wytłumaczyć mój stan psychiczny? Uważam, że nie. To, co się ze mną działo, było niewspółmierne do zewnętrznie przeżywanych trudności, a nawet ich czasowa korelacja jest tylko pozorna. Charakter tego, co się ze mną działo, jest dla mnie do dziś nierozwiązaną zagadką. Miałem myśli, na których wyrażenie nie ma słów w ludzkim języku. Czuję się, jakby jakaś wszechpotężna istota znalazła kanał do mojego umysłu i dokonała w nim spustoszenia, wywracając cały

zastany porządek do góry nogami i podbijając kolejne obszary mojej duszy, jakby przejęła mnie w posiadanie tylko po to, żeby mnie dręczyć. Ale było to tylko wrażenie, bo dobrze wiem, że to coś nie było różne ode mnie samego. To była wewnętrzna rebelia mojego własnego umysłu.

Kiedy słyszałem niekończące się dyskusje przyjaciół o samochodach, dostawałem wewnętrznie przeżywanego szału. Nienawidziłem ich za to uwielbienie dla motoryzacji. Gotów byłbym ich zabijać, gdybym dostał do ręki karabin. Praca napawała mnie obrzydzeniem, ale nie ze względu na problemy z wynagrodzeniem, ale na konieczność widzenia się, rozmawiania i współpracowania z ludźmi.

Czy zdawałem sobie sprawę z tego, że coś jest nie tak, czy próbowałem jakoś temu zaradzić? Owszem. Sposób, jakiego się chwyciłem, był oczywiście również mało racjonalny, ale dziś wiem, że zrobiłem przez przypadek coś najlepszego, co mogłem wtedy zrobić. Sądzę tak jednak z perspektywy czasu, bo podówczas moje działanie tylko pogorszyło mój stan. Postanowiłem mianowicie, że co tydzień, w jedyny wolny dzień, czyli w niedzielę, będę szedł w góry i do lasu. I tak robiłem, przynajmniej jeśli ta niedziela rzeczywiście była wolna. Często się bowiem zdarzało, że rano dzwonił do mnie szef, błagając, żebym i dzisiaj przyszedł do pracy, bo jakiś mebel trzeba szybko wywieźć do Niemiec, ale gdy tylko udało mi się wyrwać i znaleźć w górach, w lesie, cały ten niewytłumaczalny, chorobliwy stan natychmiast przemijał. Mogłem normalnie myśleć, a wszelkie emocje odchodziły. Było jednak jedno „ale”. Wewnętrzna panika, przerażenie i inne niedające się nazwać uczucia wracały, jeśli tylko, choćby z daleka, usłyszałem głosy ludzi bądź zobaczyłem nadchodzących turystów. Doszło do tego, że słuch wyostrzył mi się jak dzikiemu zwierzęciu. Z daleka słyszałem najmniejszy nawet szmer ludzkiej mowy i natychmiast ulegałem nieopanowanej chęci ucieczki. Kryłem się w krzakach, biegłem w panice

jak najdalej od szlaku, w największą gęstwinę. Tylko leżąc na ziemi, wdychając jej woń, czując chodzące po mnie mrówki, pająki i łaskoczące mnie w twarz rośliny, odczuwałem ulgę. Czułem się w tych krótkich chwilach tak dobrze, tak bezpiecznie, że wszystko bym wtedy oddał, żeby trwały one wiecznie.

Z tęsknoty za takimi chwilami wybuchałem niekontrolowanym płaczem, drżały mi ręce i robiłem wszystko, żeby do lasu powracać. Góry, ziemia, najdziksze miejsca, gdzie ludzie nie zagładają, były dla mnie tym, czym wódka dla alkoholika. Dostawałem wszystkich objawów odstawienia używki przez uzależnionego, gdy nie mogłem być sam, z dala od ludzi, jak najgłębiej w najdzikszych miejscach gór. Ten stan pogłębiał się z dnia na dzień. To, co było jakimś niewytłumaczalnym bolesnym dyskomfortem jeszcze w maju 2014 roku, przeobraziło się później w cierpienie, którego nie jestem w stanie opisać, ból nie do wytrzymania, kompletnie nieracjonalny, oderwany całkowicie od rzeczywistości i przemożny, nakazujący ucieczkę. Odzywał się we mnie jeden wielki wewnętrzny krzyk: Zostawcie mnie! Zniknijcie! Nienawidzę widoku człowieka, nienawidzę wszystkich waszych spraw, brzydzę się, ohydą mnie napawacie! Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Przed obliczem Diabła

Pod koniec maja powrócił do mnie pewien stary sen z dzieciństwa, który kiedyś był dla mnie bardzo ważny, ale później o nim zapomniałem, bo wiara katolicka zabroniła mi go mieć. Pojawił się gdzieś na początku lat 90., blisko Bożego Narodzenia. W telewizji coraz częściej emitowano będące wtedy nowością amerykańskie, tandetne filmy rodzinne o tematyce świątecznej. Nie pamiętam tytułu tego konkretnego filmu i nie udało mi się go później, po latach odszukać, ale od niego się wszystko zaczęło.

Opowiadał o rodzinie, która wyjechała do domku w górach na święta, ale miejscowość napadły wilki ze szczególnie krwiożerczym osobnikiem na czele. Film nie był animowany i wilki odgrywały w nim prawdopodobnie wytresowane psy. Jakkolwiek było, ważnym elementem był właśnie realizm tego, co widziałem na ekranie przy całej nierealności fabuły. Pamiętam tylko, że przywódca wilków został ukazany jako ludojad, demoniczne ucieleśnienie wszelkiego zła, Szatan, pan piekła, a naprzeciwko niego stała bezbronna, świątobliwa, cukierkowo się kochająca, amerykańska rodzinna. Oczywiście film skończył się tak słodko, jak to tylko w tego typu filmach bywa. Rodzinka ocalała, bardzo się kochała i żyła długo i szczęśliwie. Natomiast złego wilka spotkała potworna i okrutna śmierć.

Jeszcze nie nadeszły napisy końcowe, kiedy uciekłem do swojego pokoju, wtuliłem twarz w poduszkę i długo płakałem, bo żal mi było tego wilka. Zmęczony tym płaczem zasnąłem i wtedy przyśnił mi się sen inny

niż wszystkie, niebędący rozmytym wrażeniem wizualnym, ale szczegółowy, taki, po którym się pamięta, co jakie było w dotyku i jak pachniało. To był ciągnący się w nieskończoność, górski las, cały zasypany śniegiem. Nade mną było ołowiane, zachmurzone niebo, takie, jakie potrafi być tylko w górach, gdy zapada szybki zimowy zmierzch i zanosi się na zamieć. Stałem po pas w śniegu sam, na totalnym pustkowiu, wśród świerków wysokich jak wieże gotyckich katedr. A wyżej, na górskim zboczu stał on. Wilk z filmu, ucieleśnienie wszelkiego zła, sam Szatan, wróg Jezusa Chrystusa, nieprzyjaciel wszelkiej miłości i moralności. A ja, zapadając się w śnieg, przewracając się i wstając na nowo, podbiegałem do niego. Chwytałem go, wtulałem się w to cudowne futro i płacząc, wołałem:

– Czemu oni ci to robią?! Przecież jesteś taki piękny! Nienawidzę ich wszystkich!

A Wilk zawsze nachylał nade mną pysk i mówił:

– Należysz do mnie. Wrócę po ciebie, gdy nadejdzie czas.

Sen ten powracał, a ja całym sercem kochałem Wilka i całym sercem nienawidziłem Jezusa Chrystusa, tego okrutnego tyrana, który tylko stoi i wściekle czeka, żeby dopatrzeć się jakiegoś błędu, a potem publicznie upokorzyć, zniszczyć i na wieki wrzucić do piekła.

Wychowywałem się w domu i środowisku, gdzie chrześcijaństwa i jego wartości nikt nie podważał, a o ateistach czy gejach opowiadało się jak o krasnoludkach żyjących daleko za górami, za lasami. Jezus był dla dorosłych podstawowym środkiem wychowawczym. Mówili ciągle: Jezus widzi, Jezus patrzy, Jezusowi to a tamto się nie podoba, masz się zachowywać, myśleć, mówić, jak Jezus kazał. Miłość była największym, najbardziej obrzydliwym i opresyjnym batem tego tyrana. Mówili dorośli: nie masz wyboru, nie wolno ci kogokolwiek nie lubić, za to się idzie do piekła, na wieki i na wieki, na wieki i na wieki, nieskończone cierpienia, podczas których

wszyscy święci w niebie będą stać nad tobą i zanosić się śmiechem, widząc, jak cierpisz. Będą się śmiać i wrzeszczeć: „Dobrze ci tak! Zasłużyłeś na to!”. Masz kochać wszystkich, wszystkim nadstawiać drugi policzek, wszystkich się słuchać, wszystkim się ładnie kłaniać, bo Jezus tak każe.

Wilki i w ogóle drapieżniki były traktowane przez moje środowisko rodzinne jako oczywiste zło, które należy zabijać, wytępić, zniszczyć. Dlaczego? Znow: bo Jezus tak kazał, bo Jezus mówił o wilkach przebranych za owce, o wilku, którym jest Diabeł, kusiciel, podstępny wróg bożej owczarni, a tym samym wszystkich grzecznych, ładnie uśmiechniętych i kłaniających się dzieci.

I choć moi rodzice byli niedzielnymi katolikami i nie odczuwali żadnej potrzeby, żeby swoją wiarę poddać jakiegokolwiek refleksji, to Jezus był dla nich wygodnym wyręczeniem w ich obowiązkach, na których spełnianie nie mieli ochoty. Dzieckiem, które się boi wiecznie krytycznego i karzącego wzroku Boga, nie trzeba się zajmować, bo niewidzialny preceptor z nieba, wszczepiony temu dziecku w umysł, już dobrze przypilnuje, żeby się ładnie zachowywało i nie sprawiało problemów.

Dziś wiem, że to cud, że w ogóle przeżyłem dzieciństwo. Moi rodzice byli tak zacofani, że wierzyli w cudowną moc stawiania baniek, homeopatii i obwieszania dziecka medalikami z Matką Boską. Byli ze mnie wiecznie niezadowoleni, bo ośmielałem się być chorowity, bo nie byłem gruby jak inne „porządne” dzieci. I choć sami nie chodzili do spowiedzi i nie mieli czasu na modlitwę, to karmili mnie pogroźkami o piekle i gniewie bożym, bajkami o złym wilku i dobrych świnkach.

Jedyną moją nadzieją wobec tej rzeczywistości, nadzieją, której się uczepiłem z całą desperacją, na jaką stać dziecko, był Wilk, Szatan, ten, którego ci wszyscy wstrętli, modlący się i każący wszystkim kochać ludzie panicznie się bali, drżeli przed nim i go nienawidzili. A czemu się go tak

bali? Przecież twierdzili, że Jezus jest wszechmogący, że nikt nie może się z tym okropnym supermanem równać. Moja dziecięca, nieskażona logika odpowiadała mi, że zapewne kłamią i dlatego się boją Diabła, bo wiedzą, kto jest potężniejszy.

Oczywiście bardzo szybko moje dziecięce przeświadczenie zostało przeformowane przez lekcje religii w szkole. Najpierw wytłumaczono mi, że Jezus wcale nie stoi nad ludźmi, żeby złośliwie liczyć wszystkie ich grzechy, a przykazanie miłości nie oznacza, że nie wolno nam kogoś nie lubić, ale że będziemy umieli zdobyć się na czynienie dobra także tym, których nie lubimy. Nikt jednak nie kwestionował tego, co z rodzicielskiego wychowania wyniosłem: że dobre jest jasne, słoneczne i upalne lato, a zła jest wstrętne burza, śnieżycy i ciemność. Że są dobre, słodkie i śliczne sarenki, baranki i motylki, a złe są wilki, lisy, dziki i pająki.

Ale gdzieś w głębi duszy, zagrzebana głęboko w podświadomości, pozostała we mnie tęsknota za tym Wilkiem, za jego bezwstydną, wyuzdaną wolnością, za jego opalizującym spojrzeniem.

Minęło wiele lat, epizod z dzieciństwa odszedł w całkowite zapomnienie. Ale teraz, po latach, sen powrócił. Co gorsza, zaczął przenikać do rzeczywistości. Mógłbym przysiąc, że widziałem te wyniosłe świerki, ten zaśnieżony las między meblami w warsztacie, że widziałem tego Wilka w czasie posiadówki z kolegami, jak skrada się między stolikami, patrzy mi oczy. W głowie brzmiało mi wtedy: Wróciłem. Wróciłem. Wróciłem...

Oczywiście można mi zadać pytanie, dlaczego w tym stanie nie poszukałem u kogoś pomocy. Odpowiedź jest prosta: bo jej nie chciałem. Wolałbym śmierć niż przyjąć pomocną dłoń człowieka, gdyż pomoc od ludzi – tak to właśnie czułem! – zawsze jest upokarzająca, zawsze taki ktoś do końca życia będzie się uważał za mojego pana i boga, bo przecież mi

pomógł. Musiałbym do końca swoich dni korzyć się przed nim, w przeciwnym razie zostanę nazwany wstrętnym niewdzięcznikiem. Na widok Wilka z moich szaleńczych snów odczuwałem niepoohamowaną miłość, tęsknotę i uwielbienie. Za nic nie chciałbym wtedy porzucić tych wizji. Były dla mnie zbyt cenne, zbyt ukochane. To, co zostało mi brutalnie odebrane, za czym tęskniłem tyle lat, teraz wreszcie powróciło.

Można by w takim razie zapytać: czy inni ludzie nie widzieli, że coś ze mną nie tak? Zapewne widzieli, ale na pewno nie domyślali się rozmiarów tego, co się we mnie działo. Ukrywałem to tak skutecznie, że nawet alkohol nie byłby w stanie wydobyć ze mnie prawdy. Kosztowało mnie to wiele wysiłku i w końcu poczułem, że siły zaczynają mnie opuszczać. Że w każdej chwili mogę stracić nad tym kontrolę i zrobić coś nieprzewidywanego. Mój stan pogarszał się z dnia na dzień. Prowadziłem podwójne życie: na zewnątrz robiłem wszystko jak dawniej: tydzień w pracy, niedziela rano nabożeństwo, czasem spotkanie z przyjaciółmi. Wszystko niby normalnie. Ale moje wnętrze pełne było nieskończonego cierpienia, na które nie było żadnego racjonalnego wytłumaczenia w świecie zewnętrznym, a wszelkie jego znamiona – sny o Wilku, wstręt do ludzi – były jedną wielką męką szaleńca.

Zdarzało się, że ktoś miał pewien niewielki wgląd w to, co przeżywam. Na przykład znajomy nauczyciel matematyki, Zbyszek J., człowiek, który niejedno widział w życiu i niejedno przeżył, a góry i Przyrodę kochał całym sercem i poświęcał im cały swój wolny czas. Kiedyś usiedliśmy na wałach przeciwpowodziowych pod miastem. Przed nami były już tylko zabagnione łąki i łęgowe zarośla, a ponad nimi – góry. I przez kilka godzin rozmawialiśmy o wilkach, które stały się moją obsesją. Śnił mi się Wilk i ja sam czułem się jak wilk – tak bardzo nie pasowałem do ludzkiego świata. I choć wszystko, co wtedy mówiłem, każdemu normalnemu człowiekowi

musiało się wydawać dziwactwem, Zbyszek mnie nie oceniał. Przeciwnie, popierał moje zakochanie w Przyrodzie, w Wilkach. Jeżeli jeszcze miałem ochotę widzieć się z jakimikolwiek ludźmi, to z takimi.

W piątek, 6 czerwca 2014 roku w Górzyńcu, małej miejscowości położonej w Górach Izerskich, miała się odbyć impreza urodzinowa, w której uczestniczyć miała cała nasza paczka. Dotarłem na nią spóźniony, dopiero po zmroku. Nie byłem jednak w stanie wytrzymać z ludźmi i po niedługim czasie opuściłem ją, niezauważony przez nikogo. Do szalu doprowadzały mnie niekończące się rozmowy o samochodach i piłce nożnej, których to pasji nigdy nie rozumiałem. Starłem się o to kiedyś, jeszcze gdy miałem na oku wyższy cel: ewangelizację. Aby być bliżej ludzi, do których szedłem, zmuszałem się, żeby polubić to, co i oni lubili. Teraz jednak nie tylko już nie miałem tej motywacji, lecz uznawałem bycie z innymi ludźmi za wymagające zbyt wielkich wyrzeczeń. Nie mogłem już znieść udawania, że kocham, lubię i szanuję coś, co napawa mnie obrzydzeniem albo w najlepszym wypadku jest mi totalnie obojętne. Po prostu wstałem i przeszedłem jedenaście kilometrów pieszo w nocy, żeby wrócić do domu. Był to ostatni raz, kiedy się z nimi widziałem.

Następnego dnia zbudził mnie telefon od przyjaciela, Michała M., który miał tego dnia czas i ochotę na wspólną górską wycieczkę. Zaproponowałem mu trasę na Wysoki Kamień, a stamtąd – na Izerskie Bagno, na którym rzekomo widywano wilki. Widok z Wysokiego Kamienia bardzo się Michałowi spodobał – nigdy wcześniej tam nie był – ale mnie ciągnęło dalej, na Izerskie Bagno. Kiedy uszliśmy ledwie jedną trzecią drogi, Michał zaczął nalegać na powrót. A staliśmy właśnie na szczycie Zielonej Kopy i w oddali widziałem Izerską Halę i Izerskie Bagno, od których dzieliło nas jeszcze wiele kilometrów. Z ciężkim sercem zgodziłem się na powrót do domu, przysięgając sobie, że tu wrócę.

Gdy schodziliśmy, Michał zwrócił uwagę na wysokie drzewo, stary buk, który rósł przy drodze, i powiedział:

– Zajebiste drzewo, byłyby z niego superproste deski.

Wybuchnąłem. Powiedziałem mu, co myślę o całym poukładanym świecie ludzi, którzy wszystko taksują pod kątem zysku, co myślę o pracy w stolarstwie i że cała ta sztuka jest kompletnie bezsensowna. Pamiętam, jak kilka dni wcześniej rzeźbiłem w dębowym drewnie brakujący element zdobniczy pewnej szafy. Jak na ironię, płaskorzeźba przedstawiała liście dębu. Pomyślałem wtedy – a teraz to powiedziałem – jak bardzo nienawidzę całego świata ludzi, w którym zabija się żyjące, zielone, pulsujące sokami drzewo tylko po to, żeby potem dłubać w nim ozdóbki będące żalosnym naśladownictwem kształtu liści tego drzewa. Michał należy do tych rzadkich osób, których nie da się obrazić, więc po prostu wysłuchał mojej pełnej wzburzenia tyrady, będącej jedną wielką symfonią nienawiści do wszystkiego, co z ludźmi związane. Nie komentował tego, nie reagował. I jestem mu za to bezgranicznie wdzięczny. Ludzie uprawiają kult współczucia, nie widząc, że współczucie jest po pierwsze bezużyteczne, bo nie daje żadnej realnej pomocy, a po drugie jest poniżające dla tego, komu jest okazywane. Michał nie mógł mi pomóc, bo niby jak? Wszedłby do mojej głowy i poprzestawiał mi neurony, żeby moje myśli zaczęły biec inaczej? Natomiast sam fakt, że wysłuchał mnie i nie potraktował źle za to, co usłyszał, przynajmniej na chwilę obniżył temperaturę tego, co przeżywałem. Tak minął weekend, poniedziałek i piątek, tydzień pierwszy.

W następną niedzielę pojechałem do ogrodu zoologicznego. Kupiłem bilet, minąłem obojętnie wszystkie klatki i wybiegi i usiadłem przy tym dla wilków. Na kawałku ziemi niewiele większym od mojego mieszkania, za to zabezpieczonym pancernymi szybami i stalową siatką na górze, słociono

sześć wychudzonych wilczyc, co było dla mnie tym bardziej niezrozumiałe, że tuż obok, bez tak drastycznych zabezpieczeń spacerował sobie niedźwiedź.

Siedziałem tak kilka godzin, wpatrując się w wilczyce, nie spuszczać z nich wzroku ani na chwilę. Wybieg mijało mnóstwo ludzi. Słyszałem ich rozmowy, potwornie głupie rozmowy kretynów, dla których wilk jest czymś w rodzaju niebezpiecznego, bo zbyt dużego szkodnika. Słyszałem poważnego, wysportowanego faceta, który opowiadał koledze, że jadąc na rowerze przez las, zobaczył wilki i narobił w gacie ze strachu. I dodał:

– Ktoś powinien z tym coś zrobić. Wystrzelać albo co.

Pomyślałem, że gdybym miał wybierać, czego mam się bardziej bać, co uważać za większe zagrożenie: takiego przygłupa czy wilki, na pewno nie postawiłbym na wilki. A kiedy wspomniał o wystrzelaniu, to przysięgam, gdybym miał wtedy w rękę naładowaną broń, zapomniałbym o całym rozsądku i wpakował mu magazynek w tę jego rechoczącą, obrzydliwą mordę.

Żadna z wilczyc przez te kilka godzin, kiedy tam siedziałem, ani razu nie zwróciła uwagi na mijających wybieg ludzi. Ale jedna z nich w pewnym momencie położyła się naprzeciwko mnie i popatrzyła mi w oczy. Cały świat przestał dla mnie istnieć. Spojrzałem w te oczy przez moment i spuściłem wzrok, ponieważ czułem się jak przed majestatem królowej, przed istotą przewyższającą mnie o wiele bardziej, niż ludzie wierzą, że przewyższa ich Bóg. Każda sekunda sprawiała, że nienawidziłem ludzkiego świata coraz bardziej. Chciałbym jednak zaznaczyć, że nienawiść do ludzi, do społeczeństwa, do ludzkiego świata to ledwie niewielka część z tego, co przeżywałem. Mówię o niej tyle dlatego, że było to jedyne z moich odczuć, które umiem nazwać. Całej reszty nazwać nie potrafię, gdyż pozostałe

myśli i uczucia były nieprzetłumaczalne na ludzki język. I tak minął weekend, poniedziałek i piątek, tydzień drugi.

W sobotę wieczorem zadzwonił do mnie Łukasz, jeden z uczestników pierwszego zorganizowanego przeze mnie cztery lata temu w górach dnia skupienia. Chciał się spotkać, pogadać. Dlaczego mimo całej gotującej się wtedy we mnie nienawiści do ludzkiego świata nie kazałem mu iść do diabła? Bo mój stan ówczesny nie odebrał mi zdolności racjonalnego myślenia. Z moją racjonalnością było wtedy mniej więcej tak, jak z partią komunistyczną po przemianach ustrojowych: wcześniej była jedna jedyna i dyktowała warunki, teraz została zmuszona do negocjowania z przeciwnikami, ale wciąż potrafiła coś dla siebie wynegocjować. Mam nadzieję, że akurat w naszym kraju każdy rozumie, jak diametralna jest różnica między jedynowładztwem a niełatwym współdzieleniem władzy, kiedy trzeba się dogadywać. A co dopiero może się dziać, gdy ten ktoś, z kim musisz się dogadywać, jest brutalną, wrzącą i przerastającą cię siłą. I tak moja racjonalność musiała się dogadywać z mrokiem niepojętych zjawisk, których doświadczałem w sobie. Można powiedzieć, ciągnąc tę polityczną analogię, że obie strony miały pośrodku mnie coś w rodzaju małego okrągłego stołu, gdzie moja racjonalność próbowała dokonać niemożliwego i wypracować jakieś wspólne stanowisko z tą brutalną rebelią. To właśnie ten okrągły stolik przemawiał, gdy spotykałem się z ludźmi: bo normalna racjonalność została już wtedy pozbawiona nie tylko jedynowładztwa, ale nawet przywileju reprezentowania mnie na zewnątrz.

Opowiadałem więc koledze, jak zafascynowały mnie wilki i ciągnie mnie do tego, żeby spotkać je i obserwować w środowisku naturalnym. Brzmiało to, i tak to właśnie czułem, jak ugrzecznione, a kompletnie nieadekwatne do rzeczywistości oświadczenia rzeczników prasowych, jak

nic niemówiący bełkot typowy dla kompromisowych wypowiedzi uzgodnionych przez całkowicie przeciwne sobie siły.

Sporo wtedy z Łukaszem wypiliśmy i wypaliliśmy chyba po półtorej paczki papierosów na głowę. Następnego dnia wstałem rano i pojechałem do Górzyńca. Dwa tygodnie wcześniej, w czasie opisanych wyżej urodzin, zauważyłem bowiem, że jest to miejsce, gdzie można szybko przyjechać autobusem i ledwie po kilku krokach znaleźć się w lesie, bez potrzeby przedzierania się najpierw przez ludzki świat asfaltu, osiedli, samochodów. Dopiero w połowie drogi, gdy siedziałem samotnie na skałach ponad lasem, zorientowałem się, że coś jest nie tak. Czułem na języku jakiś obrzydliwy smak i nie mogłem skojarzyć, skąd się wziął. I nagle mnie olśniło, że zeszłego wieczoru wypaliłem mnóstwo papierosów i nie mam już przy sobie ani jednego. Przypomniało mi się, jak przeczytałem niedawno, że wilki nie znoszą zapachu tytoniu, wyczuwają go z daleka i unikają jego źródła, bo kojarzy im się z ludzkimi myśliwymi, czyli ich największym wrogiem. Od tej chwili ani razu nie zapragnąłem wziąć papierosa do ust. Paliłem od ponad trzech lat, dużo i namiętnie, mało tego, z pewnością byłem już w jakimś stopniu uzależniony, gdyż próbowałem już, bezskutecznie, palenie rzucić lub chociaż ograniczyć. A teraz jakby po prostu ktoś pstryknął przełącznik i w jednej chwili przestałem tego chcieć. Myśl o tym, że nie kupiłem papierosów i że nie chce mi się szukać sklepu, była ostatnią moją myślą o paleniu w ogóle. Odtąd nawet o tym już nie pamiętałem.

Często później zdarzało mi się słyszeć okropnie głupie twierdzenie, że rzuciłem papierosy, bo niby mam silną wolę. Taki panuje dogmat wśród społeczeństwa, jeden z tych wielu idiotycznych dogmatów, w które nie wolno nie wierzyć. „Żeby rzucić nałóg, trzeba silnej woli”; „Prawdziwy mężczyzna musi się interesować piłką nożną”; „Prawdziwy mężczyzna

musi się interesować samochodami”; „Człowiek ma rozum, a zwierzę ma instynkt”; „Człowiek umiera, a pies zdycha”; i tak dalej. Przestałem palić nie dlatego, jakobym miał silną wolę, ale dlatego, że wszelką własną wolę utraciłem. To nie był akt woli, ale wypełnienie rozkazu. Tego dnia tam, w lesie moja racjonalność po raz ostatni usiadła do rozmów z mroczną rebelią Ciemności we mnie – i przegrała. A palenie właśnie okazało się ostatnim punktem tych negocjacji, ostatnim argumentem mojej zwałanej z tronu władzy umysłowej.

Ciemność straciła cierpliwość i dokonała krwawej, bezwzględnej rewolucji. I wśród ogni palonego starego porządku, wśród gilotyn, na których ścinała po kolei wszelkie moje zdolności społeczne, podyktowała mi nową konstytucję, nowe zasady, nowe życie: Odtąd z nikim się nie spotkasz, do nikogo nie zadzwonisz, nie podtrzymasz żadnego kontaktu z ludźmi, a jeśliby ktoś próbował się odezwać do ciebie – zignorujesz. Rzucisz pracę, której nienawidzisz, i udasz się do lasu, sam, bez niczego, bez broni, bez żadnej o lesie wiedzy, po prostu pójdiesz, byle dalej od ludzi, a co potem, nie twoja sprawa. Może zdechniesz gdzieś, może przeżyjesz i wrócisz – to już nie od ciebie zależy, ale ode mnie. Od Wilka z Piekieł, Pana Ciemności i chaosu, tego, który się skrada w ciemnościach śmierci. Nie będziesz palił, nie będziesz chodził na zabawy, imprezy, nie będziesz mieć przyjaciół wśród ludzi. Zapomnisz o ludzkim Bogu, Jezusie Chrystusie, i nigdy więcej nie wezwiesz tego plugawego imienia. Masz prawo się modlić, ale tylko do Ciemności Lasu. I będziesz jej posłuszny, głowę przed Nią skłonisz w najwyższej pokorze, bo jesteś człowiekiem – najobrzydliwszą istotą świata, najbardziej niegodną i wstrętną, i pokutować będziesz przed obliczem Diabła, przed obliczem Przyrody i Lasu za to, że nim jesteś. Takie jest nowe Prawo, taka jest jego ustawa i nie waż się na

bunt przeciw niemu, bo jest ono władne cię złamać, jeśli choćby pomyślisz o sprzeciwie.

Las mnie wzywał przed oblicze Wilka, a to wezwanie było silniejsze niż jakiegokolwiek emocje, pragnienia, jakie kiedykolwiek w życiu poczułem, silniejsze niż popęd seksualny, silniejsze niż instynkt przeżycia. Nie dało się już dłużej zwlekać.

I przystąpię do szatańskiego ołtarza

Szef patrzył na mnie, usiłując ukryć przerażenie. Nerwowo miał jakiś papier na biurku, to znów bawił się długopisem. A ja, choć zachowywałem się spokojnie i normalnie, to ten spokój był jak fuszerka budowlańca, który pochłapał coś tanią farbą i przykrył kiepskiej jakości szpachlą, co nie zmieniło faktu, że cała budowla grozi zawaleniem.

– Chcę urlopu. Tydzień, może dłużej. I przydałoby się, żebym wreszcie dostał jakieś pieniądze.

Szef spuścił wzrok.

– Nie, no chłopie, nie da się, no nie da się, może po transporcie...

– Od czasu, jak ostatni raz dostałem 200 złotych miesiąc temu, wywoziłeś trzy transporty... i?

Tym razem postawił na hardość i stanowczość.

– Nie ma mowy, wiesz przecież, jaka jest sytuacja. A zresztą to wasza wina, bo jak nie p...łą się po trzy, cztery tygodnie z jednym mebelkiem, to potem jeszcze wracają reklamacje!... Wy tu macie raj u mnie, k...wa, i coś mi się zdaje, że ten raj trzeba będzie skończyć!

Nie wiem, co było w moim wzroku, ale to coś kazało mu się powściągnąć.

– Wyskrobie ci jakieś sto złotych w przyszłym tygodniu – powiedział cicho.

Wstałem.

– Wyskrobać to się możesz sam. Rzucam tę robotę, znajdź sobie innego durnia.

Był tak zaskoczony i zdezorientowany, że nawet zapomniał się porządnie obrazić. A ja wstałem, wyszedłem i nie wróciłem.

Niech się dzieje twoja wola, Wilku. Już żadna przeszkoda nie stała odtąd między mną a Ciemnością. Ostatnie argumenty rozumu zmieniły się w żałosny, cichnący kwik, który niebawem całkowicie zamilkł. Las mnie wzywał i żądał przybycia, domagał się, teraz, natychmiast. Przed oblicze Wilka, przed oblicze Diabła, do stopni szatańskiego ołtarza.

Pojechałem w Bory Dolnośląskie, najbliższy rejon występowania wilków. Była połowa lipca, wieczór. Dotarłem autobusem tak daleko, jak się dało, a potem szedłem 20 kilometrów w upale, żeby tylko dostać się do serca leśnego kompleksu. Trafiłem w przypadkowe miejsce, pierwsze, które mi się nawinęło na mapie, bez żadnego planu, bez przygotowania i bez ani kropli wody. Wszedłem w ten Las tak głęboko, jak tylko potrafiłem. Nie było we mnie już ani śladu racjonalnego myślenia, było samo gołe szaleństwo, obłąd podobny do zakochania, bo tak samo niedopuszczający do głosu logiki, a jeśli już, to tylko w służbie osiągnięcia szalonego celu: uciec od ludzi. Uciec jak zwierzę, z obrzydzeniem, przerażeniem...

Stanąłem całkiem sam w środku boru składającego się jedynie z piachu i sosen. Woda? Była, w postaci cuchnących bagienek, pojawiających się od czasu do czasu, ale nie dało się tam przebywać, bo latały nad nimi ogromne roje prawdziwej królowej tej nocy, juszniczy deszczowej. *Haematopota pluvialis*. *Haima* – krew. *Poto* – napój. Pijąca krew. To ona była strażą przednią Wilka, surowym sędzią i nauczycielem, głosem Przyrody, który jako pierwszy do mnie przemówił. Owad ten przypomina wielką, wydłużoną muchę. Powiedzieć, że pije krew, to nic nie powiedzieć. Komary też piją krew, ale one delikatnie się wkłuwają i jeśli uda im się trafić na

słabo unerwioną część ciała, mogą się napić bez zwracania uwagi gospodarza. *Haematopota* nie bawi się w takie podchody. Rozszarpuje skórę w miejscu, do którego się dostanie, i chłepcze krew, a jej elastyczny, a przy tym wytrzymały pancerz sprawia, że bardzo trudno ją zabić. Jej cel to zadać jak największy ból, atakować możliwie całym rojem. Niech zaatakowane zwierzę oszaleje z bólu, niech to szaleństwo uczyni je całkowicie bezbronnym, niech strącając z siebie napastników, rozwiera swoje rany, niech zapach krwi unosi się daleko, intensywnie, niech zwołuje na ucztę...

Ani kropla deszczu nie spadła tej nocy w lesie, przeciwnie, burze przeszły gdzieś daleko, tylko potęgując zaduch, wzmagając pragnienie, zmieniając każdą sekundę w męczarnię. Potężnym, triumfalnym śmiechem wyszydziła mnie wtedy Przyroda. Z czym przychodzisz, nędzniku, przed oblicze Diabła? Jak śmiesz sądzić, że jesteś godzien tu być? Wyśmiała mnie nawet piaszczysta droga, na której było mnóstwo śladów zwierząt, które wspólnie wołały: nic o nas nie wiesz, nie jesteś nasz, nie znasz tego tajemnego pisma, nie jesteś godzien stanąć przed Wilkiem. Mogę zrobić z tobą, co zechcę; poczuj, jak cię tnie rój jusznic, poczuj we krwi spływającej ci po rękach i twarzy, że Przyroda nie musi, jak ludzki Bóg, bać się jakiejś tam „wolnej woli”. Może wymusić posłuszeństwo, może zdeptać wszelki sprzeciw i rozszarpać każdego, kogo zechce. Teraz jesteś mój. Należysz do mnie.

Ta noc w lesie była przesileniem mojego szaleństwa, ale bynajmniej nie jego końcem. Jak w alchemicznym atanorze substancja w ogniu miała zmieniać się w inną, tak stało się ze mną. Szaleństwo uległo przemianie, od formy klasycznego, emocjonalnego obłądzenia, braku kontroli nad samym sobą stało się szaleństwem cynicznym, wyrachowanym, bezwzględnie uporządkowanym, pozbawionym emocji, zimnym i całkowicie oddanym

rozkazom. Wróciłem z lasu upokorzony jego potęgą, wyśmiany jego tajemnicą, pokrwawiony od ukąszeń, nie mając w ustach ani kropli wody od półtorej doby. Las wezwał mnie do siebie po to, żeby mnie sprać po gębie, pokazać, gdzie moje miejsce, i zdeptać, a przez to otrzeźwić. Czułem się jak żołnierz, któremu sierżant spuścił potężne lanie, nawrzeszczał, a potem wydał rozkaz. Wróciła mi racjonalność, zdolność rozumowania, logicznego myślenia i planowania, ale jakieś inne, odmienione, bo w pełni podporządkowane już nie mnie, ale potędze Lasu. Ciemność nie ustąpiła, ona wreszcie zajęła swoje miejsce na szczycie władzy, skończyła się rewolucja, stara władza została brutalnie wymordowana i zaczął się czas bezwzględного budowania nowego porządku. Odtąd wszystko miało służyć wypełnieniu polecenia: masz się nauczyć Lasu. Masz nauczyć się w nim poruszać, żyć, zdobywać jedzenie i wodę. Masz się z nim obyć, zrozumieć. To rozkaz. Odmaszerować.

Wróciłem w górskie lasy, te, które znałem o wiele lepiej. Zacząłem się ich uczyć tak, jak mi rozkazała Ciemność. Poczułem też pierwsze skutki swojego doświadczenia. Dokonała się we mnie całkowita zmiana priorytetów, zniszczenie starych i powstanie nowych.

Najwyższą wartością wdrukowaną nam przez kulturę i wychowanie jest ludzkie społeczeństwo. Jego funkcjonowanie jest celem nadrzędnym, do którego ludzie zmierzają, często sobie tego nie uświadamiając. To z tego powodu pisze się i uchwała prawa państwowe, czci się bogów i odprawia się ku ich chwale wspólne rytuały. To dlatego mówi się „dzień dobry”, „cześć”, „do widzenia”. To dlatego od małego wdraża się dzieci do konwenansów, zasad współżycia społecznego, w tym i tego, jak skutecznie kłamać: uśmiechać się do kogoś, kogo nie cierpimy, gładzić słowa, żeby nie urazić, nawet gdy bardzo chcemy to zrobić. Nawet służąc swoim bogom: Allahowi, Jezusowi, Zeusowi czy Atenie, ostatecznie ludzie służą tylko

społeczności. Nie całej, oczywiście, bo funkcjonujemy w ramach odrębnych społeczeństw, są nasi i nie nasi, jesteśmy „my” i są „oni”, ale to już wyższy poziom wdrożenia.

Ja także służyłem tym pryncypiom, ale wyszedłem z Lasu jako człowiek, dla którego przestały one mieć wartość. Odtąd byłem tylko „ja” i cała reszta, która mnie nie obchodzi. Ludzkie społeczeństwo? OK, o ile jest przydatne. Na tyle, na ile jest przydatne. Niech sobie będzie. Byle nie stało na drodze. Odtąd moim priorytetem był Las. On zastąpił mi ludzką społeczność. Cel miałem jeden: poznać go, nauczyć się w nim poruszać, wzmóc swoją wytrzymałość, zdobyć wiedzę, wsłuchać się w to, co ma do powiedzenia, i się do tego dostosować. A wszystko po to, żeby stał się moim światem, żebym ja sam zaczął do niego należeć. Trzy miesiące spędziłem, wędrując po Górach Izerskich. Nauczyłem się dostosowywać do kaprysów Przyrody, zdobyłem jeszcze nie wiedzę, ale jakąś podstawową intuicję. Obserwowałem, patrzyłem, rozglądałem się. Pilnie korzystałem z doświadczeń innych, którzy tak jak ja nauczyli się w Lesie funkcjonować, a którzy spisali gdzieś – w książkach, w internecie – swoje doświadczenia.

Jednocześnie dobrze wiedziałem, że sprawa jest bliska beznadziei. Gdyby istniały na naszej planecie lasy rzeczywiście nietknięte i gdyby były to takie lasy, jakie znałem i kochałem, nie kanadyjskie ani syberyjskie tajgi, nie równikowe dżungle, ale te górskie, sudeckie lasy, sprawa byłaby prosta. Naucz się żyć i radzić sobie samotnie w Lesie, odejść od ludzi, tam przeżyj resztę życia i umrzyj. Ale jednocześnie czułem rozkaz, wołanie w sobie, że nie wolno mi stąd uciekać. Wezwał mnie ten Las, a nie inny. A ten Las jest, jaki jest. Bezwzględnie i okrutnie gwałcony przez Polskę, przez polski naród, polskie państwo, polskie społeczeństwo. Traktowany jak plantacja drewna, a w odniesieniu do zwierząt – jak obóz koncentracyjny, gdzie esesman w zielonym mundurku wchodzi sobie na wieżyczkę i strzela.

Ten Las wezwał mnie i pokazał mi wszystkie swoje rozterki, cały swój ból. Widziałem bale drewna oznaczone sprayem „Dla Ryśka”, „Dla Miśka”, „Dla Darka”, leżące co kilkaset metrów w wielkich stosach przy leśnych drogach. Widziałem ślady krwi, które prowadziły od ambony do dziury pod wykrotem, gdzie wrzucono wnętrzności jelenia. Widziałem drogi, wzdłuż których ambony są ustawione co kilkadziesiąt metrów niczym w Dachau. Bo i też ci, którzy z nich korzystają, niczym się nie różnią od hitlerowskich morderców. Na mocy jakiego prawa człowiek ma niby być więcej wart od dzika czy jelenia? Jakim prawem jego życie jest uważane za więcej warte od życia zwierząt czy roślin?

Przez te trzy miesiące zapominałem o jakimkolwiek swoim cierpieniu. Skoncentrowałem się cały na zewnątrz, jeszcze nie do końca rozumiejąc ani nie mając pomysłu, co i jak z tym wyznaniem Lasu zrobić. Wiedziałem jedno: nie jestem już własnością ludzkiego społeczeństwa. Odmawiam mu służby, szacunku, posłuszeństwa, pokornego kłaniania się, grzecznego zachowania, odmawiam tego wstrętnego: wypada, nie wypada. Uroczyście i z najwyższym namaszczeniem dezerceruję, zdradzam i zmieniam front – przechodzę na stronę Lasu.

Moja odnowiona racjonalność przyniosła jednak pewien ponury skutek. Podsumowałem wszystko: kim teraz jestem i co czuję, jakie są moje szanse, jakimi dysponuję środkami i jaka jest moja sytuacja materialna i perspektywy na przyszłość, a wynik tego na zimno obliczonego równania wychodził mi jeden: nie mam szans. Pomysłu na swoje nowe życie nie miałem żadnego. Można się ze mnie do woli śmiać, ale zwyczajnie brakowało mi wtedy wiedzy o tym, co może robić i jak żyć człowiek w mojej sytuacji. Przerastała mnie ta nowa rzeczywistość. Wiedziałem, że to wszystko, co teraz wiem, co czuję, jest dla ludzi kompletnym szaleństwem, bełkotem wariata. Co więcej, zobaczyłem rozmiary katastrofy, jak bardzo

ludzkość niszczy Przyrodę, jak jej nienawidzi, jak się jej boi, jak wielką i niekwestionowaną władzą cieszą się w Polsce myśliwi i drwale, jak wysoką pozycję ma religia, która głosi, że Ziemia ma być ludziom poddana. Zobaczyłem, że w obliczu potęgi chrześcijańskiej cywilizacji ja, nędzny mały sługa Diabła, jestem nikim i nic nie mogę zrobić, żeby uratować Przyrodę przed ludźmi. Jaki inny mógłby być wynik równania?

Postanowiłem umrzeć. Na zimno, bez emocji, bez burzy niezrozumiałych uczuć. Stwierdziłem, że nie ma miejsca w tym świecie dla kogoś, kto Przyrodę stawia wyżej niż wszelkie ludzkie wartości, wyżej niż wartość człowieka, człowieczeństwa i ludzkości. Uznałem, że nawet nie warto podejmować jakiegokolwiek walki, bo co mogę zrobić tak potężnym wrogom Przyrody? Dziś wiem jednak, że choć zaplanowałem wówczas swoją śmierć, nie groziło mi absolutnie nic. Byłem już w rękach Lasu, a ten jest do bólu logiczny, do bólu materialny i do bólu pełen błota, piachu i jusznic deszczowych. Było więc oczywiste, że moja droga nie mogła skończyć się czymś tak nieracjonalnym jak samobójstwo, ale musiała prowadzić do dokończenia przemiany i do zdobycia wiedzy. Ciemność stała się moją nową jasnością, tak oczywistą i podstawową, że nie pamiętam już dawnej.

Któregoś dnia dotarłem wreszcie na Izerskie Bagno, to widziane kiedyś tylko z daleka i z bólem pozostawione jak marzenie na horyzoncie. Usiadłem w cichej ciemności zapadającej nocy, oparty plecami o pień świerka, na miękkim mchu i soczystej trawie. Gdy zapadła ciemność, patrzyłem w nią tak, jak zakochany patrzy na ukochaną, bo to była Ciemność Lasu, tego Lasu, który był teraz jedynym celem mojego życia i mojej śmierci. Celem, jak mi się zdawało, nieosiągalnym i utopijnym. Las wiedział już jednak, jak cierpliwie i powoli mnie nauczyć, wyprowadzić z

błędu, poprawić i pokazać, że ten cel jest nie tylko możliwy do osiągnięcia, ale jest moim przeznaczeniem.

Patrząc w tę Ciemność, po raz pierwszy miałem odwagę się do niej pomodlić, do tej Ciemności, której tak nienawidzi chrześcijaństwo, przed którą tak przestrzega, pilnie dzieląc Przyrodę na tę „pełną harmonii”, na słodziutkie sarenki, jelonki, owieczki, na świecące słońko i śpiewające ptaszki, i na tę złą, szatańską, przeklętą: na burzę, śnieżycę, błoto, mróz, smród, rozkład, robaki, pająki, roztocza, dziki, lisy, wilki. „Przysięgam ci, Lesie – szeptałem – wam, wszystkie drzewa, wam, wszystkie zwierzęta. Przysięgam, że zawsze stanę po waszej stronie, nawet gdybym musiał obrócić się przeciwko ludziom. Wyrzekam się człowieczeństwa, wyrzekam się ludzkich bogów. Uczyni ze mnie zwierzę na twój obraz i podobieństwo, abym był godzien być twoją częścią. I przystąpię do szatańskiego ołtarza, do Wilka, który mnie wyprowadził z seminarium, z domu niewoli i który mnie wyzwolił spod tyranii ludzkości”. Do dziś zmawiam tę modlitwę, ona jest preambułą nowej konstytucji mnie samego, nowego porządku, który nastał, gdy stary został w bólu i szaleństwie obalony.

Sanatorium pod Wilkiem

Jeżeli dotarłeś, Czytelniku, do tego miejsca, to ci gratuluje. Z pewnością nie jest łatwe ani przyjemne zagłębianie się w wyznania szaleńca. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na to, że nie jestem nikim wyjątkowym. Bardzo wielu ludzi przeżywa podobne doświadczenia, a ich bliscy i przyjaciele mogą nie zdawać sobie z tego sprawy.

Wyznam, że jestem w wielkiej rozterce, ponieważ nie wiem, jak nazwać swoje doświadczenie. Nie cierpię słowa: „depresja”, bo w środowisku, w którym się wychowałem, słowo to było wyśmiewane. Mówiło się, że depresja to domena ludzi słabych, niezaradnych, zniewieściałych. W wielu środowiskach nadal panuje takie myślenie. Tymczasem wiem, że nie jestem człowiekiem słabym, przeciwnie, jestem silniejszy od większości ludzi, których znam. Brzmi to może zarozumiale, ale tak jest. Mimo swojej siły, zdolności i inteligencji doznałem czegoś, co niemal doprowadziło mnie do samobójstwa.

Nie chciałbym nazywać moich przeżyć depresją także z tego powodu, że w powszechnym mniemaniu słowo to kojarzy się z chorobą, czymś, co trzeba leczyć i temu przeciwdziałać. Tymczasem mi o wiele bliższe jest pojęcie dezintegracji pozytywnej, które do psychologii wprowadził wspomniany Kazimierz Dąbrowski. Uważam to doświadczenie za najcenniejsze w moim życiu, za coś, co nadało mu sens i zmieniło mnie na lepsze.

W tym przeżyciu pomogło mi to, że rzuciłem pracę, zerwałem kontakty, czyli poszedłem na całość za głosem swojego szaleństwa. Z ludzi pomogli mi nieliczni, ci, którzy potraktowali mnie nie jak chorego idiotę, ale tak, jakby się nic nie działo. Wysłuchiwali moich czasami dziwnych wyznań i poparli je. Mówili: „Wilki? Super, tak trzymać. Ludzie? Są obrzydliwi i źli, to prawda! Las? Jest piękny i święty, super, że do tego doszedłeś!”. Tym samym sprawili oni, że spora część tego, co w moim ówczesnym stanie było najgroźniejsze i najbardziej patologiczne, czyli wszechogarniający wstręt do ludzi, zostało rozbrojone. Nie natychmiast – w tamtej chwili nie miało to żadnego widocznego skutku, ale miało go dużo później, gdy już od tych ludzi odszedłem i zagubiony w lesie odnalazłem nowego siebie.

Nie zamierzam tutaj autorytatywnie podawać recepty na wypadek takich wydarzeń psychicznych. Chciałbym jednak, podsumowując, podzielić się kilkoma ważnymi uwagami. Mogą się one przydać tym, którzy z osobami przeżywającymi trudne doświadczenia mają lub będą mieć kontakt. Po pierwsze, nie nazywajcie, nie traktujcie i nie dopatrujcie się w tym choroby. To nie jest choroba, tylko konieczna przemiana, która zachodzi, gdy życie danego człowieka z jakiegoś powodu nie może już nadal być takie, jak było dotychczas. Po drugie, jeśli nie chcecie takiej osobie zaszkodzić, popchnąć jej ku prawdziwemu obłądowi lub skutecznemu samobójstwu, to nie róbcie tego, co wam idiotyczny konsensus społeczny nakazuje, czyli nie narzucajcie się z pomocą, w ogóle nie używajcie tego słowa. Odniesie to odwrotny skutek, bo będzie dla takiej osoby upokarzające, a to wzmoże jeszcze impuls do tego, by uciekać lub walczyć. Jeżeli zaczniecie mówić rzeczy typu: „Potrzebujesz pomocy”, „Chcę ci pomóc” i tym podobne, taki człowiek automatycznie to odrzuci. A jeśli się zdarzy, że sam poprosi o pomoc, nie dajcie mu odczuć, że jest gorszy, na słabszej pozycji, przeciwnie: pokażcie mu, że jest wyjątkowy, a

jego doświadczenia, choć trudne, są niezwykle i godne podziwu. Po trzecie, zrozumcie, że społeczeństwo, przyjaźnie, koleżeństwa, fałszywe uśmiechy, spotkania towarzyskie naprawdę nie są najwyższym dobrem i najwyższą radością, dla której warto poświęcić wszystko. Naprawdę nie ma nic złego ani tragicznego w tym, że ktoś chce się z tego wypisać. Po czwarte, nawet bogowie, religie, filozofie, kultura i sztuka też nie są najwyższymi wartościami. Mogą być nimi dla was, ale nie są takie obiektywnie i czasami się zdarza, że ktoś odkryje poza nawiasem nudnych społecznych gierek coś nowego, pięknego i niezwykłego. I po piąte, ostatnie: wiedźcie, że każde zwierzę na tej planecie ma większe kompetencje do tego, by takiej osobie pomóc niż ktokolwiek z ludzi, choćby był psychologiem z wieloletnim doświadczeniem w praktyce terapeutycznej. Ludzie, starając się zgłębić psychologię, są niejako sędziami we własnej sprawie. Chcąc nie chcąc, postrzegamy czyjeś doświadczenia wewnętrzne przez pryzmat własnych, a to może nam bardzo fałszować obraz. Przyroda odbiera nas z zupełnie innej perspektywy i może o wiele lepiej wiedzieć, jaka jest prawda o naszych przeżyciach.

Dla mnie lekarzem pierwszego kontaktu była jusznicza deszczowa i w swoim działaniu terapeutycznym wykazała się zabójczą skutecznością. To Las mnie uzdrowił, Las mnie uratował. Wilk, który przyszedł do mnie tym razem już nie we śnie, ale w rzeczywistości, o czym opowiedziałem na samym początku tej książki, ostatecznie uwolnił mnie od najpoważniejszego błędu, jakim była decyzja o tym, by szukać w lesie śmierci. Pokazał mi, że moim obowiązkiem jest poszukiwać wiedzy, bo jest ona tą potężną siłą, która może oddać Przyrodzie nieocenioną przysługę. Dotąd spotykałem Wilka w snach, a teraz spotkałem go w rzeczywistości i różnica między jednym a drugim okazała się tak wielka, że sen z dzieciństwa nie był mi już potrzebny i odszedł na zawsze. Wilk rzeczywisty

okazał się wyglądać zupełnie inaczej niż ten z dziecięcych snów – jest piękniejszy, lepszy, prawdziwy, dotykalny.

Spotkanie z Wilkiem uświadomiło mi, że ludzkość wcale nie jest potężna, a ja wcale nie jestem mały i słaby. To, co pokochałem, nie było już odtąd snem, ale rzeczywistością. Dostarczyło mi to silnego impulsu do działania. Poczułem w sobie siłę do tego, by pomóc Przyrodzie złamać raz na zawsze władzę tych, którzy depreczują i niszczą lasy, którzy mordują zwierzęta. Ludzie budują swoje miasta, wjeżdżają do lasu z buldożerami, harwesterami i quadami, wydaje im się, że łatwo jest Przyrodę pokonać. Ale wystarczy przecież tylko kilka lat zaniedbań, a na dany teren Przyroda natychmiast wraca i żarłocznie pożera wszystkie ludzkie budowle i dzieła. Zrozumiałem, że choćby ludzie wycięli miliard drzew i wybili sto tysięcy wilków, miliard pierwsze drzewo wyrośnie na ich grobie, a stutysięczny pierwszy wilk na ten grób się odleje. Pojąłem więc, że nie obowiązuje mnie od tego momentu żaden, nawet najmniejszy szacunek wobec wszystkiego, przed czym ludzie klęczą, jęczą i co nabożnie szanują. Nie obowiązuje mnie pokora, bo nie mam powodu być pokornym wobec ludzi, którzy na to nie zasługują.

Znikła wściekłość i nienawiść do ludzi, bo wścieka się i nienawidzi tylko ten, kto się boi. A po spotkaniu z Wilkiem mogę powiedzieć i mówię to wszystkim ludziom: nie boję się was. I dlatego nie lękałem się rzucić wyzwania całej katolickiej Polsce, pisząc i publikując swoją pierwszą książkę. Udzielałem wywiadów chętnie, bez ukrywania twarzy, pod własnym nazwiskiem i każdy, kto tylko zechce, może się ze mną skontaktować. Nie boję się, bo wiem, że Przyroda jest potężniejsza od wszystkich ludzi razem wziętych. Nawet komórki ciała człowieka nie należą do niego, ale do Przyrody, i kiedy ona zechce, może je wezwać do rebelii, do tego, by stały się nowotworem. Niewidzialny wirus może

powalić każdego, niezależnie od tego, ile będzie miał pieniędzy, ile władzy, ile pił, harwersterów i ciężkiego sprzętu na podporządku. Przyroda chwyci nawet najpotężniejszego bogacza i posiadającego największą władzę polityka i pogrzebie go w ziemi, choćby skamlał, choćby błagał, choćby wszystkie swoje majątki przetracił, szukając dla siebie ratunku, który nie nadejdzie. Zawsze znajdzie się choroba, wobec której nawet najlepiej wyposażeni i opłaceni lekarze powiedzą: „jesteśmy bezradni”, zawsze znajdzie się czynnik losowy, przyrodniczy, który obali najdoskonalsze nawet plany. Przyroda ma moc zniszczyć nawet ludzkich bogów.

Zwykli obywatele mają dzisiaj ten problem, że naukowcy nie wszystko im mówią. Robią tak dlatego, bo wiedzą, że zostaliby albo kompletnie niezrozumiani, albo wyśmiani. Niestety. Bo dla ludzi cenniejsze są ich ukochane przesady, wiary, przeświadczenia, ich „mądrość życiowa” niż prawda. A tymczasem w biologii na poważnie rozważa się funkcjonowanie ekosystemów jako złożonej sieci zależności nie w postaci łańcucha pokarmowego, ale zależności informacyjnej. Gdy idziesz po łące, trąc trawę, uruchamiasz potężną, natychmiastową reakcję: informacja o związkach chemicznych, które emitujesz, o sile nacisku twoich stóp, o szybkości twojego poruszania się natychmiast przebiega na drugi koniec łąki poprzez impulsy elektryczne w chloroplastach roślin. Ich systemy korzeniowe uruchamiają sieci powiązań z prawdziwymi panami podziemia, czyli grzybami, i tą drogą niczym podziemnymi światłowodami płyną informacje. Rośliny, które mijasz, natychmiast emitują niewyobrażalnie złożone związki chemiczne, które unosząc się w powietrzu, uruchamiają kolejną kaskadę przepływu danych. A zwierzęta? W każdej chwili jesteś obserwowany miliardami par oczu, czułek, sensorów chemicznych, nosów, zmysłów elektrycznych i na wiele, wiele innych sposobów.

Nie mamy dziś niemal żadnych danych na temat tego, co te informacje mogą zawierać, wiemy tylko, że płyną, i to z ogromną intensywnością. Tajemnicą jest dla nas, co mówią sobie żywe istoty tego świata na nasz temat. Nie posiadamy żadnego klucza do tego, by zrozumieć więcej niż ułamek ułamka tego nawału informacji. Wiemy jednak wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę z ogromu zjawiska. Wystarczy, że wejdiesz na łąkę czy do lasu, już jesteś zważony, zmierzony, zbadany do głębi. Co więcej, ta informacja nie rozwieje się, gdy tę łąkę opuścisz, ale jeszcze długo będą mieć do niej dostęp wszyscy jej mieszkańcy. Tak złożona sieć informacyjna nieuchronnie przypomina sieć neuronów, mózg. Czy Las, ekosystem, jest inteligencją? Z pewnością nie. A to dlatego, że ta sieć jest o wiele bardziej złożona niż nasz mózg. Nazywanie inteligencją tego, co generuje, jest w istocie poniżeniem, tak jak poniżeniem jest nazywanie ludzkiej inteligencji procesem chemiczno-elektrycznym. Bo choć to stwierdzenie będzie prawdziwe, to pomija ono doniosłość i złożoność tego, co się wskutek tej chemii i tych przemian pola elektrycznego dokonuje.

Przyroda jest czymś więcej niż inteligencją, ale na razie nie dysponujemy żadnymi narzędziami naukowymi, żeby badać rzeczywistość tak złożoną i tak bardzo przerastającą naszą wyobraźnię. To sprawa przyszłości. W tej chwili muszą nam wystarczyć domysły. Kiedyś być może uda się zrozumieć działanie i prawdziwe możliwości tej Nadinteligencji. Kto wie – i teraz odchodzę już w dziedzinę czystej spekulacji – może Przyroda konstruuje dziś swój system immunologiczny, chce się bronić przed rakiem, jakim jest dla niej ludzkość i cywilizacja? Może znalazła we mnie swojego limfocyta, ciało obronne, sobie tylko wiadomymi kanałami dobrała się do mojego układu nerwowego i przebudowała moją duszę tak, że stałem się tym, kim jestem dzisiaj?

Przyroda daje mi tę siłę – pychę i zarozumialstwo, jak to niektórzy nazywają – żeby lekceważyć wszystko, co dla ludzi jest święte, bo po latach spędzonych w Kościele katolickim wiem, jakie małe i podłe rzeczy ludzie potrafią czcić. Widzę też dzisiaj, że nie jestem sam, bo ludzi, którzy myślą, czują i działają jak ja, którzy rozumieją i widzą w Przyrodzie to, co i mi dane było w niej zobaczyć, jest więcej, niż się spodziewałem.

Nastąpiła we mnie całkowita i zupełnie niewytłumaczalna przemiana, która zupełnie nie dała się wywieść z wydarzeń ją poprzedzających. Pozostaje ona w moim życiorysie nielogicznym wtrętem w fabule, chwytem typu *Deus ex machina*. Dlatego nie potrafię wytłumaczyć logicznie tego, co się ze mną stało. Ale czy naprawdę to takie ważne? Nie odczuwam potrzeby, by to tłumaczyć. Dla mnie dziś ważniejsze jest to, że dzięki temu doświadczeniu otrzymałem zupełnie nowe, lepsze życie. Uzyskałem od Przyrody godność, do której nigdy nie miałem prawa w Kościele katolickim, gdzie ciągle trzeba przed kimś się kłaniać, komuś podlizywać, komuś kadzić, okazywać szacunek zupełnie niezasłużony. Otrzymałem prawo do wolności, prawo do doceniania i cieszenia się swoimi talentami, swoją inteligencją, zaradnością i siłą, czyli dokładnie to samo prawo, które w chrześcijaństwie jest widziane jako potworna zbrodnia „braku pokory”. Tylko Wilki zasługują na mój szacunek, a pokorę okazuję jedynie Przyrodzie, Ciemności Lasu i Śmierci. Potrzebowałem jednak wiele czasu, żeby w pełni zrozumieć to, co się we mnie dokonało i jakie możliwości mi to daje. Czułem się sam ze sobą jak człowiek, który całe życie jeździł rowerem, a nagle posadzono go za sterami odrzutowca. Siedziałem niczym laik przed setkami migocących lampek, przycisków, wskaźników, gadżetów, bojąc się czegokolwiek dotknąć i nie mając na podorzędziu żadnej instrukcji obsługi. Musiałem powoli, ostrożnie zacząć się uczyć samego siebie.

Jeszcze w czasie poszukiwania śmierci od wilczych kłów podjąłem pracę. Zatrudniłem się w średniej wielkości zakładzie produkującym plastikowe elementy. To ironia losu, że człowiek bezgranicznie należący do Lasu zaczął pracować w czymś tak drastycznie sprzecznym z Naturą jak fabryka plastików, ale zajęcie to okazało się mieć dla mnie pewne bardzo istotne zalety. Polegało na staniu przez osiem godzin, odbieraniu wyrobu z maszyny, pobieżnej wzrokowej kontroli i pakowaniu. Mogłem chodzić do pracy, w której łącznie pracowało naraz na jednej zmianie kilkanaście osób i poza przyjmowaniem zawodowych dyspozycji nie zamieniać z nikim słowa. Nawet przerwy w pracy odbywały się rotacyjnie, bo maszyny pracowały cały czas i brygadzistka musiała zmieniać nas po kolei. Dostawałem wreszcie regularną wypłatę, która w porównaniu z tą imitacją wynagrodzenia w stolarni była, zwłaszcza dla mnie, przy moich nikłych potrzebach, istnym majątkiem.

Nowa praca miała jeszcze jedną zaletę: zakład mieścił się cztery kilometry od mojego domu i dużo łatwiej, szybciej i taniej było tam iść pieszo niż dojeżdżać. Droga wiodła w dużej części przez las, trochę przez pola, a że praca odbywała się w systemie trójzmianowym, chodziłem tamtędy o różnych porach dnia, także w nocy. Mogłem więc po drodze doświadczać i obserwować, jak zmienia się Przyroda, jaki jest jej prawdziwy całodobowy i całoroczny cykl, jej oddech, jej puls. Przy okazji codziennych wędrówek zaobserwowałem pewne dziwne zjawisko. Długo się wahałem, czy o nim tutaj napisać, bo skoro dla wielu ludzi nie do uwierzenia były tak banalne i proste do przewidzenia rzeczy, jak te opisane w „Sakramencie obłudy”, to sądzę, że grono podważających moją wiarygodność znacznie się powiększy. Ale fakt pozostanie faktem niezależnie od tego, czy demokratyczna większość go poprze, czy nie.

Zaznaczam, że sprawa jest w pełni naturalna i nie stanowi żadnego cudu ani żadnej magii.

Od małego chodziłem po lesie czy po górach i nie zdarzyło mi się zobaczyć żadnego zwierzęcia większego od żaby, jeśli nie liczyć białego tyłka sarny, który z rzadka mignął mi gdzieś w zaroślach. Od czasu mojej przemiany drastycznie się to zmieniło. Dziki, sarny, jelenie przestały się bać mojej obecności. Stały spokojnie, mało tego, ignorowały mnie, gdy się do nich zbliżałem. A kiedy zbliżyłem się za bardzo, na trzy, cztery metry – nie uciekały, ale powoli, dostojnie odchodziły. Zdarzało się, że wszedłem w sam środek stada dzików, i to pomiędzy młode a ich rodziców, a one nie przejawiały choćby cienia niepokoju. Ukoronowaniem tego zjawiska był pewien lis, który czyhał na mnie, gdy wracałem z pracy, po to, żeby się pobawić ze mną w berka. Pozwalał podejść do siebie niemal na odległość wyciągniętej ręki, po czym odbiegał, okrążał mnie, przystawał i znów czekał. To bardzo przyjemne doświadczenie, które pozwala mi poczuć się w lesie jak w domu, jak wśród przyjaciół. Takie zachowanie zwierząt, jak wspomniałem, jest zupełnie naturalne. Węch ma u nich o wiele wyższą pozycję niż u ludzi, którzy, z wyjątkiem kiperów czy testerów perfum, nie doceniają tego zmysłu. Tym samym przeciętny człowiek właściwie nie odbiera bodźców chemicznych płynących z otoczenia, a one przecież niosą o wiele więcej informacji niż światło i drgania powietrza, na których to nośnikach bazuje nasz wzrok i słuch.

Zwierzęta o wiele lepiej rejestrują informacje węchowe. Zapach pozwala im dokładnie zmierzyć zamiary i emocje zbliżającego się do nich człowieka, bo są one wszystkie zjawiskami chemicznymi i pozostawiają chemiczny ślad w naszym oddechu, pocie, wydzielinach. Moja psychiczna przemiana wyrzuciła ze mnie wszelki strach przed Przyrodą, pokazała, że bardziej powinienem się obawiać ludzi idących po ulicy niż żmij, pajaków,

wilków, niedźwiedzi czy dzików. Zwierzęta, gdy do nich podchodzę, wyczuwają zupełnie inne emocje, niż gdy podchodzą do nich inni ludzie. Nie czują we mnie strachu, który czuje ktoś mający złe zamiary. Nie czują hormonów stresu, pojawiających się nieuchronnie u każdego, kto o Przyrodzie nic nie wie i dla kogo jest ona królestwem zła, drapieżnictwa i przemocy. Przyroda wyrwała mnie z przynależności do ludzkiej kultury, która nakazuje piszczeć, krzyczeć i siusiać w majtki na widok dzika, nie mówiąc już o zaskrońcu.

Nieprzypadkowo wspomniałem zaskrońca. Nasz zakład był położony wśród łąk i zalesionych wzgórz, w pobliżu był też staw i sporo obszarów podmokłych. Nieraz się więc zdarzało, że jakiś większy przedstawiciel lokalnej fauny do nas zawitał. Stałem się siłą rzeczy kimś w rodzaju dyżurnej interwencji w takich wypadkach. Pewnego dnia usłyszałem na hali przeraźliwy wrzask. Ktoś mnie przy tym zaczął nawoływać. Podbiegłem do miejsca zamieszania i zobaczyłem taką oto scenę: Pracowniczkę piszczały. A „prawdziwi mężczyźni”, wielkiej postury gruboskórne chłopcy, aż powłazili na wszelkie dostępne podwyższenia i z paniką w oczach wskazywali na podłogę.

– Wąż! Wąż! – wrzeszczeli.

Nie dość, że był to całkowicie nieszkodliwy zaskroniec, co widać było już z daleka, to w dodatku był bardzo malutki. No ale cóż. Chrześcijaństwo nauczyło ludzi mieć Przyrodę w pogardzie, więc się to na nich mści. Jak zawsze w takich wypadkach, wziąłem tego jakże straszliwego węża na ręce i wyniosłem na łąkę.

W podobnych chwilach rozumiałem, jakim głupcem byłem, gdy przerażony pozorną potęgą ludzkiej cywilizacji chciałem umrzeć. Większość ludzi, gdyby ich pozostawić w nocy, bez latarki, samotnie w nieznanym lesie, zacznie wrzeszczeć i robić pod siebie ze strachu, gdy tylko

z zarośli odezwą się pochrząkiwania dzików, a z dala dobiegnie wycie wilków. Kilka godzin w takim lesie zmieniłoby ich w kwilące kupki nieszczęścia. Dotyczy to każdego biskupa, najpotężniejszych nawet polityków, całej władzy państwowej i niepaństwowej. Mnie możecie zostawić samotnego w nieznanym mi lesie, a odetchnę z ulgą, będę się czuł u siebie. Dzięki wiedzy, którą posiadałem, każda roślina może mi pomóc, każde zwierzę może być moim przyjacielem: zarówno słodziutkie sarenki, jak i wielkie, wstrętne pająki.

Nie jestem w tym osamotniony. Wielu jest ludzi, którzy tak jak ja za nic mają obiekty społecznej czci, wszystkie żalosne tradycyjne czy chrześcijańskie wartości. Liczy się dla nich tylko Przyroda i jej surowe prawa. Wszystkim tym ludziom chcę dziś powiedzieć: Odwagi! Jest nas bardzo niewiele, ale jesteśmy niezwykle potężni. Oto ci wszyscy wyniośli durnie, którzy stoją nad nami i pobłażliwie kiwają głowami z wysokości swoich przeświadczeń o cudowności i wspaniałości człowieka, będą nikiem, gdy znajdą się w nocy na bagnach, gdy byle deszcz zaskoczy ich w górach albo gdy napadnie ich rój klecanek. Zabije ich kawałek kłacza szaleju jadowitego, umrą w męczarniach, jeśli połkną ledwie dwanaście jagódek *Atropa belladonna* i nic im nie pomoże ich wiara, ich bóg, ich pieniądze i ich władza.

Kontynuowałem swoje wyprawy w Bory Dolnośląskie, czasami widywałem wilcze ślady, czasami nie. Przez ponad rok nie zmieniałem nic w życiu, dałem sobie czas na wytchnienie. Nie czułem się pewny za sterami odrzutowca, byłem na etapie domyślenia się, że wolant służy zapewne do czegoś podobnego jak kierownica w rowerze. Był to czas swoistego okrzepnięcia, odpoczynku. Jednakże zmiany musiały przyjść i przyszły, wkrótce skończył się czas Sanatorium pod Wilkiem. Czekala na mnie decyzja życia.

Na wino z hrabią

A co z religią? W końcu jestem byłym duchownym, religia była dla mnie zawsze najważniejszą sprawą w życiu, także po tym, jak odszedłem z Kościoła katolickiego. Jak na tę dziedzinę mojego życia wpłynęło to, co się wydarzyło? Religia po prostu przestała być dla mnie ważna. Utraciła uprzywilejowaną pozycję, sama z siebie odeszła, została wymazana. Zapomniałem o niej tak samo jak o paleniu. Objawiło się to między innymi przewartościowaniem obiektów moich uczuć.

Przyjęło się uważać, że istnieją tak zwane uczucia religijne. Za niepodlegający dyskusji dogmat uważa się twierdzenie, że „człowiek musi w coś wierzyć”, że religia jest wpisana w samą naturę człowieka. Tymczasem to wszystko kłamstwa i przesady. Nie istnieją uczucia ani potrzeby religijne. Religia wzięła na swój użytek naturalne, niemające nic z nią wspólnego skłonności człowieka, a następnie wmówiła mu, że tylko ona może je zaspokoić.

Zdolność do odczuwania szacunku wobec kogoś lepszego, mądrzejszego, silniejszego, zdolność do okazywania respektu rzeczywistości, która nas przewyższa, nie jest żadną, jak to śmiesznie ludzie nazywają, „potrzebą transcendencji” albo „duchowości”. Ta zdolność powstała, gdy nasi przodkowie, bezradni wobec niebezpieczeństw Lasu, musieli okazywać Przyrodzie respekt, czyli, mówiąc prościej: uważać pod nogi, mieć oczy dookoła głowy i zwracać uwagę na każdy szmer w krzakach, bo wszędzie mogło czaić się jakieś zagrożenie. Dopiero później,

gdy ludzie zamieszkali w osiedlach, z dala od Lasu i drapieżników, zaczęli tę zdolność odnosić do zmyślonych rzeczywistości wyższych i nazwali to religią.

Tak samo jest z miłością – coś, co powstało, żeby ludzie uprawiali seks i żeby czerpali przyjemność z wzajemnej bliskości, sztucznie wywyższono jako coś niezmiernego, boskiego, coś bardziej z domeny ducha niż ciała. Zdolność do odczuwania tęsknoty za kimś, która powstała, aby utracone, korzystne więzi przywracać, przyspawano do nieistniejących tworów wyobraźni takich jak bogowie czy wartości duchowe. Ludzką, naturalną i konieczną do przeżycia potrzebę posiadania ambicji, ćwiczenia swoich umiejętności i poszerzania możliwości wykoślawiono, angażując ją w służbę nic niewartej moralności.

Tak to religia zawłaszczyła pewne nasze zdolności, potrzeby i uczucia, wmówiła nam, że są one wyłącznie domeną wiary i że zawsze należy je odnosić do tego czy innego boga, duchowości, transcendencji. Ludzka kultura wpaja to już bezbronny umysł dzieci tak skutecznie, że dziś przeciętny człowiek nie rozumie, że wcale nie posiada żadnej „potrzeby religijności” – ma tylko potrzebę uważania na to, żeby go lew nie zjadł. Potrzebę miłości może zaspokoić seks oraz bliskość drugiego człowieka i niepotrzebny jest do tego żaden bóg. Żaden Jezus nie jest potrzebny do tego, żeby odczuć respekt wobec burzy, trąby powietrznej, wybuchu wulkanu, żeby zachwycić się groźnym pięknem drapieżników i majestatem górskich przepaści. Ci z naszych przodków, którzy się drapieżnikami nie zachwycali, a tym samym nie doceniali ich szybkości, inteligencji i siły – wyginęli, zjedzeni przez te drapieżniki. Ci z nich, którzy nie mieli respektu wobec górskich przepaści, rozbili sobie głowy o skały i nie przekazali genów następnemu pokoleniu. My odziedziczyliśmy te uczucia, a religia je

ukradła, zawłaszczyła i oddała na służbę zmyślonych istot i abstrakcyjnych wartości.

Przeżycie Lasu zważyło z piedestału i zniszczyło we mnie tron religii, a wszystkie te naturalne uczucia i zdolności stały się nagle stadem koni, którym ktoś poprzecinał wędzidła i rozpuścił samopas. I stało się to, co dzieje się i w rzeczywistości z takimi końmi: dziczeją, stają się wolne, silniejsze, a początkowy chaos szybko przeradza się w nową hierarchię, w której na czele staje nie hodowca i jego pieniądze, ale najwytrzymalszy i najinteligentniejszy osobnik. Większość moich uczuć, dotąd zawłaszczonych przez religię, uciekła tam, gdzie powinny się kierować: ku Przyrodzie. Mój respekt, podziw, tęsknota – dotąd zarezerwowane dla ludzkiego boga – skierowały się ku rzeczywistości Lasu. Przed przeżyciem Ciemności te uczucia we mnie kierowały się same z siebie ku Jezusowi Chrystusowi. Po przeżyciu Lasu odnalazłem je samoistnie skierowane do Lasu, zwierząt, drzew, do wilków. Przewartościowaniu temu towarzyszyła ulga, jakbym całe życie chodził w jakimś sztywnym gorsecie, pod tyrańską dyktaturą, a teraz po latach posmakował wreszcie wolności.

Stało się tak, bo prawa Przyrody traktują człowieka nieskończenie łaskawiej niż boże przykazania. W Przyrodzie nikt nie każe mi kochać nieprzyjaciół. Przed nieprzyjacielem mam prawo uciekać, a jeśli to niemożliwe – bronić się. Przyroda nie zabrania mi dbać na pierwszym miejscu o swój własny interes i nie każe mi nikogo zbawiać. Gdy nie jestem w stanie albo nie mam ochoty komuś pomagać, mogę zwyczajnie kazać mu iść precz i nie muszę z tego powodu odczuwać żadnych wyrzutów sumienia. Gdy ktoś próbuje mnie tresować, mam prawo uznać go za wroga i jako wroga potraktować – podczas gdy religia kazała mi za to dziękować. Przyrodzie nie przeszkadza to, że będę się uważał za lepszego w czymś od innych, zwłaszcza jeśli będzie to prawdą. Nikt nie zakazuje mi pokochać

mężczyzny i nikt nie każe mi szanować grubasa w purpurowych szmatkach, mimo że na żaden szacunek nie zasługuje. W religii mamy Boga, który ciągle patrzy na nas z nieba i ciągle mu coś w nas przeszkadza, każe pokutować, żałować za grzechy, pościć, spowiadać się, czytać absurdalne historyjki z Biblii i robić jeszcze wiele, wiele innych rzeczy, a każdą przyjemność, zwłaszcza cielesną, każe traktować co najmniej podejrzliwie. Przyroda pozwala mi bezwstydnie korzystać z życia i kochać tylko tych, których kochać naprawdę warto. Czy należy się więc dziwić tej uldze, którą odczułem?

Nadal uczęszczałem na nabożeństwa do kościoła ewangelickiego. Po prostu nie miałem czasu się zastanawiać, dlaczego to robię. To była czysta inercja, siła rozpędu. Podzieliłem tym samym nastawienie zdecydowanej większości polskich katolików, dla których religia jest tylko reliktem rodzinnej tradycji, a na co dzień w ogóle o niej nie myślą. Miałem ważniejsze rzeczy do zrobienia. W ograniczony sposób wróciłem do ludzkiego społeczeństwa, ale traktując je już tylko instrumentalnie. Zrozumiałem, że nie warto się dla drugich poświęcać, jeśli nie ma się na widoku jakiejś korzyści. Ten cynizm w podejściu do ludzi niemal od razu zaczął procentować. Moje życie z żalosnej i bezproduktywnej straty czasu, błędów, samoponizowania i upodlenia zaczęło zmieniać się w pasmo coraz to większych sukcesów. Oczywiście można mnie uznać za kogoś w rodzaju socjopaty. Patrzyłem na ludzi jak wilk: co się przyda, kto się przyda, a co stanowi dla mnie zagrożenie. Jak obrócić cudze słabości we własną korzyść. Kiedy być dla kogoś brutalnym, bo się to opłaca, a kiedy być miłym z tego samego powodu. Nie oznacza to jednak, że wyeliminowana została z mojego życia miłość czy przyjaźń. Przeciwnie, te dwa zjawiska się dowartościowały, bo skierowałem je ku ludziom, którzy naprawdę są tego warci, a nie, jak nakazuje chrześcijaństwo – ku wszystkim bez przebierania.

Co więcej, miałem namacalny dowód na to, że takie postępowanie jest właściwe.

W czasach, gdy byłem duchownym, poznałem mnóstwo ludzi. Na imprezach niejeden podchodził do mnie, klepał mnie po ramieniu i przysięgał na własną matkę, że kocha mnie jak brata i że zawsze mogę na niego liczyć. Miałem mnóstwo przyjaciół i wcale nie uważam ich za przyjaciół fałszywych. Kiedy jednak przestałem do nich dzwonić, pytać o spotkanie – nikt z nich się do mnie nie odezwał. Dziś myślę, że dopóki byłem duchownym, stanowiłem dla nich atrakcję, coś w rodzaju zabawki, a kiedy przestałem nim być, zaczęli mnie co najwyżej tolerować. Po spotkaniu z Wilkiem odnowiłem niektóre kontakty, ale można je policzyć na palcach jednej ręki. Tak zwane życie towarzyskie przestało mnie w ogóle interesować.

Wtedy też po raz pierwszy związałem się z mężczyzną. Ten związek trwał tylko pół roku, ale bardzo dobrze go wspominam, zwłaszcza że była to wówczas dla mnie zupełna nowość. Czułem się radośnie jak nastolatek, jakbym dopiero niedawno się narodził – każdy, kto kiedykolwiek był zakochany, może sobie dopowiedzieć wszystko, co mógłbym tu na ten temat napisać. Co ciekawe, nie miałem żadnych zahamowań, żadnej refleksji typu: „przecież Jezus tego zabrania”, „przecież Bogu się to nie podoba”. Naprawdę ani przez chwilę mi to nie przeszło przez myśl. Ważny był tylko mój chłopak, a na przykazania boskie przestałem się oglądać.

Wilk całkowicie wymazał ze mnie Boga i tym samym usunął z mojego życia okrutnego tyrana. Co więcej, Wilk, Przyroda, Las stały się dla mnie nie nowymi bogami, ale obiektami respektu należnego im: wilkom z tytułu wdzięczności, podziwu dla ich piękna i inteligencji, Przyrodzie – z tytułu tego, jak wielką jest rzeczywistością, jak złożoną i pełną fascynujących tajemnic, Lasowi wreszcie – bo jest konkretnym, namacalnym miejscem,

gdzie można całej złożoności i potęgi Przyrody doświadczać, badać i podziwiać. Ludzki bóg króluje w ludziach na zasadzie „bo tak jest i być musi”. Taka jest tradycja, taka jest kultura, tak nam wmówiono jeszcze zanim nauczyliśmy się dobrze chodzić i wymawiać „r”. Taki Bóg na respekt zasługiwać nie musi, on mu się po prostu należy i nie wolno nawet na ten temat dyskutować.

Teraz, w nowej rzeczywistości mojego życia, ten bezdyskusyjny Bóg wyładował na śmietniku. Miałem ważniejsze rzeczy do zrobienia niż rozmyślanie o sensie życia i o tym, czy pójdę do piekła. Przede wszystkim musiałem, jakbym był dopiero w liceum, podjąć decyzję o swoim życiu. Jak ma wyglądać, do czego mam dążyć?

Pomógł mi szczęśliwy przypadek. Dawno temu, w czasach gdy jeszcze byłem diakonem, do zakrystii w kościele parafialnym wszedł nieznajomy ksiądz. Zapytał po niemiecku, czy ktoś z tu obecnych – a po zakrystii krzątała się zakrystianka, kilku ministrantów, dwóch księży i ja – włada tym językiem. Niestety, nikt z nas nie znał niemieckiego. Nieznajomy ksiądz nie dał za wygraną i powtórzył swoje pytanie po angielsku. Zapytałem wtedy w tym języku, w czym mogę mu usłużyć, na co nieznajomy odpowiedział, że nazywa się Rudolf Schaffgotsch i chce odwiedzić krypty pod kościołem. Każdy mieszkaniec Karkonoszy, Kotliny Jeleniogórskiej czy okolic, który choć trochę liznął historii tych terenów, zna to nazwisko. Hrabowie von Schaffgotsch byli właścicielami połowy Kotliny, całych Karkonoszy i Gór Izerskich wraz z przyległościami od XV wieku aż po 1945 rok. Cieplice, dziś dzielnica Jeleniej Góry, były ich główną siedzibą rodową. Do teraz w centrum uzdrowiska stoi ich okazały pałac, a w kryptach pod kościołem po dziś dzień spoczywają trumny członków tego rodu.

Poszedłem więc do proboszcza i wyjaśniwszy, jakiego mamy gościa, wziąłem klucz od krypt i otworzyłem je. Ks. Rudolf zszedł ze mną po

schodach do mrocznych, zatęchłych podziemi i zaczął odczytywać napisy na trumnach.

– Gotard Leopold Reichsgraff von Schaffgotsch... Ach, to mój pradziadek! – zawołał.

Przebywał w Cieplicach jeszcze kilka dni, w czasie których często się spotykaliśmy. Okazało się, że jest on potomkiem tych Schaffgotschów, którzy w latach 20. XX wieku przeprowadzili się do Austrii, ale zawsze utrzymywali kontakt i odwiedzali rodzinę w ówczesnym Bad Warmbrunn. Wymieniliśmy się mailami i odtąd regularnie pisywaliśmy do siebie długie wiadomości. Czuję się zaszczycony tą znajomością, jako dziecko zawsze podziwiałem historię mojej małej ojczyzny, a rodzina hrabiów von Schaffgotsch wciąż żyła w opowieściach starszych ludzi. Gdy byłem dzieckiem, w naszej kamienicy mieszkał nawet pewien pan, który jako Górnoślązak przeprowadził się do Cieplic jeszcze w latach 30. i nawet walczył w Wehrmachcie. On też dużo o hrabiach von Schaffgotsch opowiadał.

Ks. Rudolf Schaffgotsch przysłał mi życzenia z okazji świąt 2015 roku i zapytał, co u mnie. Ostatnie wieści ode mnie miał z czasów, gdy przeszedłem do Kościoła ewangelickiego, które to wydarzenie potraktował z całkowitym zrozumieniem, nie szczędząc słów krytyki pod adresem stosunków w polskim Kościele. W odpowiedzi napomknąłem coś o moim zainteresowaniu wilkami, a ks. Rudolf odpisał, że w Niederleis, miejscowości, w której mieszka jego brat, znajduje się Wolf Science Center – Centrum Badań nad Wilkami. Są tam wielkie wybiegi dla stad wilków, obserwatoria do podglądania ich życia, no i naukowcy zajmujący się etologią i ekologią tych zwierząt. Zaprosił mnie więc do Austrii, żebym mógł odwiedzić to miejsce. Skorzystałem z zaproszenia w czerwcu 2016 roku. Pojechałem do Wiednia, gdzie znajdował się klasztor filipinów,

którego to zakonu członkiem był ks. Schaffgotsch. Miałem tam okazję przez chwilę widzieć, jak wygląda Kościół katolicki w krajach, które nie znajdują się pod władaniem polskich biskupów i ich przywiązania do przaśnej, ludowej pobożności pomieszanej z ambicjami sarmackich wielmożów i nowoczesnych biznesmenów zarazem.

Ks. Rudolf zabrał mnie ze sobą do miasta, gdzie był umówiony na piwo z młodzieżą. Tak, siedział w koloratce w ogródku restauracyjnym na ulicy, gdzie każdy mógł go zobaczyć, i popijał piwo ze śmiejącymi się, kolorowo ubranymi młodymi ludźmi. Wspomniałem wtedy, jak w seminarium wykładowcy i przełożeni rozdierali szaty i jęczeli nad „strasznym zeświecczeniem”, nad „upadkiem tradycyjnych, świętych wartości”, które ich zdaniem dotknęły Kościół w zachodniej Europie. Przykład księży takich jak ks. Rudolf, którzy szli na piwo z młodzieżą, przytaczali nam jako ilustrację moralnej degrengolady. Pouczali nas, że w Polsce nam to na szczęście nie grozi, bo jesteśmy przedmurzem chrześcijaństwa i panuje u nas zdrowa, ich zdaniem, tradycyjna pobożność oraz surowa moralność. Twierdzili, że nie trzeba się bać afer pedofilskich, bo nigdy, przenigdy nie dojdzie u nas do tego, co stało się w Irlandii albo diecezjach amerykańskich. Jak w rzeczywistości wyszło, wszyscy wiemy. Dodam, że ks. Schaffgotsch, potomek prawdziwego szlacheckiego i arystokratycznego rodu, zachowywał się tak wobec mnie, jak i w ogóle wobec ludzi bez szczypty jakiegokolwiek wyniosłości, która to wyniosłość na każdym kroku wprost wylewa się z polskich duchownych.

Słyszałem już wiele propozycji naprawy stosunków w polskim Kościele. Ale nie sądzę, żeby którakolwiek z nich okazała się skuteczna. Pomijam oczywiście te propozycje polegające po prostu na rozpędzeniu całego tego towarzystwa. Tym niemniej bez naprawdę drastycznych posunięć nic się zrobić nie da. Zbyt wiele trzeba by zmienić, zbyt wiele

zastałych osadów poruszyć i nawet papież, człowiek posiadający na świecie bezprecedensową władzę nad instytucją, na której czele stoi, nie ma na tyle autorytetu, żeby móc taką reformę przeprowadzić. A trzeba by wziąć wszystkich biskupów i urzędników kurialnych, odrzeć ich z sutann i złotych łańcuchów, ubrać w dresy, powyciąganie swetry i dżinsy, a następnie zabrać im wszelkie środki utrzymania, żeby musieli poszukać sobie uczciwej pracy i się z niej utrzymać. Trzeba by posadzić ich wśród zwykłych ludzi w knajpie, gdzie mogliby dostać w gębę, jeśli zaczęliby zbyt zadzierać nosa, i gdzie musieliby posłuchać, czym naprawdę żyją ich wierni. W Kościele nie ma nikogo, kto by mógł coś takiego zrobić, a jeśliby dokonał tego ktoś spoza Kościoła, jakiś dyktator na przykład – zaraz by zakrzyknięto, że to prześladowanie chrześcijaństwa, zaraz by jego ofiary beatyfikowano i kanonizowano jako świętych męczenników. Tym samym taki dyktator tylko by zakonserwował i umocnił stary, zsiadły, gnijący system.

Następnego dnia pojechaliśmy do Niederleis, gdzie mieszkał brat ks. Rudolfa wraz z rodziną. Spodziewałem się zwyczajnego, jednorodzinnego domu, a tymczasem podjechaliśmy pod renesansowy zamek z pięcioma wieżami, fosą i wielkim parkiem dookoła. Były tam komnaty jak z muzeum, pełne zbroi, nobliwych portretów przodków, zabytkowych mebli i gobelinów, była nawet prywatna kaplica zamkowa. Brat księdza Rudolfa, Maximilian Schaffgotsch, był prawnikiem i miał w zamku swoje biuro. Po obiedzie jego żona, pani Marie, zadzwoniła do Wolf Science Center.

– Trzeba się zapowiedzieć – wyjaśniła. Gdy odebrano telefon oznajmiła, że mają gościa, który jest bardzo zakochany w wilkach i chciałby móc odwiedzić Centrum poza godzinami otwarcia dla odwiedzających i porozmawiać z naukowcami. Państwo Schaffgotsch są bardzo szanowani w okolicy, dlatego z miejsca otrzymałem zaproszenie na następny dzień.

Jechałem tam z bijącym sercem. Bo oto znów mogłem spojrzeć w oczy wilkom. Byłem tak zachwycony, że w pewnym momencie wyrwało mi się:

– Jeśli istnieje bóg, to jest to mój bóg.

Ks. Rudolf spojrział na mnie z uśmiechem i powiedział:

– Trochę to przerażające.

– Nie, to jest właśnie dla mnie teraz najpiękniejsze – odpowiedziałem.

Wilki zaczęły wyć. Dotychczas mogłem słuchać tej najcudowniejszej na świecie pieśni z daleka, a tutaj widziałem i słyszałem wilki wyjące kilka metrów ode mnie. Zawyłem z nimi, połączyłem swój głos z ich głosem. Młodzież na imprezach lubi sobie razem powrzeszczeć, bo to daje im możliwość poczucia więzi. Nie inaczej jest z wilkami, w końcu w skali rozmiarów różnorodności życia na Ziemi jesteśmy całkiem bliskimi sobie gatunkami. I ja mogłem więc poczuć więź z nimi. Odległą, trudną, naznaczoną wiekami krzywd i niesprawiedliwości, ale wciąż możliwą. Mogłem też porozmawiać z pracującymi w Centrum naukowcami. Zadałem im wiele pytań, oni chętnie na wszystkie odpowiedzi i zachęcali mnie, żebym swoje zainteresowania rozwijał.

Wieczorem ks. Schaffgotsch wziął kilka butelek wina. Siedzieliśmy do późna w nocy i rozmawialiśmy. Opowiedziałem mu o swoich losach, o spotkaniu z Wilkiem w lesie, o załamaniu i o tym, jak z niego wyszedłem. A on w pewnym momencie powiedział coś, czego mi dotąd brakowało. Zasiał we mnie pomysł na życie.

– Powinieneś pójść na biologię – powiedział, gdy mieliśmy za sobą już po butelce wina na głowę. – Aha, i weź sobie psa, jakiegoś takiego wilkowatego. Mówię ci, nie pożałujesz.

Oczywiście sam o czymś takim wcześniej myślałem, ale odrzuciłem tę myśl jako sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem. Miałem 32 lata i żyłem w kraju, w którym każdy, kto nie zrobi kariery jeszcze przed 19 rokiem życia,

jest przegrany (a przynajmniej taka tu panuje retoryka). Pracowałem za pensję nieco powyżej średniej krajowej, na trzy zmiany, nie zdawałem na maturze biologii, a co do psa, to nigdy nie miałem nawet chomika, więc gdzie mi do wielkiego malamuta czy wilczaka? Słowa ks. Rudolfa były dla mnie jednak tym momentem, gdy odrzucona wcześniej myśl powróciła. Byłem tuż po spotkaniu z wilkami, wciąż brzmiał mi w głowie ich cudowny śpiew. Zrozumiałem, że myśl o studiowaniu biologii odrzuciłem pochopnie, nie sprawdzwszy nawet, jak naprawdę wygląda wykonalność takiego planu.

Po powrocie poszedłem do swojego liceum zapytać, jak uzupełnić przedmiot, którego nie zdawałem na maturze. Okazało się, że sprawa jest stosunkowo prosta: trzeba napisać odpowiednie podanie do Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej z prośbą o dopisanie mnie do listy maturzystów danego roku. Trzeba we własnym zakresie przygotować się z materiału i w wyznaczonym dniu i miejscu przyjść na egzamin. Wstąpiła we mnie nowa energia. Ponieważ ostatnią lekcję biologii miałem bez mała czternaście lat wcześniej, postanowiłem, że po prostu zakupię kilka podręczników i codziennie krok po kroku będę powtarzał materiał, a gdy poczuję się odpowiednio przygotowany, złożę wniosek.

A pies? Zacząłem czytać wszystko, co wpadło mi w ręce na temat psów pierwotnych ras. Przeglądałem strony internetowe przeróżnych fundacji zajmujących się adopcją porzuconych lub odebranych właścicielom psów. Podpytywałem znajomych o weterynarzy i behawiorystów. Słowem, zdecydowałem się zafundować sobie solidne przygotowanie. Przy tej okazji dowiedziałem się, jak okrutnie traktowane są psy, zwłaszcza przez męską część polskiego społeczeństwa.

Dom boga wojny

W Kościele ewangelickim przynajmniej raz w miesiącu oprócz nabożeństwa wszyscy parafianie spotykają się na kawie na plebanii. Proboszczom katolickim również zdarza się organizować takie spotkania, ale jest między tymi z pozoru podobnymi zjawiskami pewna fundamentalna różnica. Wyjaśnię ją na przykładzie. Gdy byłem klerykiem i przebywałem na wakacjach w domu, mój ówczesny proboszcz, ks. Józef S., zwykł był w niedzielę po jednej z porannych mszy zapraszać wiernych na plebanię. Nie przychodzili tam jednak zwykli parafianie, tylko tacy z wyższej półki: bogaci przedsiębiorcy, lokalni politycy i w ogóle bardzo nobliwe towarzystwo. Mówię to oczywiście z wielkim przekąsem, bo w Polsce już tak jest, że pełno wśród nas ludzi, którym status i bogactwo przyszło bez solidnej podbudowy kultury osobistej i obycia. Próbują więc to nadrobić, karykaturalnie się puszczając, udając wielką arystokrację i na siłę prezentując maniery jak z Wersalu.

Kiedyś na taką kawę zaproszono pewnego pana, oficera marynarki handlowej, w którego intencji sprawowana była msza dziękczynna z okazji przejścia na emeryturę po czterdziestu latach pracy na morzu. Zaproszony usiadł skromnie na końcu stołu, za całym towarzystwem napuszonych osobistości, a ja jako nędzny kleryczyna zająłem miejsce obok. Nigdy nie byłem marynarzem, ale jak wielu chłopcom zdarzało mi się bawić w piratów i czytać książki marynistyczne. Nawiązałem więc rozmowę z tym panem, pytając o jego pracę i przygody na morzu. Mimo że rozmawialiśmy

cicho, w pewnym momencie proboszcz zerwał się z miejsca u szczytu stołu, podbiegł do nas i obydwu nas srogo zrugął, mówiąc:

– Słuchajcie tego, o czym my tam rozmawiamy, bo rozmawiamy o bardzo poważnych rzeczach!

Te „bardzo poważne rzeczy” to było wzajemne kadzenie: proboszcz do zaawansowanych wiekiem kobiet mówił: „dziewczęta” i chwalił ich urodę, podczas gdy one jęczały, jak to on pięknie powiedział to czy owo na kazaniu. Brzuchaci panowie, którzy w życiu rąk sobie przy pracy nie ubrudzili, a ich majątki zbudowali opłacani psimi pieniędzmi pracownicy, przechwalali się, jak to „sami do wszystkiego doszli”. Tak, bardzo, bardzo poważne rzeczy...

Tymczasem u ewangelików nikt arystokracji nie udaje, ludzie rozmawiają swobodnie, żartują, ba, rozmowy wcale nie obracają się wokół Boga i ewangelii. Oprócz spotkań na kawie zdarzają się i większe wspólne wydarzenia. Jesienią parafia ewangelicka zorganizowała coś w rodzaju pikniku. Jeden z członków zboru był właścicielem dużej agroturystyki w jednej z wiosek w Górach Izerskich i zaprosił do siebie na ognisko pastora wraz z wiernymi. Na spotkanie przyjechał też pewien pan nienależący do parafii, który był na kilku nabożeństwach, pokręcił się trochę wokół nas, a potem znikł – wielu takich ludzi się przez parafię przewija, bo drzwi ewangelickiego kościoła są dla wszystkich otwarte. Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach, ale pan ten napomknął w czasie rozmów przy ognisku, że przez wiele lat miał dużego psa. Oczywiście od razu postanowiłem skorzystać z okazji i wypytać o jego doświadczenia.

– Tak, miałem takiego – powiedział ten pan. – Ale się zestarzał i leki trochę kosztowały, to go sprzedałem jednemu chłopu na łańcuch.

Wypowiedział te słowa z taką swobodą, jakby mówił o zepsutej pralce. Dziś wielu, także niewierzących, naśmiewa się ze mnie, mówiąc, jakobym

„czcił wilki”, „psem pana Boga zastąpił” i tym podobne. W dzieciństwie wpojono im, że człowiek „umiera”, a pies „zdycha”, że człowiek „spożywa”, a pies „żre” i kurczowo się takiego światopoglądu trzymają. Ale ja, w przeciwieństwie do nich, doświadczyłem inteligencji zwierząt i wiem doskonale, że przewyższa ona ludzką.

Gdy pracowałem jako brygadzysta, do moich obowiązków należało między innymi szkolenie nowych pracowników. Praca w zakładzie, jak już pisałem, polegała na do bólu prostej czynności: odebrać produkt z taśmociągu, obejrzeć, czy nie ma niedolań lub nadlewów, i zapakować. Nic więcej. Dziś mogę z całym przekonaniem zaświadczyć, że przeciętny owad posiada inteligencję wystarczającą do wykonywania takiej pracy. Tymczasem na dziesięć osób, które się w tej fabryce zatrudniały, mniej więcej siedem nie potrafiło tych idiotycznie prostych czynności wykonać prawidłowo ani za pierwszym, ani za drugim, ani nawet za pięćdziesiątym razem. Dzikie zwierzę, które by się wykazywało takim poziomem zidiocenia, w swoim naturalnym środowisku już dawno byłoby martwe.

Pies, nie mówiąc już o wilku, o rzędy wielkości przerasta swoją inteligencją przeciętnego człowieka. Nie posiadając napisanego przez kolegów słownika ani dostępu do kursów językowych, jest on w stanie wydedukować sobie i zapamiętać znaczenie do 300 ludzkich słów, podczas gdy nawet polskiej elicie politycznej opanowanie jednego prostego języka obcego sprawia ogromne trudności. Mają do dyspozycji internet, słowniki, translatory, kursy i nauczycieli. A co by było, gdyby musieli sami, jedynie obserwując i słuchając rozmów obcokrajowców, zrozumieć ich język? Naukowcy, którzy szacują inteligencję badanych przez siebie zwierząt jako niższą od ludzkiej, popełniają ten błąd, że za normę ludzkiej inteligencji biorą swoją własną. Nie biorą pod uwagę tego, że są wyjątkami wśród miliardów głupców. Brutalne zetknięcie się z rzeczywistością panującą w

polskim społeczeństwie pogardy dla zwierząt było dla mnie wielkim wstrząsem. Poczuję się jak świadek okropnej zbrodni, o której nie wolno milczeć, ale trzeba ją nagłaśniać i piętnować.

Podanie o psa złożyłem w Fundacji Adopcje Malamutów 13 października 2016 roku. Jednym ze standardowych etapów w procedurze adopcji czworonoga jest sprawdzenie przez fundację, czy deklarowane przez kandydata warunki mieszkaniowe i finansowe odpowiadają prawdzie. Często się bowiem zdarza, że jakiś dureń – a ja mówię: zbrodniarz – bierze w opiekę dużego psa, lecz „zapomina” powiedzieć, że ma małe dzieci w domu. A kiedy zwierzę ze schroniska, które nie ma za sobą łatwego życia, nie pozwala się tarmosić i szturchać rozpuszczonej dzieciarni, zaraz podnosi się wielki krzyk, że to straszliwa, agresywna bestia z piekła rodem. W najlepszym wypadku taki pies wraca jeszcze bardziej okaleczony psychicznie do schroniska, a w najgorszym banda zbrodniarzy domaga się jego zabicia. Wiele osób zwracających się do fundacji adopcyjnych traktuje je jak hipermarket z psami. Uważają, że biorąc psa, robią fundacji łaskę, i traktują jej pracowników jak nędznych, głupich dworaków. Jednocześnie dziwią się, gdy ludzie ci odmawiają im psa, wiedząc, że skazaliby go na kolejne nieszczęście.

Przystąpiłem do kandydowania do adopcji psa z założeniem, że osoby, które psami się zajmują, lepiej ode mnie będą wiedzieć, czy i dla jakiego psa mój dom będzie odpowiedni. To oczywiste z pozoru nastawienie wielką trudność sprawia tym samym durniom, których tak straszliwie uwiera, gdy ktoś jak ja, wie, w czym jest dobry, utalentowany, jakie ma zalety i jasno o nich mówi. Jęczą potem tacy: „pokory trochę!”, a w sprawie, w której naprawdę pokora by się przydała, okazać jej nie potrafią. Myślę, że każdy z nas napotkał w życiu takich ludzi, bo jest to typ człowieka niestety bardzo w polskim społeczeństwie rozpowszechniony.

Fundacja Adopcje Malamutów przysłała do mnie panią Maję Wieczorską z zaprzyjaźnionej lokalnej Fundacji Północniaki, żeby odwiedziła mnie w domu. Przyszła ze swoim psem – suczką husky. I myślę, że to ona, a nie pani Maja dokonała prawdziwej inspekcji i oceny. Okazała mi ufność, a gdy zaczęliśmy rozmawiać z panią Mają, położyła się spokojnie na dywanie i zasnęła. Następnego dnia otrzymałem wiadomość od pani Martynty z Adopcji Malamutów, że zostałem oceniony pozytywnie i w związku z tym mam oczekiwać na wiadomość. Gdy znajdzie się pies odpowiedni dla mnie, zostaniemy sobie przedstawieni.

Minął miesiąc. Pod koniec listopada dostałem wiadomość, że jest ktoś, kto na mnie czeka. Grecki bóg wojny, Ares. Tak się nazywał dziesięcioletni malamut, odebrany interwencyjnie patologicznym właścicielom, a przebywający obecnie w schronisku fundacji Jamhudy – Molosowy Azyl Północy w Wałbrzychu. Dostałem numer telefonu do właścicielki schroniska, pani Izabelli Platy. Skontaktowałem się z nią i umówiliśmy się na spotkanie 18 grudnia 2016 roku po południu.

Był ponury zimowy dzień, tu i ówdzie leżał śnieg. W szybko zapadającym zmroku dojechałem do Wałbrzycha, zadzwoniłem do pani Izy i powiedziałem, że już jestem. Odpowiedziała, że zmierza w kierunku dworca razem z Aresem i że mam iść ulicą, to po drodze się spotkamy. Nigdy nie zapomnę tego momentu i jest on jednym z moich najświętszych wspomnień. Mroczne zimowe popołudnie, jedno z tych, które aż kusi, by nazwać je wieczorem. Ciężkie, zachmurzone niebo, z którego czasami spadają pojedyncze płatki śniegu. Długa, kręta, biegnąca w dół ulica, zakręt, tunel pod nasypem kolejowym. I tam, na zakręcie zobaczyłem wysoką kobietę idącą z nim, wielkim wilkowatym malamutem.

– Jaki pan młody – powiedziała Iza, gdy mnie zobaczyła.

– Ja tylko tak wyglądam – odpowiedziałem. – W rzeczywistości mam trochę więcej lat.

Iza bez dalszych ceregieli wręczyła mi smycz.

– No, to... bierz go pan.

Pierwszy raz w życiu szedłem połączony smyczą z dużym psem. Ares w ogóle tego dnia na mnie nie spojrzał. Szedł, obwąchiwał, co go tylko interesowało, ale mnie traktował z wyniosłą obojętnością. Na jego przyjaźń musiałem sobie jeszcze zasłużyć. Tym niemniej gdy tylko go zobaczyłem, poczułem, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Iza zabrała mnie na spacer po lesie. Mroczny, świerkowy bór pełen był charakterystycznego zimowego zapachu i tej przejmującej, martwej, wilgotnej, uroczystej ciszy, której za podkład służył bardzo delikatny, gdzieś z głębi, spoza drzew dochodzący szmer strumienia. Dużo rozmawialiśmy. Nawiązała się wtedy między nami nić porozumienia. Dziś nazywam Izę siostrą, bo znalazłem w niej bratnią duszę, dobrze rozumiejącą, jak bardzo wart splunięcia jest rozwrzeszczany ludzki świat, a każdy pies jest o wiele lepszym przyjacielem niż jakikolwiek człowiek. Opowiedziałem jej o swoich losach, o długiej drodze, jaką przeszedłem, żeby dziś, w tej uroczystej ciszy ciemnego lasu wędrować z Aresem, odtąd moim towarzyszem.

Zasadą jest, że psa powinno się brać do domu wtedy, gdy ma się wolne. Nie można go na samym początku zostawić samego w nowym otoczeniu i iść do pracy. Mój urlop zaczynał się dopiero za tydzień. Umówiliśmy się więc, że w piątek, 23 grudnia, przyjadę po Aresa. Żeby nie stresować psa podróżą pociągiem wśród mnóstwa nieznanymi ludzi, poprosiłem kolegę z pracy, żeby pojechał ze mną do Wałbrzycha po psa. Marcin, który sam wziął kiedyś dwa psy ze schroniska, chętnie się zgodził. Zajechaliśmy w ciemny, zimowy wieczór przed bramę schroniska. Mieściło się ono na

terenie starego poniemieckiego zakładu produkcji płótna. Portier wpuścił nas i powiedział, że Iza przyjdzie za chwilę.

Gdy tak czekaliśmy, strażnik zagadnął:

– Panowie po Aresa, zgadza się? – Gdy usłyszał potwierdzenie, pokiwał głową. – Taaak... – mruknął. – Ares to łagodniutki jest. Nie to, co ten.

Wskazał na stojący na podwyższeniu za budynkiem portierni kojec. Coś białoszarego przemknęło w półmroku.

– Ten to tylko niektórym pozwala do siebie podejść. Inaczej atakuje...

Jakby na potwierdzenie zadzwoniła kratka kojca, silnie trącona łapą ledwo widocznego w półmroku dużego psa. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przyjdzie mi się z tym akurat psem zapoznać. Pojawiła się Iza. Spisaliśmy umowę adopcyjną, otrzymałem książeczkę zdrowia Aresa... i tak zaczęła się przygoda. Wielka, piękna przygoda, której by nie było, gdyby nie Las, gdyby nie moje szaleństwo, załamanie, gdyby nie bolesna przemiana i gdyby nie spotkanie z Wilkiem. Odtąd mój dom stał się domem Aresa, boga wojny.

Śmierć, która znaczy więcej

Ares miał swoje lata, ale wciąż potrafił przejść wiele kilometrów po górach. To była istna magia. Wszystkie te miejsca, które z nim odwiedzałem, były mi przecież doskonale znane, ale gdy po raz pierwszy przyszedłem tam z towarzyszem, miałem wrażenie, że widzę je jakby zupełnie innym okiem. Światło było jakby bardziej świetliste, barwy jakby żywsze, Las bardziej potężny, piękny, bardziej mój. Pewnie dlatego, że nasz. Oczywiście nie obyło się bez problemów. Przeciwnie, Ares okazał się bardzo agresywnym psem, widać było jak na dłoni, że musiał bardzo wiele zła zaznać od ludzi. Nikomu poza mną nie pozwalał się dotykać, a nawet ja, gdy chciałem mu na przykład usunąć kleszcza, musiałem długo go przekonywać, żeby mi na to pozwolił. Ale dokładnie o tym marzyłem, biorąc psa ze schroniska. Chciałem, by towarzyszył mi ktoś niezależny, ktoś, kto nie będzie mi posłuszny. Chciałem przyjaciela, który podzieliłby ze mną ukochanie wolności, i to tej wolności rozumianej nie na sposób chrześcijański, ale wolności wyuzdanej, w której każdy może być sobą, myśleć, jak mu się podoba, i kochać, kogo chce.

To właśnie chrześcijaństwo tak rozumie wolność, że każe ludziom trzymać psa na łańcuchu, im cięższym, tym lepiej. Chrześcijańska kultura każe im mówić: „to tylko pies” i używać tego miana jako obelgi: „ty psie”, „ty suko”. To z chrześcijaństwa i jego wypaczonych wartości wypływa często powtarzane, okrutne twierdzenie, że „pies powinien znać swoje miejsce”. Za tym paradygmatem podległości świata naturalnego

człowiekowi stoi Jezus Chrystus, ten, któremu nie w smak była dociekliwość i żądanie dowodów („błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”), który nie wiedział, kiedy owocują drzewa, i przeklął figowiec za to, że ośmielił się nie mieć owoców w czasie, gdy owoców na mocy praw natury mieć nie mógł. Ten sam Jezus, który zadziwiająco obsesyjną nienawiścią darzył całą rodzinę psowatych, używając to wilka, to psa, to lisa jako symboli okrucieństwa, podstępu, podłości, nieczystości, pogaństwa, wyuzdania, jako symbolu Diabła i jego sług.

Czas moich wędrówek z Aressem był czasem, gdy wreszcie zacząłem się zastanawiać, jak to jest z tą wyznawaną dotychczas przeze mnie religią. Zacząłem dostrzegać, że ludzka arogancja wobec Przyrody jest prostym wynikiem słów ewangelii, chrześcijańskiej wiary i chrześcijańskich przeświadczeń.

„Czyńcie sobie ziemię poddaną” – mówi Biblia. A ja pytam: jakim prawem? Jakim prawem istota tak obrzydliwa jak człowiek ma panować nad istotami tak pięknymi i inteligentnymi, jakie nas otaczają: nad zwierzętami, nad roślinami? Jakim prawem, skoro ludzie są w przeważającej liczbie idiotami, którzy potrafią tylko niszczyć, mordować i krzywdzić?

Ponownie przeczytałem Biblię. I zrozumiałem, w jakim błędzie są ludzie, w tym wielu ateistów, gdy mówią: ten Bóg Starego Testamentu to jest okropny, ciągle grozi karami, ciągle się gniewa. Ale za to Jezus! On jest super! U niego Bóg jest Bogiem miłości, to Bóg kochający, miłosierny, sama słodycz! Nie wiem, co omamia ludzi, że czytając Biblię, nie widzą i nie rozumieją, co naprawdę jest tam napisane. Bóg Starego Testamentu sroży się bez przerwy i karze, to prawda. Ale jak karze? Chorobą, wojną, głodem, niepowodzeniem w interesach, niewiernością współmałżonka... czyli rzeczami jak najbardziej naturalnymi, które spotykałyby ludzi i

spotykają niezależnie od tego, czy ten Bóg by istniał, czy nie. Co więcej, nigdzie Bóg Starego Testamentu nie powiedział, że czegokolwiek wymaga od Polaków, Niemców, Czechów czy członków plemienia Szoszonów. Wyraźnie i wielokrotnie oznajmił, że jego przykazania są dla Żydów i dla nikogo innego. Wreszcie Bóg ten konkretnie mówi, czego chce: zachowywania szabatu, niejedzenia wieprzowiny, kwarantanny trędowatych, zakopywania swojej kupy poza obozem i niefałszowania wagi.

Natomiast Bóg w nauczaniu Jezusa Chrystusa jest zupełnie inny. Nie wystarczy mu Żydzi: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony” (Mk 16, 15-16). Jezus nakazuje kochać wszystkich ludzi bez wyjątku, ale mówi także: „Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem”. Oczywiście bibliści zaraz podniosą wrzawę, że nie należy tego dosłownie rozumieć. A ja pytam: a dlaczego nie? Bo nie pasują te słowa do wizji słodkiego Jezusa?

Jezus nie umie powiedzieć, czego tak naprawdę chce od swoich wyznawców i od czego uzależnia ich wieczysty los po śmierci: raz mówi: „każdy, kto uwierzy” otrzyma zbawienie. Innym razem jednak stwierdza, że oczekuje konkretnych czynów: „łaknąłem, a nie daliście mi jeść, pragnąłem, a nie daliście mi pić, byłem przychodniem, a nie przyjęliście mnie, chorym i w więzieniu i nie odwiedziliście mnie” (Mt 25, 42-43). Kiedy indziej na wyraźne pytanie o to, co trzeba zrobić, żeby osiągnąć życie wieczne, odpowiada: „Znasz przykazania: nie cudzołóż, nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, czcij ojca swego i matkę swoją” (Łk 18, 20). To mu jednak nie wystarczy, bo chwilę później zmienia zdanie i chce jeszcze, żeby pytający sprzedał wszystko, co ma, rozdał

ubogim, a potem przyszedł do niego i go naśladował. Zadajmy sobie jeszcze pytanie: w czym należy naśladować Jezusa? W tym, że miał wielkie mniemanie o sobie i uważał się za boga, zbawiciela, mesjasza? W tym, że żył na koszt kobiet, które „usługiwały mu ze swego mienia” (Łk 8, 3)?

Najgorsze jest jednak to, że swoje niedorzeczne i sprzeczne ze sobą wymagania stawia Jezus, grożąc za ich nieprzestrzeganie wiekiustą, czyli nieskończoną w czasie karą cierpień w piekle, cierpień tak fizycznych, jak i duchowych. Z jakże wielką miłością zapewnia tych, którzy do piekła trafią, że „robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie” (Mk 9, 44). Czy można miłosiernym nazwać Boga, który za skończone w czasie winy karze nieskończoną w czasie i wymiarze męczarnią? Czy można go nazwać chociaż sprawiedliwym? Gdzie tu jest sprawiedliwość, gdy ludzkie błędy są ograniczone doczesnością, ale kara jest wieczna? Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że Jezus Chrystus jest potworem, a niesprawiedliwość i okrucieństwo jego nauczania są nieskończone jak potępienie, którym grozi.

Oczywiście Jezus mówi też o wiecznej nagrodzie dla tych, którzy jakimś cudem jego nieokreślone wymagania spełnią. Problem w tym, że ani razu nie powiedział, jak ta wieczna nagroda miałaby wyglądać. Jeśli przeczytamy Nowy Testament, znajdziemy na ten temat wyłącznie mnóstwo niedopowiedzeń i dziwacznych, mało konkretnych sformułowań, które wcale nie obiecują niczego dobrego. Wygląda bowiem na to, że w niebie „zbawieni” będą wiekiście stać na baczność i wiecznie chwalić Boga. Nic dodać, nic ująć – plac Czerwony czasów Stalina.

Bóg Jezusa to sadysta, obrażający się o byle co i całkowicie nieprzewidywalny, co zresztą sam chełpliwie zaznacza: „Wielu powie mi w owym dniu: «Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia, i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia, i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia?». Wtedy oświadczę im: «Nigdy was nie

znałem. Odejdźcie ode mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości!»” (Mt 7, 22). Gdyby choć raczył powiedzieć, co uważa za „nieprawość”, w całym tekście Nowego Testamentu nie znajdziemy jednak jednoznacznej i pozbawionej wewnętrznych sprzeczności definicji tego słowa.

A co z przykazaniem miłości, za które Jezus jest uwielbiany? Mogę powiedzieć tylko jedno: tylko człowiek, który nigdy nikogo nie kochał, mógł wpaść na tak chory pomysł, że miłość można nakazać. Tylko potwór niezdolny do żadnych pozytywnych uczuć, chorobliwie żądny władzy może jak Jezus mówić o miłości tylko w kontekście przykazania, nakazu, posłuszeństwa i wiecznej okrutnej kary. „To wam przykazuję, abyście się wzajemnie miłowali” (J 15, 12). W innym miejscu mówi: „Kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten mnie miłuje” (J 14, 21). Oczywistym jest, że Jezus pod słowem miłość rozumie coś całkowicie innego niż jakikolwiek normalny człowiek. Dla niego miłość to posłuszeństwo. Ani razu w Nowym Testamencie nie znajdziemy też miejsca, w którym Jezus wyraźnie zadeklarowałby, że kogoś kocha. Nie wiem więc, na jakiej podstawie chrześcijanie wciąż atakują innych zapewnieniem: Jezus cię kocha!

Wielu twierdzi, że doświadczyli miłości Jezusa, jak mówią, poczuli jego bliskość. No cóż, i mnie się kiedyś wydawało, że czuję bliskość Jezusa. Tak było do momentu, gdy po raz pierwszy w życiu przytuliłem się do drugiego chłopaka – geja. Poczulem wtedy, co to jest prawdziwa bliskość, przy której całą tę mistyczną obecność Boga, Chrystusa czy Ducha Świętego można spokojnie wyrzucić na śmietnik i przestać sobie nią zawracać głowę.

Nie obchodzi mnie to, że wielu się moje poglądy nie spodobają. Pogodzony ze swoją naturą do tego stopnia, że jestem z niej dumny, przemieniony przez Las i wilcze spojrzenie, olśniony wiedzą o Przyrodzie i z Aressem u boku zrozumiałem, że jako chrześcijanin wierzyłem w potwora

i szukałem miłości u kogoś, kto – jeśli nawet istnieje – nie jest do niej zdolny. Zrozumiałem, że dorośli mnie okłamali, gdy byłem mały, a moja dziecięca intuicja dobrze mi podpowiadała, gdy przytulałem się we śnie do szatańskiego Wilka i płakałem w bezsilnym sprzeciwie przeciwko wszechobecnemu terrorowi tyrana z krzyża.

W przeciwieństwie do Kościoła katolickiego, Kościół ewangelicki, mimo powoływania się na Biblię, niezupełnie przejmuje się jej słowami. Na własne uszy słyszałem wywód pewnego pastora, który twierdził, że Bóg nie potępia homoseksualizmu. Jakoś nie przeszkadzało mu to, co mówi Nowy Testament: „Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiadą królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołóżnicy, ani rozwieżli, ani mężczyźni współżyjący z sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdierycy nie odziedziczą królestwa Bożego” (1Kor 6, 9). Gdy go o to zapytałem, próbował przekonywać mnie, jakoby oryginał grecki został tutaj źle przetłumaczony, w czym nie miał ani trochę racji. Jak widać, problem z Biblią polega na tym, że nie istnieje takie zdanie twierdzące, którego nie dałoby się nią uargumentować. Zamykałem ją po raz ostatni w życiu ze świadomością, że kończy się powoli czas mojego chrześcijaństwa.

Kościół ewangelicki to Kościół, w którym ponad wszelkimi słowami biblijnymi stoi zdrowy rozsądek, i jest to jego wielka zaleta. Dlatego postanowiłem, że zanim odejdę ze wspólnoty, zrobię dla niej coś dobrego. Okażę jej, że naprawdę dziękuję za ten piękny czas w niej spędzony i doceniam to, jak tworzący ją ludzie podchodzą do swojej wiary. Akurat w tym czasie brakowało organisty. Zaoferowałem więc proboszczowi, że założę w parafii chór. Zgłosiło się kilka osób. Zaczęliśmy od podstaw: prawidłowego oddychania, nabierania powietrza do śpiewu, dykcji, emisji głosu i tak dalej. Potem uczyliśmy się pierwszych prostych pieśni. Z

czasem repertuar chóru urósł do pokaźnych rozmiarów. Pojawiły się śpiewy na głosy. Śpiewaliśmy oczywiście pieśni kościelne. Wiele razy pojawiały się w nich wezwania takie jak: „Panie”, „Boże mój” i tym podobne. Cały kawał polegał na tym, że gdy moi chórzyści śpiewali „Panie”, mieli zapewne na myśli Jezusa. Ale ja miałem na myśli kogoś zupełnie innego. Ale czy to miało znaczenie? Grupa ludzi przeżyła piękne chwile: wspólne próby, radość po udanym występie. Proboszcz się cieszył, mówił, że wydatnie podniósł się zarówno poziom muzyczny wszystkich parafian, jak i repertuar znanych i śpiewanych melodii. A ja cieszyłem się, że mogłem to wszystko im na pożegnanie ofiarować.

Ares szybko się starzał, a z jego zdrowiem było coraz więcej problemów. Nie wiem skąd, może przyjaciel w jakiś niewerbalny sposób zdołał mi to powiedzieć, ale wiedziałem, że naprawdę bliski jest dzień rozstania. Miałem możliwość dużo wcześniej wszystko przemyśleć i się na ten dzień przygotować.

Zwierzęta lepiej niż ludzie rozumieją zjawisko śmierci. Jeśli tylko mają możliwość, w dniu, gdy wiedzą, że wszystko skończone, znajdują jakieś miejsce, obierają je za miejsce śmierci i wszelkimi siłami, jakie im jeszcze zostały, bronią go. Kładą się, czekając na koniec.

Malamuty podobnie jak każda rasa psów pochodzą z wyspecjalizowanych ludzkich hodowli, a człowiek nie działa tak, jak Dobór Naturalny, nie wybiera najzdrowszych osobników, tylko najbardziej mu przydatne: niektóre rasy wyhodowano do polowań, inne jako psy pasterskie, jeszcze inne ze względów czysto estetycznych. Wadą genetyczną między innymi malamutów jest to, że w pewnym momencie ich tylne łapy stają się kompletnie bezwładne, a za tym idzie zaraz cały szereg problemów: dysfunkcja układu trawiennego, czasami utrata wzroku i wiele, wiele innych. Jeszcze pod koniec marca 2018 roku Ares zdołał wejść ze

mną na górskie zbocze powyżej Kotła Małego Stawu. Był to jednak ostatni taki jego wyczyn. Z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień coraz szybciej i szybciej tracił siły. Na początku maja po raz pierwszy zdarzyło mu się upaść na ulicy i tylko z trudem zdołał się podnieść.

W pierwszym tygodniu czerwca wypadła mi w pracy nocna zmiana. Pamiętam, jak wychodziłem do toalety, żeby móc niewidziany przez nikogo płakać. Gdy 8 czerwca wróciłem do domu o siódmej rano, ujrzałem Aresa leżącego w miejscu, gdzie z jakiegoś powodu nigdy się nie kładł: tuż obok mojego łóżka, równoległe do niego. Bezskutecznie próbowałem zachęcać go, by spróbował wstać, ale już nie mógł. Gdy spróbowałem go ruszyć, gwałtownie zaprotestował. I patrząc w jego oczy, zrozumiałem. On już wiedział, że to koniec. On znał prawdę o śmierci, a mnie, głupiemu człowiekowi, pozostało jej przemożny wyrok zaakceptować, tak jak zaakceptował go on.

Kupiłem kwiaty i dwa ceramiczne naczynia. Zadzwoiłem do przyjaciół, którzy już wcześniej zaoferowali się, że gdy nastanie czas, pomogą mi przewieźć ciało. Umówiłem się z weterynarzem, żeby przyjechał wieczorem. Później wziąłem wino i siedząc przy Aresie, cały dzień żegnałem się z nim, głaszcząc go i tuląc. I przysiągłem mu, że na jego grób któregoś dnia przyniosę doktorat z biologii. Ares to zasypiał, to budził się tylko po to, żeby na mnie patrzeć. A jego wzrok dopełnił tego, czego się przy nim nauczyłem i co pojąłem.

Wieczorem przyjechał weterynarz. Powiedziałem mu:

– Jeśli byłaby taka możliwość... ja chcę to zrobić. To moja rola, moje zadanie.

– Dobrze, ja założę wenflon, a potem powiem panu, co robić.

I tak odprowadziłem swojego wilka tam, gdzie każde zwierzę idzie: do ziemi, by spłacić jej dług, który zaciąga się, żyjąc i żywiąc się. Jako ostatni

dar w dwóch ceramicznych naczyniach położyłem Aresowi wodę i jedzenie na znak, że do końca byłem mu wierny, do końca zapewniałem wszystko, czego potrzebował. Tak jak powinien zrobić każdy człowiek, który bierze na siebie ten szlachetny obowiązek goszczenia psa w swoim domu. Chcę podkreślić to, co napisałem: do końca byłem mu wierny. Ja, człowiek. Nie pies ma być wierny człowiekowi, ale człowiek psu, dlatego, że każdy pies jest istotą o wiele więcej wartą od człowieka, istotą wyższą, jest łaską Przyrody podarowaną jako gest dobrej woli wobec ludzi, a której ci w większości nie odwzajemnili. Człowiek – i chcę, żeby to wyraźnie wybrzmiało – jest błędem ewolucji, błędem Przyrody, ale też błędem, którego się Przyroda nie wyrzekła. A pies stanowi znak, powiedziałbym wręcz: ostatni sakrament, dzięki któremu jest możliwe, żeby człowiek – błąd Przyrody – błędem być przestał.

Przeżyłem ten ostatni dzień z Aresem nie w rozpacz, ale uroczystość, z uniesieniem, bo Ares nauczył mnie, że śmierć naprawdę jest definitywnym końcem, że nie ma żadnych dusz, żadnego życia wiecznego. Każdy idzie do ziemi, z której został wzięty. Gdy po męczącym dniu padamy na łóżko, marząc tylko o śnie, nie zastanawiamy się, co będzie jutro i czy w ogóle jakieś jutro będzie. Tak samo po bardzo męczącym, pełnym wrażeń i bardzo długim dniu naszego życia idziemy odpocząć, odpocząć na zawsze, odpocząć od istnienia.

A jeśli życie się nie kończy, to dlatego właśnie, że idąc do ziemi, na powrót stajemy się poprzez rozkład częścią wielkiego i niezmiernego obiegu materii. Cząstki chemiczne, które budowały nas, budować będą jeszcze wiele, wiele żyć. Bakterie, zarodniki grzybów, niesporczaki i wiele innych istot na tej planecie potrafią bez żadnej szkody dla siebie przetrwać podróż kosmiczną, a od tych trzech i pół miliarda lat wiatry i prądy wstępujące wyrzucają w kosmos wiele takich zarodników życia. Kto wie,

na ile planet mijanych po drodze, gdy Ziemia wraz ze Słońcem okrążyła centrum galaktyki, padły takie zarodniki, na ilu planetach, księżycach czy kometach znalazły one wystarczające warunki do rozwoju. Tak, biosfera Ziemi jest niezniszczalna, nawet to, że za miliard lat Ziemia spłonie, pochłonięta przez Słońce, nie zakończy jej historii. Odtworzy się, jeśli jeszcze tego nie zrobiła, i trzeba by cały Wszechświat zniszczyć, żeby przerwać tę ciągłość życia.

Tamtego uroczystego dnia zrozumiałem, że w przeciwieństwie do śmierci okrutnego dyktatora z krzyża, ta śmierć, śmierć Aresa, znaczy dla mnie bardzo wiele. Towarzysz drogi odszedł, lecz pamięć o nim nie zginie, póki ja będę żył. I póki trwać będzie Las, którym każdy z nas w końcu się stanie, gdy zjednoczy się z nim, oddając dług swojego życia Przyrodzie. Świetliki rzadko pojawiają się wcześniej niż w drugiej połowie czerwca. Ale w noc po śmierci Aresa łąki za miastem zaroily się od opalizujących zielonych świateł, jakby na cześć tego, który odszedł.

Nie ma żadnego boga, który by za nieposłuszeństwo i niespełnianie jego idiotycznych zachcianek zsyłał na wiekiście męki do piekła, który by się na wieczność mścił za urażoną pychę. Nie ma żadnego boga, który w najlepszym wypadku w przyływie miłosierdzia wybaczyłby grzechy, a w nagrodę kazał na wieczność stać na niebiańskim placu Czerwonym i śpiewać hymny ku swojej chwale, bo ciągle mu mało pochwał, mało uwielbienia i upodlenia płożących się u jego stóp wyznawców. Spójrz w oczy umierającego psa, a zrozumiesz, że mam rację.

Wyrzekam się Jezusa Chrystusa i wszystkich ludzkich bogów

Tydzień później pojechałem do Wałbrzycha, do Izy. Gdy szedłem z dworca, zobaczyłem znów to miejsce, gdzie pierwszy raz ujrzałem Aresa tamtego mrocznego, cichego, zimowego wieczoru. Wezbrała we mnie tęsknota i żal za towarzyszem i szedłem, ledwo powstrzymując łzy. Doszedłem do schroniska i, czekając na Izę, usiadłem przy portierni. Za plecami miałem kojec, a w nim tamtego agresywnego, niebezpiecznego psa, którego tak nam przedstawił strażnik, gdy przyjeżdżaliśmy zabrać Aresa do mojego domu. Siedziałem tam i płakałem. Nie widział mnie nikt z ludzi, ale widział on: wyprostowany, dumny, wilczy samiec w kojcu przy portierni.

Przyszła Iza. Spędziliśmy dzień, wspominając psa, którego oboje kochaliśmy, a potem Iza zaprowadziła mnie do Barona. Był to schorowany staruszek, odnaleziony rok wcześniej w straszliwym stanie gdzieś na szosie między Szklarską Porębą a Jakuszykami. Nie dawano mu wielkich szans, trafił do schroniska prowadzonego przez Izę właściwie tylko po to, żeby zapewnić mu w miarę dobrą śmierć. Ku zdziwieniu wszystkich Baron miał jednak wielką chęć życia. Wygrzebał się, ozdrowiał na tyle, że wprowadził wszystkich w osłupienie. Pies, który wydawał się stać na progu śmierci, nagle okazał się pełen chęci do życia, spacerów, zabawy.

Niestety nie zmieniało to faktu, że był bardzo stary. Różnie oceniano jego wiek, jedni twierdzili, że ma około jedenastu lat, inni – że nawet

czternaście. Wymagał stałego podawania leków, których łączny koszt był dość wysoki. Dlatego, choć po wyzdrowieniu nadawał się do adopcji, nie znalazł się nikt, kto chciałby lub mógłby go przyjąć. A czas mijał.

Nie zapomnę wzroku, jakim Baron mnie obdarzył, gdy do niego przyszedłem. Widywaliśmy się już wcześniej, w końcu spędził u Izy ponad rok, a ja często przyjeżdżałem z Aresem w odwiedziny. Ale teraz patrzył na mnie tak, że od razu zrozumiałem, że jestem jego jedyną nadzieją na to, na co każdy pies bezwzględnie zasługuje, a tak niewiele z nich otrzymuje: miłość człowieka aż po koniec życia. Wziąłem go do domu, wiedząc, że nowego towarzysza przyjdzie mi pożegnać jeszcze szybciej niż tego, który dopiero odszedł. Baron ofiarował mi czas wytchnienia i zatrzymania, którego bardzo potrzebowałem. Złożyłem wtedy wniosek o przystąpienie do egzaminu maturalnego z biologii, więc musiałem skupić się na nauce. Baron był doskonałym towarzyszem tego etapu. Nie mógł daleko chodzić, był już słaby, więc szliśmy do parku, gdzie siadaliśmy razem, a ja otwierałem książkę i uczyłem się.

W tym też czasie przy pomocy znajomego z parafii ewangelickiej założyłem swoją stronę internetową zatytułowaną Świątynia Wilka (templeofwolf.eu) i tam zacząłem dzielić się tym, czego nauczył mnie Las, czego nauczyła mnie moja przemiana, spotkania z wilkami, przygody z Aresem, czego wreszcie nauczyła mnie ta wielka, piękna i – w przeciwieństwie do teologii – prawdziwa nauka o życiu, czyli biologia.

Wielką krzywdę robi dzieciom obowiązująca w Polsce podstawa programowa tego przedmiotu w szkole. Według niej o ewolucji i Prawie Doboru Naturalnego należy powiedzieć na samym końcu, wstydliwie, ot, napomknąć, ale delikatnie, żeby broń Boże nie urazić tak zwanych uczuć religijnych. Problem w tym, że Prawo Doboru Naturalnego nie jest przypuszczeniem, ale faktem. Jest lepiej opisane i udowodnione niż prawa

Keplera. Gdy słyszę to żalosne, ciągle powtarzane chrzanie, że ewolucja to jakoby tylko teoria, to mam ochotę odpowiedzieć: grawitacja to też tylko teoria. Możesz ją sprawdzić, wyskakując przez okno.

Tylko dyletantom Przyroda może się wydawać zaprojektowana przez dobrego Boga i pełna harmonii. Każdej bowiem rzeczy, która w Przyrodzie funkcjonuje tak, jak trzeba, towarzyszą tysiące śladów dawnych błędów, pomyłek, a każde rozwiązanie problemu jest czystą fuszerką, czymś w rodzaju naprawy samochodu na gumę do żucia i taśmę klejącą. Receptory w naszym oku są skierowane w stronę przeciwną do soczewki, przez co cały czas, gdy coś widzimy, spoglądamy tak naprawdę przez plątaninę przewodów nerwowych. Nasz mózg musi cały czas dopowiadać sobie i uzupełniać to, czego z powodu takiej inżynierskiej niedorzeczności nie widzimy.

Albo weźmy taką blaszkę mięśniową błony śluzowej jelita. Jest to cienka warstewka komórek mięśniowych, która ma za zadanie potrząsać błoną śluzową, umożliwiając lepsze wchłanianie treści pokarmowej. Ma swoją ściśle określoną funkcję i dlatego, jeśli potraktujemy ją jako jednolitą całość, wydaje się elementem dobrze zaprojektowanego mechanizmu. Jednak wystarczy spojrzeć przez mikroskop na wycinek tej tkanki i zobaczyć, ile milionów komórek ją tworzy. Każda komórka jest przecież bardzo złożonym mikroorganizmem. Dobry inżynier nie pozwoliłby sobie na takie marnotrawstwo środków, żeby budować z tak skomplikowanych tworów warstwę, której jedynym zadaniem jest wykonywanie rytmicznych drgań. Naprawdę można by ten sam efekt osiągnąć o wiele mniejszym kosztem.

Chodząc po górach, widziałem ruiny rozsypujących się domów, resztki fundamentów dawnych budowli, pogrzebane w lesie, zapomniane, niszczące. Wszystko, co jest „zaprojektowane” przez inteligentną istotę,

wymaga ciągłych remontów, inaczej się rozsypuje. Nie powstało samo z siebie i dlatego samo z siebie trwać nie może. A Przyroda? Trwa sama z siebie. Logiczne jest, że i powstać musiała tak samo. Niepotrzebna jest jej żadna „pierwsza przyczyna”, żadna boska istota. Mało tego, zobaczyłem, jak poniżające jest dla Przyrody posądzanie jej, że została stworzona przez brudnego, galilejskiego guru.

Był taki bóg Azteków Tezcatlipoca. Wśród wielu jego imion było i takie, które oznaczało mniej więcej: „ten, który stworzył się sam”. Tak oto rdzenni mieszkańcy Ameryki, przez chrześcijan nazywani dzikusami, lepiej zrozumieli funkcjonowanie świata. Chrześcijanie głoszą, że Wszechświat nie mógł powstać sam z siebie, bo wszystko ma swoją przyczynę, a przyczyną Wszechświata jest Bóg. Lecz w takim razie co jest przyczyną Boga? Chrześcijanie odpowiedzą, że Bóg nie ma przyczyny sprawczej. Ale przecież sami przed chwilą powiedzieli, że wszystko ma swoją przyczynę, więc i Bóg powinien ją mieć. „Bóg jest wyjątkiem” – odpowiedzą chrześcijanie. Skoro jednak od zasady, że wszystko ma swoją przyczynę, może być wyjątek, czemu tym wyjątkiem nie mógłby być sam Wszechświat? Wszechświat może wszak być wieczny, ale pulsujący, raz się zapadać, raz rozszerzać. Wielki Wybuch, często przywoływany przez chrześcijan jako dowód na akt stwórczy Boga, jest zdarzeniem kwantowym. Tym samym nie podlega prawom arystotelesowskiej, zmurszałej filozofii. Wręcz przeciwnie, sama natura tego wydarzenia przeczy, żeby mogło mieć ono jakąkolwiek przyczynę. Po więcej wiedzy w tym temacie odsyłam do książek Stephena Hawkinga.

Wiele osób jako dowodu na istnienie Boga używa takich procesów biochemicznych jak oddychanie, ponieważ, jak twierdzą, coś tak misternego nie mogło powstać przez przypadek. Już samo skomplikowanie tych procesów mówi nam jednak coś innego. Cały proces pozyskiwania

tlenu, przerabiania glukozy na energie, mogłby być o wiele prostszy, gdyby go solidnie zaplanował. Jest to natomiast łańcuch mnóstwa przemian chemicznych rozrośnięty do absurdalnych rozmiarów, wyraźnie tym samym pokazujący, że jest wynikiem bezcelowej, bezwładnej siły Doboru Naturalnego, a nie skutkiem przemyślanego projektu.

W trakcie nauki do egzaminu maturalnego raz po raz poznawałem nowe dowody tego, że żaden Bóg – Stwórca w powstaniu Przyrody nie miał udziału. Nawet tak podstawowy w biologii proces, jakim jest fotosynteza, może posłużyć za przykład. Jest ona fundamentem życia. Mocą energii świetlnej czerpanej ze słońca rośliny przemieniają cząsteczki dwutlenku węgla z powietrza w glukozę, podstawowy składnik energetyczny, stanowiący paliwo dla wszelkich procesów życiowych. Do przeprowadzenia fotosyntezy większość roślin używa wadliwych enzymów, takich jak karboksylaza rybulozo-bisfosforanowa, która wykazuje większe powinowactwo do tlenu atmosferycznego niż do dwutlenku węgla, a przecież to właśnie on jest tutaj niezbędny. Rośliny muszą więc produkować dodatkowe enzymy naprawcze. Mamy tu ewidentny błąd i łatkę, poprawkę.

Ten i wiele innych przykładów świadczą o tym, że jeżeli Wszechświat byłby dziełem jakiegoś inteligentnego Stwórcy, to trzeba by przyjąć, że jest on niedoświadczonym przygłupem, który musi metodą prób i błędów realizować swoje pomysły. Jednak nawet wtedy po kilku, kilkunastu próbach nauczyłyby się chyba, jak coś prawidłowo skonstruować. Tymczasem w Przyrodzie obserwujemy ślady miliardów nieudanych prób. Dokładnie tego należałoby oczekiwać we Wszechświecie, który stworzył się sam, a wszystko w nim powstaje przez przypadek.

Czymże jest Wszechświat, jeśli nie zbiorowiskiem nieprzeliczalnej ilości atomów, które miały czternaście miliardów lat na to, żeby zwykłym

przypadkiem połączyć się w bardziej złożone struktury: związki chemiczne, biopolimery replikujące się, następnie w komórki żywe, z komórek w kolonie, proste wielokomórkowe organizmy, aż po te najbardziej skomplikowane i złożone, do których należą ssaki, a wśród nich i my? Na tyle prób, których liczba przy takiej ilości atomów i przy takim bezmiarze czasu jest wprost niewyobrażalna, powstanie życia tak złożonego jak nasze jest pewnikiem. Trzeba pamiętać, że wraz z tym, jak przypadek produkował coraz bardziej złożone struktury, jedne wpływały na drugie, zależności coraz bardziej się komplikowały, a tym samym udział przypadku był coraz mniejszy. Zwiększało się też oddziaływanie coraz większego łańcucha przyczyn i skutków nakładających się na siebie, co w rezultacie ukonstytuowało prawa, takie jak Prawo Doboru Naturalnego, którymi życie kieruje się i według których się rozwija.

Zrozumiałem to wtedy, podczas słonecznych jesiennych dni, z kochanym staruszką Baronem drzemającym przy mnie i książką do biologii na kolanach. Oszłomiła mnie ilość dowodów na to, że wszelka wiara religijna jest absurdalna. Przeraziło mnie to, jak wielką stratą czasu były te wszystkie lata, kiedy wierzyłem w Boga, i poczułem, że muszę natychmiast zerwać wszystko, co mnie z tą wiarą jeszcze łączyło.

Pomógł mi przypadek. Późną jesienią opublikowałem na stronie kilka esejów, w których zakpiłem sobie z teologii. Napisałem w nich, że tego bełkotu trzęsących się nad tym czy innym greckim słowem z Biblii nieszczęśników nie można nazwać nauką. W teologii – pisałem – nie ma możliwości czegokolwiek dowieść, bo nie ma na czym dokonać rozstrzygających prób. Gdy nie wiemy, który fizyk ma rację, testujemy ich hipotezy do skutku, aż się okaże, która oprze się wszelkim próbom jej obalenia. Gdy nie wiemy, który matematyk ma rację, sprawdzamy skrupulatnie ich obliczenia, aż znajdziemy błąd i wykażemy, czyj wynik

jest prawdziwy. A gdy sprzeczą się teolodzy? Jak mogą udowodnić swoje twierdzenia? Jak w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości rozstrzygnąć, czy przeistoczenie opłatka w ciało Chrystusa już zaszło, czy jeszcze nie? Jak mogą udowodnić swoje twierdzenia ci, którzy przyjmują, że Jezus ustanowił tylko dwa sakramenty, a jak ci, którzy twierdzą, że jest ich siedem? Jak można sprawdzić, kto miał rację: czy Tomasz z Akwinu, który twierdził, że Bóg stwarza duszę ludzką w zarodku mężczyzny w czterdziestym dniu ciąży, a kobiety w osiemdziesiątym, czy może Jan Paweł II, który uważał, że zachodzi to już w momencie zapłodnienia?

Moje eseje nie spodobały się znajomemu z Kościoła ewangelickiego, który tamtego roku zaczął studiować w Tybindze teologię. Wciągnął mnie w internetową dyskusję, w czasie której przyparł mnie do muru i sprawił, że otwarcie powiedziałem, że w Jezusa Chrystusa i jego ewangelię nie wierzę. Jednocześnie na potrzeby tej dyskusji jeszcze raz dokładnie przestudiowałem i przemyślałem wszystko, co o rzekomym istnieniu Boga wiem. A wiem, że, niezależnie od jakichkolwiek danych pochodzących z rzeczywistości, możliwości są tylko trzy:

Pierwsza – Boga nie ma. W takim wypadku oczywiście nie ma po co tracić czasu na chodzenie do kościoła, modlitwę, spełnianie Bożych przykazań i tak dalej.

Druga – Bóg istnieje, ale jest to taki Bóg, którego nie interesuje to, czy ktoś w niego wierzy, czy nie, jak go sobie wyobraża i jakimi zasadami moralnymi się kieruje. W takim wypadku również nie ma sensu takiego Boga czcić, bo jeśli przygotował on jakąś wieczną nagrodę po śmierci, to nasza wiara czy niewiara i tak nie będzie w stanie wpłynąć na nasz los.

Trzecia – Bóg istnieje i bardzo go obchodzi, kto i jak w niego wierzy. W takim wypadku stajemy przed bardzo poważną trudnością, bo każda z istniejących kilku tysięcy religii twierdzi o sobie, że jest tą prawdziwą. Co

się jednak stanie, gdy będę czcił boga Jahwe, a okaże się, że stworzycielką świata jest bogini Kali? Co będzie, jeśli będę chrześcijaninem, a okaże się, że to muzułmanie mają rację i Bogiem jest Allah, a wszyscy niewierni spłoną w piekle? Załóżmy mimo wszystko, że to chrześcijaństwo głosi prawdę. Które jednak wyznanie prawidłowo oddaje cześć Bogu? Ewangelickie? Katolickie? Metodystyczne? A może amisz? Które z tych wyznań może przedstawić niepodważalne dowody na to, że Bóg właśnie tak, a nie inaczej chce, żeby w niego wierzono?

Na tym lista problemów się nie kończy. Założywszy, że pozostając chrześcijaninem i katolikiem, jakimś cudem nie pomyłę się w wyborze wyznania, i tak nie mam pewności, czy się temu Bogu spodobam. Biblia sprzecza się sama ze sobą w tym, co według niej jest kryterium zbawienia i potępienia. Biorąc na poważnie wszystko, co Biblia mówi, należałoby przyjąć, że potępionym można być naprawdę z byle, a nawet bez jakiegokolwiek powodu. Jeśli zaś przyjmiemy, że mają rację ci, którzy twierdzą, że wystarczy wierzyć w Jezusa, a będzie się zbawionym, to Pismo Święte dostarczy nam argumentów na obalenie tego założenia. Jezus przecież powiedział: „Takie znaki będą towarzyszyły tym, którzy uwierzyli: w imieniu moim demony wyganiać będą, nowymi językami mówić będą, węże brać będą, a choćby coś trującego wypili, nie zaszkodzi im. Na chorych ręce kłaść będą, a ci wyzdrowieją” (Mk 16, 17-18). To znaczy, że żaden z wyznawców Jezusa w niego nie wierzy. Jeśliby wierzyli, powinni bez lęku pić herbatkę z szaleju jadowitego i nie będąc Chińczykami, mówić po chińsku bez przygotowania.

Widać więc, że jak na Boga, który chce, by w niego wierzono, zadowolić go bardzo trudno, bo nie gwarantuje tego żadna wiara. Znaczyłoby to, że Bóg jest potworem, który od wiary w siebie uzależnia wieczysty los po śmierci, nie dawszy jednak ludzkości jednoznacznego,

niepodważalnego i dla wszystkich oczywistego przepisu na to, co właściwie należy robić, by zasłużyć na zbawienie. Jeśli taki Bóg-potwór istnieje, to tym bardziej nie warto w niego wierzyć i oddawać mu czci, bo jest wysoce prawdopodobne, że nic nam to nie da. Wówczas przynajmniej doczesność możemy przeżyć szczęśliwie i beztrąsko.

Z tego, co wiem o Przyrodzie, wynika, że zarówno druga, jak i trzecia możliwość jest skrajnie nieprawdopodobna. Myślę, że najlepiej sedno sprawy ujął prof. Władysław Witwicki, gdy pisał: „Czy istnieje jakiś Bóg dla mnie? Jakoś nie narzuca mi się to urojenie. Jeszcze najbliższej Boga położyłbym Rzeczywistość – to wszystko, co jest, istnieje i ja do tego należę i od tego zależę, i to jest wszędzie, i bywa dobre, i bywa złe, a jest nieuchronne i nieugięte, i wieczne, i wielkie. O tym bogu uczy logika, fizyka i nauki przyrodnicze i psychologia. Częścią jego twarzy jest widok nieba w nocy i przez mikroskop też jego twarz oglądam, a o jego woli uczy mechanika i nauka o ciepłe, o elektryczności, o ruchu drgającym, i optyka, i biologia. Umieję zgadzać się z tą wolą bożą”.

Stało się dla mnie jasne, że nic mnie już z chrześcijaństwem i w ogóle z religią nie łączy. Spotkałem się z pastorem ks. Sebastianem i wszystko mu wyjaśniłem. Powiedziałem, że muszę odejść nie dlatego, że mam coś przeciwko Kościołowi ewangelickiemu, przeciwnie, jest to najlepszy Kościół, który gorąco polecam wszystkim, dla których wiara w Jezusa Chrystusa jest wciąż ważnym elementem życia. Ja jednak w Jezusa Chrystusa już nie wierzę. Jego nauczanie jest dla mnie nie do przyjęcia, a wszelką wiarę w jakiegokolwiek Boga uważam za błędną. Na pożegnanie zrobiłem, co mogłem, by prowadząc chór, odwdzińczyć się choć trochę za okazaną mi dobroć, ale na mnie już czas – odchodzę.

Wyrzekam się Jezusa Chrystusa. Wyrzekam się wszystkich ludzkich bogów. Wyrzekam się człowieczeństwa. Jedynie Wszechświat i jego prawa

są godne mojego podziwu, a śmierć i pójście do ciemnej, pachnącej grzybami ziemi, gdzie połączę się z Przyrodą i z Aresem – jedyną dobrą nowiną i jedynym dla mnie zbawieniem.

Wędrujący z wilkami

Czas na Barona nadszedł 27 marca 2019 roku. Był on ze mną zaledwie dziewięć miesięcy, ale biorąc pod uwagę jego stan, śmierć ta nie była dla mnie zaskoczeniem. Znów, tak jak Ares, Baron znalazł sobie miejsce na podłodze, gdzie chciał umrzeć. Położył się tak, że z umierającym Aresem tworzyłoby symbol jin i jang – niczym Sköll i Hati, wilki niebieskich obrotów z nordyckiej mitologii. Znów kupiłem kwiaty, naczynia na wodę i jedzenie oraz wino na ostatnie pożegnanie. I kolejny raz spędziłem dzień pożegnania z przyjacielem nie w rozpacz i w smutku, ale uroczyście i z wdzięcznością za cały ten czas, jaki z Baronem dane mi było przeżyć.

Jak to jest, że ludzie wierzący, ci którzy twierdzą, że po doczesnym życiu czeka na nich kochający Zbawiciel władny dać im nieskończone szczęście, tak bardzo rękami i nogami bronią się przed śmiercią? Dlaczego tak się jej boją, że nawet mówienie o niej traktują jako coś nieprzyzwoitego? Kiedyś, gdy byłem jeszcze bardzo wierzącym diakonem, spotkałem pewną pobożną panią, która stała przed tablicą ogłoszeń przed kościołem. Czytała wiszące tam klepsydry i kiedy ją mijałem, zaczęła mnie, wskazując na jedną z nich.

– Ależ to straszne, proszę księdza, taki młody i umarł...

– Zazdrozczę mu – odparłem. – Jest już w wiekuistym szczęściu w niebie.

Pobożna pani popatrzyła na mnie z najwyższym przerażeniem.

– Nie wolno tak mówić! – wrzasnęła. – Nie wolno!!!

Jak to jest? Były rektor seminarium duchownego w Legnicy, prałat, doktor teologii, a dziś „wikariusz biskupi do spraw formacji stałej duchowieństwa”, ks. Leopold R., tak boi się śmierci, że dostaje ataku niekontrolowanej wściekłości zawsze, gdy ktoś przy nim tylko wspomni o tym zjawisku. Wystarczyło, żeby kleryk wypowiedział słowo „śmierć”, i już przełożeni mieli „poważne wątpliwości” co do tego, czy dana osoba „nadaje się do kapłaństwa”.

Ja natomiast bez lęku stanąłem razem z Baronem wobec majestatu śmierci, której poddanyimi będą wszyscy ludzie i ich bogowie, czy im się to będzie podobało, czy nie. Co mnie obchodzi okrutny, galilejski tyran sprzed dwóch tysięcy lat? Jeśli w ogóle istniał, to umarł i poszedł do ziemi, w której zgnił tak jak wszystkim ludziom jest to pisane. Śmierć jest o wiele lepszą opcją niż jego „życie wieczne”, które musiałoby się stać męczarnią na mocy tego, że byłoby wieczne. Każda przyjemność i każda radość, która trwa zbyt długo, staje się nudna, a po pewnym czasie wstrętna. Tak to przeżywamy i nic tego nie zmieni. Gdyby więc ten potwór rzeczywiście miał moc zmartwychwstać i wskrzesić umarłych do życia wiecznego, skazałby ich na wieczną mękę.

10 maja miałem zdawać maturę z biologii. Nie miałem jeszcze pomysłu, jak dokładnie zorganizować sobie studia, o których marzyłem, ale ponieważ przewidywałem, że będę musiał być przygotowany na różne niesprzyjające okoliczności, w tym być może przeprowadzki i wyjazd, stwierdziłem, że nie będę mógł przez jakiś czas po Baronie mieć następnego psa. Baron jednak, gdy umierał, patrzył na mnie tak, jakby zdawał się mówić, że nie wolno mi tak zrobić. To był jego testament, jego rozkaz i ostatnia wola: Nie przeżyjesz bez towarzysza. Zaczekaj. Są rzeczy ważne i ważniejsze. A ten, który ma przyjść po mnie, ważniejszy jest niż studia...

Po śmierci Barona zadzwoniłem do Izy. W pewnym momencie naszej rozmowy powiedziała:

- Jakby co, mam następcę. Ale ty przecież nie planujesz już mieć psa.
- Ja... muszę zmienić plany. Co to za następcza?
- Bojar. Ten z kojca przy portierni.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jego imię. Brzmiało tak jak wszystko, co o nim wiedziałem – groźnie i walecznie. I stanęła mi przed oczami ta zimowa noc, gdy przyjechaliśmy z Marcinem po Aresa, przypomniałem sobie te wszystkie dni, kiedy z Aresem odwiedzałem Izę, gdy mijalem kojec na podwyższeniu przy portierni, a w nim zawsze stał on: wyprostowany jak świeca, smukły jak wilk, nieprzystępny jak dzikość Lasu.

Przyjechałem do Wałbrzycha. Iza opowiedziała mi o losach Bojara. Miał siedem lat, a od pięciu lat żył tam jako pies stróżujący. Pierwsi właściciele trzymali go na łańcuchu i głodzili. Gdy Iza zabrała chodzący szkielet do swojego schroniska, szybko się okazało, że Bojar jest bardzo agresywny. Jej samej nie pozwalał się dotykać. Właśnie ze względu na tę agresję miał nie być przeznaczony do adopcji. Raz Iza podjęła taką próbę – zgłosił się do niej pewien znajomy. Wydawał się idealnym kandydatem, miał doświadczenie z dużymi psami, ale gdy mieli wyjść na próbny spacer, Bojar prawie go rozszarpał. Innym razem zdarzyło się, że dziki zrobiły wyrwę w ogrodzeniu terenu schroniska i Bojar uciekł. Nie udało się go odnaleźć przez trzy tygodnie i wydawało się, że zniknął bezpowrotnie. Dopiero po tym czasie Iza przez przypadek znalazła ogłoszenie o psie, który został zatrzymany przez policję w momencie, gdy właśnie zagryzał szóstą kurę jakiegoś gospodarza w odległej o dziesięć kilometrów miejscowości. Podobno pogryzł policjantów i trzeba było sprowadzać specjalistę ze strzelbą ze środkiem usypiającym, żeby go ująć.

Szedłem z Izą do kojca Bojara z mieszanymi uczuciami. Mimo że sypiałem samotnie na terytorium wilków, mimo że miałem w życiu wiele spotkań z dzikimi zwierzętami, nie uważałem się za kogoś, kto sobie zawsze ze wszystkim poradzi. Przyroda nauczyła mnie, że to ona jest stroną panującą, że to ona wybiera lub odrzuca. Mojego nastroju nie poprawił ceremoniał zakładania Bojarowi obroży. Iza nawet do niego nie podchodziła, żeby go nie rozeźlić, obrożę zakładał jej syn, którego Bojar ponoć tolerował, ale i on nie wydawał się zbyt pewny siebie podczas tej czynności. Gdy wreszcie ująłem smycz, Bojar nie spoglądając na mnie, pewnym i szybkim krokiem ruszył ku bramie.

Po dwóch latach wyprowadzania na spacerzy dwóch dziadziusiów Aresa i Barona, gdy trzeba było cierpliwie i wolnym kroczkiem towarzyszyć statecznie człapiącym malamutom, poczułem się jak woźnica furmanki posadzony nagle w fotelu wyścigówki. Bojar z gracją w ruchach rwał do przodu, a gdy zdarzyło nam się minąć jakiegoś innego psa, niemal mnie wywrócił, szarpiąc się jak wściekła bestia, warcząc i pokazując wielkie kły. Zaciągnął mnie na przełęcz wysoko w Górach Wałbrzyskich i jeszcze dalej, skąd schronisko i dróżka, którą niegdyś z ledwością udało się Baronowi przejść, wyglądały jak mała, ledwie widoczna wstążeczka z kilkoma okruszkami obok. Zszedłem z drogi w las.

– Odpoczniemy chwilę, Bojar – powiedziałem i usiadłem na ziemi. A on przez chwilę obchodził mnie dokoła, jakby badając nową dla niego sytuację... i nagle położył się przy mnie i wtulił we mnie głowę, domagając się pieśczot.

– Jestem w szoku, że Bojar wobec kogokolwiek się tak zachował – odparła Iza, kiedy jej o tym opowiedziałem po powrocie.

Odtąd przez miesiąc przyjeżdżałem co weekend do Wałbrzycha. Znów nie mogłem Bojara wziąć od razu, bo urlop miałem zaplanowany na drugi i

trzeci tydzień maja. Ale odwiedzałem go i zapoznawałem się. Szybko zaczęły znikać wszelkie bariery między nami, jeśli w ogóle jakieś kiedykolwiek były. Któregoś razu zauważyłem, że Bojar miał kleszcza nad okiem i tydzień później – raz się żyje! – spróbowałem go wyciągnąć. Bojar zawarczał ostrzegawczo, gdy wyciągałem rękę. Przez chwilę tłumaczyłem mu z najwyższą pokorą i szacunkiem, co i dlaczego chcę zrobić. Pozwolił.

Mijał tydzień za tygodniem. W dzień, który chrześcijanie zwą Wielką Sobotą, pojechałem znów do Bojara, a on już z daleka wył, gdy tylko poczuł, że jestem blisko, już tańczył w kojcu, nie mogąc się doczekać spotkania.

W Wielkanoc dobrowolnie zgłosiłem się do pracy, żeby zrobić trochę nadgodzin. Oczywiście byłem jedyny na całej hali, ale że miałem trochę zaległości w kontroli jakości produktów, więc postanowiłem się wtedy tym zająć. Nie wiedział tego wszystkiego ochroniarz, który przez święta miał pilnować opustoszałego zakładu. Gdy mnie zobaczył przy pracy, powiedział:

- Ojej, to straszne, że musi pan pracować w Wielkanoc...
- Jestem ateistą – powiedziałem. – Nie obchodzę żadnej Wielkanocy.

Ochroniarz zbladł i zmieszał się, jakby zobaczył kosmitę.

Mijały dni, mijały tygodnie oczekiwania na dzień, który dla mnie był prawdziwym świętem, prawdziwą uroczystością, przy której wszelkie Wielkie Piątki, Wielkie Soboty, Wielkanoce i inne bzdury nie znaczyły dla mnie nic. Aż wreszcie, 10 maja 2019 roku, założyłem garnitur i poszedłem do swojego liceum. Jak szesnaście lat wcześniej stanąłem przed salą gimnastyczną, którą zajmowały rzędy ławek, przedstawiłem dokumenty i usiadłszy w wyznaczonym miejscu, napisałem egzamin maturalny z biologii. Gdy z niego wyszedłem, padał lekki deszcz, a ja uśmiechałem się do chmur i nuciłem z radości.

Michał, ten sam przyjaciel, który u progu mojego spotkania z Ciemnością wszedł ze mną na Wysoki Kamień i któremu rosnący przy drodze buk wydał się świetnym materiałem stolarskim, zabrał mnie do Wałbrzycha, żeby odebrać Bojara. I tak późnym popołudniem upragniony towarzysz znalazł się w moim, a od tamtej chwili już swoim domu. Pierwsze, co zrobił, gdy się w nim znalazł, to... zajął łóżko. Tak zaczęła się szalona przygoda, gonitwa przez góry, nad przepaściami Karkonoszy, przez doliny Gór Izerskich, szczeliny i skały Gór Stołowych, pagórki i pola Kotliny Jeleniogórskiej i stoki Rudaw Janowickich. Mijały tygodnie, a Bojar coraz rzadziej – choć od początku zdarzało się to w ogóle bardzo rzadko – przejawiał jakiegokolwiek oznaki agresji. Znalazł dom, swój dom, w którym mógł się nareszcie poczuć pewnie.

Nie zatracił jednak zdolności, które pozwoliły mu przeżyć, kiedy trzy tygodnie błąkał się samotnie w Górach Wałbrzyskich. Zdarzyło mu się – nim zdążyłem się spostrzec i zareagować – zagryźć małego dzika, innym razem zającą, o myszach polnych nie wspomnę. Całe jego zachowanie było czasami wyraźnie mało psie, raczej wilcze. Choć z pyska wyglądał jak typowy husky, ogon trzymał przeważnie opuszczony, a jego gesty, postawa ciała, sposób, w jaki reagował na to, co wyczuwał, lub gdy usłyszał coś podejrzanego, wreszcie sposób, w jaki zaznaczał swój teren – wszystko to robił tak, jak obserwowałem u dzikich wilków.

Zainspirowany naszymi wspólnymi przygodami założyłem na swojej stronie nowy dział: „Wędrujący z Wilkiem”. Zacząłem opisywać nasze wspólne wyprawy w Sudety i ukazywać czytelnikom, że każda górską wycieczka może poszerzać naszą wiedzę o Przyrodzie i być okazją do wielu przemyśleń. Odkąd szczęśliwie uwolniłem się spod tyranii ludzkiego boga Jezusa Chrystusa i zacząłem w sposób wolny i nieskrępowany wielbić Przyrodę, cieszyć się nią oraz jej nieskończoną potęgą, towarzyszy mi jej

posłaniec, awatar Wilka, miękki i przyjazny dotyk tego, co w Przyrodzie najbardziej ukochałem i co, ku wściekłości tyrana Chrystusa poznałem jako o wiele lepsze od żalonych obietnic wiecznego zbawienia. Obecność Bojara daje mi siłę, dzięki której mogę kpić z potęgi ludzkich bogów. Choć wokół mnie szaleje rozhułkane morze ludzkiej, zidiociałej do cna cywilizacji, pełnej zbrodni, cierpienia, bezsensownej walki i bezużytecznych kłótni, mogę tkwić jak skała pośród tej burzy dzięki temu, który mi towarzyszy. Przemierzamy razem ludzki świat, nie zaszczycając go spojrzeniem, a patrząc w nim tylko na to, co należy do Przyrody.

Bojar jest dowodem na to, co wyraził bohater filmu *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć* Newton Scamander, gdy powiedział: „Nie ma niebezpiecznych zwierząt, są tylko ludzie o ciasnych poglądach”. Przyroda zawsze reaguje na ludzi w sposób odpowiedni do tego, co mają w swoim umyśle. Jeśli ktoś – jak pewien nieszczęśnik w purpurowym wdzianku z Krakowa – widzi w ukochaniu Przyrody „grzech”, „neomarksizm” i „lewactwo”, pięknym za nadobne odpowie mu Las. Niech nie mają pretensji ci, na których zaszarżował dzik, na których warknął wilk czy zaryczał niedźwiedź. Gdyby Przyroda znalazła w nich respekt i miłość, tym samym by odpowiedziała.

Dopiąłem swego i poszedłem na studia z biologii. Z uwagi na Bojara wybrałem studia niestacjonarne, a że w zasięgu mojego dojazdu jedyne takie oferował Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, tam się też zapisałem. Dobrze się stało, bo poznałem mój rok – wspaniałych ludzi, niewierzących, o umysłach otwartych na piękno i złożoność Przyrody. Poznałem dwóch żyjących w szczęśliwych związkach gejów, którzy ostatecznie pokazali mi, jak piękny jest także i ten dar Przyrody, z którym się urodziłem, a którego istnieniu tak długo zaprzeczałem. Poznałem profesorki i profesorów, którzy otworzyli mi tę najwspanialszą skarbnicę

wiedzy, jaką jest prawdziwa wiedza o życiu – biologia. Wszystko to dzięki Bojarowi i mojej przemianie, która dokonała się w Ciemności Lasu. Dzięki nauce i dzięki Wilkowi, który tamtego dnia w Borach Dolnośląskich spojrział mi w oczy.

Był taki mój kolega z roku z seminarium, Paweł T. Po ledwie trzech latach od święceń – a więc już w 2012 roku – został przez biskupa wysłany na studia do Rzymu. Mało kto doznaje takich zaszczytów. Zadziwiające, że na tych studiach przebywał aż do 2021 roku i mimo tak długiego studiowania nie zdobył żadnego tytułu naukowego. Co robił przez ten czas? Nie mam pojęcia, ale wiele mówi to, co stało się właśnie w 2021 roku. Wtedy to sam sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, kardynał Pietro Parolin, poprosił biskupa legnickiego, żeby zostawił mu Pawełka na zawsze. Nie wiem, co skłoniło tego już niezbyt przystojnego 66-latka do takiego ponizenia, wszak pełni on funkcję drugiej po papieżu osoby w Kościele. Nie musi nikogo o nic prosić, może żądać. Jak jednak widać, miłość potrafi przemóc nawet bariery kościelnych konwenansów.

Jakkolwiek by było, Paweł T. zaszedł najwyżej w kościelnej karierze ze wszystkich moich kolegów z seminarium i raczej nikt już wyżej od niego nie zajdzie. Gdyby istniał Szatan, jak Kościół katolicki stanowczo utrzymuje, to dziękowałbym mu na kolanach za to, że taka kariera mnie ominęła. Na pewno będę za to dziękował Przyrodzie, wilkom... i Kościołowi katolickiemu. Wbrew temu, o co mnie namiętnie oskarżają wielcy obrońcy wiary chrześcijańskiej, nie porzuciłem religii rzekomo rozżalony na Pana Boga. Nie odszedłem od Kościoła katolickiego, jakobym był rozgoryczony, że nie dostałem święceń. Przeciwnie, z całego serca dziękuję Kościołowi katolickiemu z jego hierarchami, biskupami, dziekanami, proboszczami na czele, że tak skrzętnie i wyczerpująco udowodnił mi, że głoszona przez niego wiara nie ma żadnego sensu.

Dziękuję Jezusowi Chrystusowi za to, że pokazał mi, jakim jest potworem – o ile w ogóle istnieje – i wskazał mi swojego wroga, Diabła, Wilka, przeciwnika „dobrego pasterza” jako o wiele lepszą opcję, a piekło – jako o wiele lepsze niż jego „wieczne zbawienie”.

A teraz, mówiąc poważnie i zostawiając za sobą wszystkie te okrutne bajki, mogę zaświadczyć tylko, jak wielkie w życiu spotkało mnie szczęście, i nawet najtrudniejsze doświadczenia opisane w tej książce są niczym wobec cierpień takiego ks. Pawła T., który zapewne będzie musiał do śmierci lawirować pośród watykańskich układów, żeby się utrzymać na wierzchu. I kto wie, jakich urągających jego osobistej godności rzeczy będzie się musiał dopuścić w jaskini zbójców, jaką jest Watykan. Niczym są moje przeżycia wobec tych, które czekają księży, którzy do końca swoich dni będą gnić w niewiedzy o prawdziwym życiu, zakłamaniu wobec samych siebie i wobec własnej seksualności. Nigdy nie zakosztują normalnego szczęścia, takiego, jakiego ja mogę codziennie kosztować. Nigdy nie zrozumieją tego piękna i potęgi Przyrody. Umrą, trzęsąc się ze strachu przed śmiercią, bojąc się, że tyran Jezus wrzuci ich do piekła. Wielu z nich naprawdę ma się czego bać.

Sebastian, mój kolega z roku, od którego cała ta historia się zaczęła, a który w przeciwieństwie do mnie dostał święcenia, dziś tkwi w domu księży emerytów, schowany tam przez biskupa po tym, jak dopuścił się dwuznacznych gestów wobec uczniów. Mam mu zazdrościć jego losu? Mam zazdrościć losu biskupowi Markowi, którego chwała bardzo ucierpiała po tym, jak został oskarżony o obmacywanie chorego chłopca? Trzydzieści lat temu koledzy z seminarium spoglądali na mnie z pogardą i wstrętem, dziękując swojemu Bogu za to, że są ode mnie lepsi. Z politowaniem kiwali głowami, myśleli o mnie jako o nieudaczniku i wróżyli mi marny los. Dzisiaj to ja śmieję się z nich. Muszą kryć się jak

szczury na plebaniach, bo jeśli tylko wyszli w sutannie na ulicę, zaraz by ich wyzwano od pedofilów. Ich dochody topnieją z dnia na dzień i muszą się zmagać nie tylko ze swoimi wydatkami, ale także z biskupem, który wciąż żąda od nich wysokich danin.

O co więc miałbym być rozżalony? O wygraną na loterii życia? O szczęście, którego zaznaję? Dziś, gdy przechodzę przez miasto, widzę roześmiane twarze wracających ze szkoły nastolatków, którzy bez skrpułów drwią z tego, co im próbowano wmawiać na religii w szkole, i dla których orientacja homoseksualna nie jest żadnym problemem. Czuję wtedy dumę i szczęście, że także ja tą książką mogę się przyczynić do tego, by ich rzeczywistość była lepsza, szczęśliwsza i wolna od tyranii przykazań okrutnego Boga. A oni, gdy dorosną i przejmą ten świat, może zdołają zapobiec dalszej dewastacji Przyrody i sprawią tym samym, że każdy człowiek będzie mógł spotkać w lesie swojego Wilka i spojrzawszy w jego oczy, ujrzyć swoje lepsze jutro.